JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ZA STOŁEM I NA RYNKU

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1932

ZA STOŁEM I NA RYNKU

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ZA STOŁEM I NA RYNKU

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1932

JULJUSZA KADEN BANDROWSKIEGO

Niezguła, powieść, Lwów 1911, wyczerpane.
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922.
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921.
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane.
Piłsudczycy, wyd. III, Warszawa 1921, wyczerpane.
Iskry, Wiedeń 1915.
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915.
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane.
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane.
Łuk, powieść, Warszawa 1929, wyd. II.
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane.
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919.
Wianki, Warszawa 1920, wyczerpane.
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane.
Rubikon, nowele, Warszawa 1921.
Generał Barcz, powieść, Lwów 1930, wyd. II.
Wakacje Moich Dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane.
Przymierze Serc, nowele, Zamość 1930, wyd. II.
Miasto Mojej Matki, Lwów-Warszawa 1928, wyd. III.
W Cieniu Zapomnianej Olszyny, (Z cyklu: Miasto Mojej Matki), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Europa Zbiera Siano, Lwów-Warszawa 1927.
Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki, Lwów-Warszawa 1928.
Rzymianie Wschodu, Warszawa 1928, nakł. Sekcji Bibljofilów Pol. Uniw. Warsz.
Na Progu, Warszawa 1928, Gł. Księg. Wojsk.
Lenora (Z cyklu: Czarne Skrzydła), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Tadeusz (Z cyklu: Czarne Skrzydła), powieść, Lwów 1929.
Stefan Żeromski, Lwów 1930.
Trzy Wyprawy, Lwów 1930.
Pióro, Miłość i Kobieta, Warszawa 1931.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Kazimierza Figwera

ROMANTYZM

Możemy pisać i mówić o tej sprawie, ile się nam podoba! Możemy sobie pozwolić na szczerość i prostotę, możemy przemawiać z patosem, czy też gwałtownie, jakby się świat walił wokoło a słowa nasze miały być ostatniemi słowami proroctwa!

Jeśli zapragnę, będę o tem mówił do ciebie, — jakgdybyś był dziewczyną, którą kocham, ubóstwiam:

Patrz, patrz, — idziemy pod rękę do księżyca, trawy szeleszczą pod naszemi stopami i wśród szelestu tego słyszę szum twojej sukni...

Czy to ów szum, drgający ruchem twej postaci tak mnie upaja, czy może wieczór, pełen rosy, światła i radości?

Jeśli zapragnę, będę o tem mówił do ciebie, — jakbyś był towarzyszem mych dążeń, klęsk, łotrostw, bezczelnych zwycięstw: Jedziemy konno przez las, strzemiona dźwięczą, konie pachną słoneczną pogodą, czyż nie zdaje się tobie i mnie, że świat zawojujemy?

Mogę też o tem mówić przykładnie, — jakgdybyś był staruszkiem, albo, — jeżeli wolisz, — jakbyś był stroskanemi rodzicami:

Pocieszam was, stroskani rodzice, nie traćcie nigdy wiary w przyszłość swych pięknych dzieci.

A mogę o tem mówić, — jakgdybyś był przedmiotem, rzeczą martwą, starą fajką, złamanym nożem do przecinania kartek, progiem zapomnianego domu.

Wszystko mogę i możesz ty, i przedmioty, i rzeczy, i rośliny, zwierzęta, — gdyż uczeni, ci najważniejsi na świecie ludzie, wciąż i wciąż jeszcze nie wiedzą, — co On zacz.

Kłócą się o N i e g o, i swarzą zajadle i spierają, — najgłębsze fotele już oddawna wygrzali: Wysiedzieli jedenaście, czy też dwanaście murowanych definicyj — lecz cóż?! Lecz definicje przekreślają się wzajemnie.

Zapewniam cię, — nie byle kto kuł owe definicje! Uczeni, najprawdziwsi uczeni, których jest sprawą, — każdą rzecz i każdą sekundę na swojem miejscu postawić w czasie i przestrzeni.

Gdy zaś twierdzę: uczeni, nie wyobrażaj sobie zasuszonych pieniaczy, czy ludzi chorych na wątrobę, czy niemrawych poczciwców w okularach, — lecz ludzi, których wzniosłe porywy tak właśnie zastygają w przejrzysty kryształ najściślejszego dowodu prawdy, jak twoje porywy płyną lawą natchnienia, przemienione szaloną pracą w twórcze kształty sztuki.

Kłócą się o N i e g o i swarzą, istne szczęście, że nie mają podwładnych sobie armij! Ach, gdyby mieli wojska, — bądź pewien, — walczyliby do ostatniego tchu i do ostatniego żołnierza o prawdę definicyj, w tej najmilszej i może najukochańszej ze wszystkich spraw!

Spytajno pana profesora, który co roku mówi czterdzieści, czy nawet sto godzin o N i m, — o Romantyzmie!

Pan profesor rozmiecie wkoło wszystkie wątpliwości,

zatoczy niby działa najcięższe, całe szeregi przeczeń — lecz twierdzenia żadnego nie wygłosi.

Spytaj malarza, który tyle razy przeżywał romantyzm blasku tylu płócien!

Pan malarz, wielki mistrz i choćby największy, — też nic nie wie.

Spytaj muzyka, który na zimnych klawiszach przemierzył wszystkie wonne, czarowne poświaty szopenowskiego natchnienia!

Spytaj badacza, który umiejętnością swą, jak podręcznym kluczykiem otwiera każdy wiersz i każdy sonet Mickiewicza. Poproś, by ci ów badacz sumienny z sonetu owego wyjął schowaną tam w osłonie prostych słów, jak w głębi kwiatowego kielicha, — zalążnię Romantyzmu.

Nikt nie wie, kto On zacz, ów Romantyzm szalony, czuły i czarujący, srogi a tak tkliwy.

Tymczasem, — zaprawdę, — aż zgroza mnie ogarnia, tak blisko słyszę ów szum skrzydeł i tak wysoko widzę wezbrane wody tego źródła i tak zwichrzone płyną chmury tego wichru!

Nie znajdziesz prawdy w żadnej encyklopedji i tych dwunastu, czy jedenastu mędrców, którzy ukuli skłócone definicje wyśmiałoby mnie na każdym placu miasta, lecz mnie dawaj wiarę, a nie im!

To On, to On wypędził nas jako lichych kręgowców z pośród wyży Tybetu. To On pomógł wymyślić cudo cudów, przedłużenie ramienia naszego: ów cud, — pałę straszliwą, dalekosiężną, gwoli pokonania zwierząt.

To On sprawił, że nauczyliśmy się ogień wyciskać z drzewa i z kamieni.

To On, On jeden sprawia, iż grozę, strach i przerażenie i nawet naszą śmierć bierzemy na swe piersi, kołyszemy, badamy, poznajemy, — z wrogów naszych, i nieszczęść, i utrapień, — bogów sobie czyniąc, a potem starszych braci a potem rówieśnych a wreszcie bliskich sobie przyjaciół i tkliwych towarzyszy.

Przypomnij sobie: To On wznosił się pod księżycem pustyni egipskiej trójkątną piramidą kamienia.

To On szedł suchą stopą przez Morze Czerwone, to On pałał głosem zwycięstwa pod Salaminą.

To On cykutę pił z uśmiechem Sokratesa w więzieniu trzeźwych głupców, On też kroczył stopami słoni Hannibala przez niebosiężne Alpy.

Powiedzą ci, — że nie. A ja ci właśnie mówię, — że tak.

To On tkwił w głowach ludzi, których skronie pociły się mozolnym potem ścisłości, gdy układali prawo, — ależ tak, — rzymskie prawo, w ramach którego dziś jeszcze poruszasz się i działasz, szkodzisz, czy też pomagasz.

Gnane Jego potężnym ślepym żarem, pędziły ludy północy, by zniszczyć Rzym. I Jego łaską przeniknięte wznosiły tum gotycki.

I Jego łaską rączy, wyrywał z kopyta cisawy koń Atylli, — na zagładę pobożnego świata.

Widzę Go, — jak się mieni tęczą, ogniem i krwią na powalonych murach Konstantynopola.

I widzę Go, — jak świeci, zaiste niepojęty, zaiste pełen czaru rozpędzonych ogromów nad głową Kopernika.

Skąd przychodzi? Z jakich dziedzin i krajów?

Mamże ci tu układać paciorek wielkich imion? Descartes, Spinosa, Leibniz? Newton?

Czy też wolisz nazwiska poetów?

Czy może strasznych wodzów?

Czy lepiej, — męczenników?

Czy kobiet ubóstwionych, o których raz wypowiedziane słowa drżą już przez wieki wzorem miłości i wdzięku?

Powiesz mi, — nic nie znaczą nazwiska poszczególnych ludzi?

Więc przypomnij sobie, jak On, On jeden właśnie, Romantyzm świata, na zakrętach Historji, gdy jedno prawo butwieje a nie masz jeszcze drugiego, gdy jedna sztuka umarła już, a druga cierpi dopiero w nieświadomości, gdy wiedza wzdraga się wypowiedzieć swego zdania, — jak to On jeden, Romantyzm nieśmiertelny całe ludy podnosi i rzuca przeciw rzeczom, kształtom, i umowom!

Rewolucje!

W ludach pali się wówczas światło Jego oczu promienne i straszliwe. W ludach tych staje się wówczas twórczą, — wieczna niewiedza Prawdy.

To On, — jeden jedyny, — Romantyzm życia, świata i wieczności.

Nie wiedzą o Nim nic. Tyle tylko, że Go wciąż nazywają. On zaś zmienia swe nazwy, jak węże długowieczne zmieniają swoją skórę.

Czy wiesz teraz, co znaczy Romantyzm? To o czem wszyscy marzą, a nikt nic o tem nie wie: Wieczna miłość człowieka.

Sprawiedliwość.

Wieczna nadzieja.

Nieustające zwycięstwo nad przeszłością i nad wszystkiem, nad całym światem w imię tego, że tak wzniośli i tak bezbronni jesteśmy w naszej znikomości.

Ile razy, w natchnionem nieszczęściu znikomego istnienia naszego, rozpaleni uczuciem miłości, imamy się dzieł i spraw, przekraczających nasze wątłe siły, tyle razy On właśnie kroczy na naszem czele.

Idzie, biegnie, wylata naprzód, ratuje, gubi, rozwala, niszczy, — wszystko, wszędzie prowadzi.

WŚRÓD SWOICH

CHMURA ZWROTEK.

[Na sprowadzenie zwłok Słowackiego do Polski, czerwiec 1927.]

W roku tym piszą wiele o Słowackim uczeni, badacze, znawcy i wtajemniczeni w literę Mistrza. Albo też nasi poeci, którym bieg zwrotki, dźwięk rymu i puls rytmu bliższy jest, niż prozatorom.

Powyższe względy mając na uwadze, zamiast szukać syntetycznej oceny, wolę zwierzyć się poprostu, co zostaje i przebywa we mnie, — z obecności tego ducha, ważnej, koniecznej, radosnej a jednak do udziału w trudach najcięższych i najtkliwszych wciąż jeszcze niedopuszczonej.

Nic chyba dzisiaj jeszcze nie wiem o Słowackim, — jak o pięknym dniu letnim niewiem, ani o dniu zimowym, ani o wiośnie, zimie, czy jesieni, — gdy stają pierwszy raz w ramie moich okien.

Ani, — jak nic dokładnie nie wiem o miłości.

Gdy przychodzą piękne dnie letnie, lub twarde dnie zimowe, gdy spadają lawiny miłości, zanurza się w nie człowiek i trwa — bez pamięci.

Rzekłbym, iż w pracy mojej, czy w działaniu dopada mnie tak właśnie niespodzianie Słowacki.

Takie też przydarzyło mi się z tym wieszczem spotkanie w czasie wojny, czego już nigdy w życiu nie zapomnę:

Gdyśmy w ziemi lubelskiej na pobojowisko niedawnego szturmu wkraczali.

Musiał tam był nieprzyjaciela, to jest Rosjan, złapać karabin maszynowy, cała bowiem kompanja w szynelach burych klęczała już na wieki w świeżo kopanych rowach.

Jeden z tych Rosjan leżał skrwawionem czołem na otwartych stronicach małej szarej książeczki.

Wyjąłem mu tę książkę z pod głowy i zacząłem czytać, — krwią polepione strofy Beniowskiego!...

Tak właśnie przez moje prace, zajęcia, czy też losy przechodzi Słowacki: Jak grom, jak krzyk szalony, i prawda innych światów.

W swojem życiu duchowem omijam Słowackiego.

Zazdroszczę profesorom, jak Jan Gwalbert Pawlikowski, czy Juljusz Kleiner, ludziom nauki i krytycznego natchnienia, że tyle wiedzą o Juljuszu. Że odtwarzają ukryte wiązadła, na których wznosi się to olbrzymie niebo światła, buntu i dumy.

Mam wrażenie, że my pisarze trwający w szarym pyle współczesnej powieści, my, którzy staramy się polskiej mowie i obyczajowi przyczynić choćby kilka tylko postaci żywych, dzisiejszą epoką nasiąkłych, — nie umiemy czytać dawniejszych mistrzów.

Zwłaszcza takich, jakim był Słowacki.

Może się tam na wyżynach nieśmiertelności zżymają wielkie Znaki najszczytniejszego natchnienia polskiego, że gdy o jednym mowa zaraz drugiego wzywamy na świadka. Sądzę jednak, że tym sposobem w strefie zasług idealnych wyrównać można przepaść, która dzieliła ich w tem życiu:

Jakże więc, gdy mowa o Juljuszu, Adama nie wezwać na świadka?!

W rozumieniu mojem, — Mickiewicz jest powszechny. Powszechny, nieodzowny, jak woda, szczęście i powietrze. W strefie Mickiewicza, poddawszy mu się nawet całkowicie, można żyć swojem własnem życiem. Bezprzykładna, nieporównana, czarodziejska dobroć tego wieszcza sprawia, że w ogromie Jego mieszczą się wszystkie przebaczenia.

Słowacki bardziej chciwym i wyłącznym mi się zdaje. Natarczywym bardziej i osobistym, w sensie gwałtownej żądzy władzy nad duszami.

Nie wyobrażam sobie, bym zajęty własną pracą, mógł usiąść z całym opusem Słowackiego i bym mógł czytać jednym tchem, jednym tchem radości, radosnego cierpienia i nieustającej pociechy, — jak mogę czytać Mickiewicza.

Stanowią tu wyjątek Listy do Matki. Przez prozę tych listów snuje się głos powagi, jakiego nie masz często w piśmiennictwie Narodu.

Beniowskiego zgoła nie rozumiem. Dręczy mnie brak budowy, dygresje, nuży nadmiar bogactwa, rzucanego jakgdyby bez celu.

O dramatach Słowackiego nie możemy rozprawiać: Dzieje im się w Polsce ogromna krzywda. Dramat poety jest dziełem przeznaczonem dla sceny. Poeta gesty pokazuje, — niech lud patrzy. Więc winien być w teatrze a nie na kartach książki wywołany ów akt zbiorowego skupienia, z jakiem czekamy na widowni, w ciemnej paszczęce Podobieństwa, wpatrzeni w czworogranny wymiar sceny, zjawą i słowem zapełnionej.

Gdy zaś mowa o księgach, ludzie wtajemniczeni w Słowackiego wymieniają na pierwszem miejscu zazwyczaj: Król Duch, — Anhelli.

Pamiętam prozę Anhellego, — płonącą, niby ogień. Pamiętam mróz straszliwy, w którym ów ogień drży. Atoli całość tego tworu, jak całość Króla Ducha, nigdy nie otwarła mej duszy, nie zdobyła skwapliwej wdzięczności.

Opowiadał mi niedawno Parandowski o pracy i zasługach Jana Gwalberta Pawlikowskiego względem Słowackiego. O wszelakich wyjaśnieniach, dotyczących Króla Ducha. Wynika z tych wyjaśnień zapewne — niezmiernie wiele. Wewnętrzną jednak treścią swych umiłowa i tęsknot nie ogarniam tych cudów tajemnych.

O wykreślenie jednego wiersza Mickiewicza gotówbym zarządzić mobilizację (w mojem królestwie „Gdyby"), i toczyć krwawą wojnę.

O Króla Ducha — nie.

Dlaczego?

Może dlatego, że należałem do pokolenia, którego Wódz z pod znaku Słowackiego wyszedł i przeprowadził całą sprawę tej poezji ogniem zwycięskim i krwią do szczęśliwego końca.

Może więc jest to reakcja wnuków wobec Wielkiego Dziada?

Słowacki wszystko o nas przeczuwał — lecz my sami byliśmy czemś znacznie istotniejszem! Jako spiskowcy, legjoniści, byliśmy już cząsteczkami realnego czynu.

A może nie wielbię Słowackiego z powodu wielkiego pragnienia, jakie odczuwam, gdy chodzi o literaturę naszą, — pragnienia zwartej, ścisłej formy?

Przecież syn tych wielkich romantyków, Wyspiański byłby chyba Homerem świata, gdyby Go byli nie obarczyli nadmiernie i gdyby nie potrzebował był odwalać tylu romantycznych płyt grobowych!?

Reakcja przeciw romantyzmowi? Oczywiście, — zawsze. Nie przeciw jego ideom naczelnym. Nie masz lepszych. Reakcja przeciw technice romantycznej w sztuce. Przeciw dowolności, dygresji, przeciw brakowi realności w słowie.

Wszystkie konsyderacje powyższe nie dotykają wielkości Poety.

Przeciwnie. Raczej mnie samego obciążają: Jako kalibana, kreta, czerwa codzienności.

Może jestem skrzętnym niedołęgą, budującym nędzny mały murek, podczas gdy inni latają po świecie swobodnie i olbrzymie przestrzenie zdobywają. Ale chyba musi być w literaturze polskiej pod rozwiniętym blaskiem tęczowych skrzydeł, na nizinach, gdzieś w rozpadlinie ziemskiej i taki gnom uparty.

Kiedyś spotka go kara za to, że był gnomem.

Pełen pracy dzisiejszej walczył zaciekle z „wzlotami“. Miał plecy odparzone od noszenia cegły, ręce spalone wapnem, a oczy zżarte kurzem. Stał przy robocie — i burzył się zazdrośnie na widok duchów, śpiewających pod niebem.

Kiedyś przyjdzie ów chłodny dzień starości, gdy gnom, murku lichego nawet nie wykończywszy, podniesie oczy wgórę.

Wtedy zapewne nastanie w życiu mojem — tragiczna era Słowackiego.

Będę chodził po Jego pałacach, przerażony i wdzięczny, niepotrzebny a zarazem olśniony.

Po jednej stronie serce Mickiewicza, po drugiej On. My pośrodku, na dole, w zachlapanych, podartych fartuchach, z krzywą kielnią w ręku, nieporadnie patrzący ku niebu: Aż tu nagle wzbija się cała chmura zwrotek, a przez te zwrotki smugami złocistej jasności lecą wieki! Te chmury i te smugi i ta śmiałość błyskająca wśród wieków — to właśnie On — Słowacki.

WÓDZ POLSKI I POETA.

Jak daleko poniesie jeszcze głos Poety, ile sprawi w życiu, na jakich jeszcze drogach ludzkich stanie, ile serc przeniknie, jak niemi pokieruje, tego już dziś nikt nie wie i nikt nie przewidzi.

Badania pójdą swoją drogą, prace ludzi oddanych, pilnych, pełnych sumiennej nauki pogłębiać będą wiedzę o Słowackim, dzieło jednak żyć będzie własnem życiem, bez względu na kult, modę literacką, wyznanie wiary i światopoglądy pokoleń.

Owo własne życie dzieła to najwznioślejsza tajemnicą twórczości człowieka i jego związku z potomnymi.

Zwietrzeją sprawy historyczne, zatrze się w odległości czasu cały nasz układ społeczny, ślad może nawet nie zostanie po ranach i cierpieniach, które kiedyś opiewał Poeta: Jak zatarły się normy i układy stosunków, które opiewał Dante, — a pozostało o nich jego słowo.

Słowo tak mocne, lśniące i urocze, iż dla zgłębienia blasku tego i uroku przypominamy czasy, w których tworzył, byleby tylko słowom dać najwierniejsze ramy.

Gdy więc mowa o znikomem życiu i o pieśni, która się z niego dźwiga, jesteśmy, zaprawdę, jakoby w zamkniętym pierścieniu. Tak, czy inaczej mijały ludzkie czyny, tędy wiedliście szlaki, czy tamtędy, — zawsze

wkońcu odwrócą się drogi, wyrównają, i gdy czyny już przebrzmią, szlakami słów natchnionych do czynów swych powracać będziecie i pobłażać krwi próżnej będziecie, uczynki przemazywać, prostować a nastawiać, — jak wam kazała pieśń.

Krew żywa, skrzydłami rymów przez wieki poniesiona, zbrodnia i śmierć niewinna, prawda oraz przekleństwo, — rozpadną się w obliczu Słowa.

Skorupa wszelkiego pozoru zczasem łatwo odleci, okazując ziarno najistotniejsze, ciepłem pieśni wygrzane.

Zdarza się w Polsce tego roku, w ostatnie dni czerwca, iż pierścień tajemniczej wędrówki losów Słowa i Czynu zamyka się tak szczelnie, że kto patrzeć umie, ten olśniony na tę chwilę spoziera.

Oto, jakby młody nasz los, prędzej, niż to bywa w kolejach ludzkich, prędzej niż dzieje dają, — zamykał podobieństwa uczynków ze słowami:

Roku 1927, w ostatnie dni czerwca, w Warszawie, potężny Wódz Narodu naprzeciw prochów Wieszcza brzegiem Wisły wychodzi. Który na tyle bitew szedł i na tyle rozpraw i tyle traktatów, jeszcze krokiem takim nie chodził i tak cichych kroków nie wyglądał.

Do cieniów Nieśmiertelnego Natchnienia — przemówią usta Nieśmiertelnego Rozkazu.

Który dźwigał najcięższe oręże, pierwszy do wiekopomnych czynów stawał, wita tu Tego, który te czyny wróżył.

Piękności tego spotkania czeka Polska z zapartym oddechem:

Oto z Zamku wychodzi Wódz Polski, który w tor-

nistrze swoim na wszystkich polach wielkiej, sławnej rozprawy, — księgę Poety tego zawsze nosił.

Oto się spotykają oko w oko, najczystsze słowo i najwspanialszy czyn.

Oto witają się już, — i patrzcie, pamiętajcie:

Pierścień strasznej wędrówki, pokuty, bohaterstwa zamyka się cudownie.

Nad brzegiem Wisły, w cieniu starego Zamku witają się po całym długim wieku, jak dwaj bracia, — Wódz polski i Poeta.

MORZE POEZJI

PRZEDMOWA DO PANA TADEUSZA NA FILMIE.

[Warszawa, 1928.]

Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
gdzie bursztynowy świerzop, gryka, jak śnieg biała,
gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina, pała.
Wśród takich pól, — przed laty...

Może już nie wiecie, — co to jest świerzop? A kto pamięta, jak wygląda dzięcielina?

Synowie moi, deklamujący napamięć, z własnego przekonania wyuczoną Redutę Ordona, — twierdzą, iż słowa:·— artylerji ruskiej ciągną się szeregi, prosto, długo, daleko jako morza brzegi, — należy rozumieć, że między artylerją ruską a, — jak głaz bodący morze redutą Ordona, — jest rzeczywiste, płynne, mokre morze.

Gdyż między dwustu armatami a redutą — sam Mickiewicz powiedział przecie, że jest morze!

Z prawdziwym żalem myślę, iż przyjdzie czas, w którym synowie moi zaczną się uczyć poezji w szkole, wtedy zaś wytłumaczy im pan profesor, na planie bitwy pokaże nawet wkońcu, iż między polską redutą a dwustu armatami armji rosyjskiej nie starczyłoby było wody, choćby tylko na dwa, czy trzy krążowniki.

Tłómacząc to, dokona pan profesor smutnego obrzędu: Zabije bowiem wielkie, irracjonalne marzenie, które rodzić winna lektura poezji.

„Pan Tadeusz“ znalazł się w tej smutnej sytuacji, iż jako arcydzieło narodowe i wszechświatowe wytłumaczony został ojcom, dziadom naszym i nam, synom, tłumaczony też będzie wnukom i prawnukom naszym przez panów profesorów.

Gdy powiem komuś znienacka — Pan Tadeusz, — rzadko, by ów ktoś czuł, iż porywa go skrzydło cudnej jasności, jaką rodzi ta poezja.

Gdy przypomnimy sobie nagle, — Pan Tadeusz, — widzimy klasę, ławki; i wszelkie pytania spadają na nas srodze a natrętnie: W ilu dniach rozgrywa się akcja tego dzieła, czy nie pomylił się poeta, każąc jeść gościom chołodziec litewski, skoro w myśl wyliczenia wypada, iż dnia tego był właśnie piątek?!

Nad wszystkiemi innemi góruje owo pytanie kardynalne: — Co też poeta rozumiał pod słowami...

Sądzę, iż uczucia tego rodzaju podzielają tu ze mną wszyscy. Chyba żaden z wodzów, ministrów naszych, mężów stanu, nie walczy tak z sobą, gdy decyzję ma powziąć, — ileby lękał się, gdyby go nagle wyrwano z ławki i obcesem na temat tego, czy owego ustępu z Pana Tadeusza zapytano.

Prowadzę do tego, by powiedzieć, iż przytłoczyliśmy jeden z najpiękniejszych poematów naszych i poematów świata drobiazgową mądrością. Zasługą filmu, który za chwilę zobaczymy jest, — iż nie wdając się w zawiłe historjozofje, przedstawia rzecz tak właśnie, jak ją widział

pewien genjalny poeta imieniem Adam, nazwiskiem zaś Mickiewicz.

Jeżeli poeta mówi — las, — mamy las na obrazie. Gdy mówi — mgła, — będzie mgła. A jeśli tak wypadło, że pili kawę, — na obrazie też będą pili kawę.

Wyda się może komuś, iż mówię rzeczy, które się same przez się rozumieją. Ależ, na Boga, — jakże trudno wobec sprawy, której dotknęli się uczeni, a jeszcze do tego lingwiści, znawcy języka, znawcy prozodji, znawcy form poetyckich, historycy literatury, — jakże trudno w okazji takiej mówić rzeczy, rozumiejące się same przez się!

Samo przez się rozumie się zawsze to tylko, czego chcemy, co kochamy, czego potrzebujemy, — co więc z natury rzeczy bardzo rzadko pokrywa się z teorją profesorów.

Samo przez się rozumiało się, że poemat ów, to znaczy Pana Tadeusza narzuciliśmy kiedyś, lat temu kilkadziesiąt, mocą wielkiej presji uczonych w piśmie, — jako poemat zgody, i uśmierzenia namiętności bolesnych. Jako rodzaj aureoli, roztoczonej nad sprawami przeszłości, aureoli, która, — niestety, — dotykana przez tysiąc grubych rąk, straciła wkońcu nadziemską puszystość koloru i stała się tanią, tępo błyszczącą pozłótką.

Zaczęto nas uczyć chemicznego składu tej pozłótki, zaczęto badać, jak się kruszy, w gruzełki skupia i jakimto sposobem właśnie najlepiej można ją przylepić do wszelakich cnót, oraz grzechów naszych.

Tymczasem każde nowe pokolenie, inaczej odczuwało to, co poeta rozumiał pod swemi słowami. Jeszcze ojciec mój płakał najczulej, czytając opis koncertu Jankiela,

jeszcze ojciec mój, czytając opis poloneza, — patrzcie, patrzcie młodzi, bo może to już ostatni, co tak poloneza wodzi, — podnosił prawą łopatkę tak dziwnie wgórę, coś — tak — jakby nibyto jeszcze gwoli wylotów kontusza...

Tymczasem my, synowie, całkiem inaczej rozumieliśmy już intrygę Pana Tadeusza.

Co tam polonez?! I cóż tam te Horeszki?! I ten nieznośny Sędzia, — dla nas już wówczas prawie, że Staś Połaniecki. I ta nieznośna szlachta?! Żarli się między sobą o starą ruderę zamczyska, podczas gdy nieprzyjaciel Ojczyznę im rozkradał. Na temat chartów Kusego i Sokoła gadali całe dnie, a jeden z tych, co tak kwieciście umiał o tych chartach gadać, — bo wyszukaliśmy sami w tekście, że to asesor, — batalion jegrów wprowadził do dworu.

Jedli i pili świetnie, do wojska ani im się śniło przystać, dopiero zbrodnia, dopiero bezprawie siłą obcej jurysdykcji ścigane sprawiły, iż po bijatyce z Moskalami całe bractwo szlacheckie Soplicowa ucieka przed Sybirem — do Legjonów.

W bractwie tem wyszukaliśmy sobie dwóch bohaterów, po których stronie stały serca nasze bez żadnej reszty: ksiądz Robak, wcielenie zbrodni i pokuty, a drugi, — głupi Sak Dobrzyński. Ci jedni czuli sprawę Ojczyzny w twardych ramach nakazu. Ksiądz Robak, jako że opisawszy koło grzechów poznał, gdzie leży wieczna i najczystsza sprawa człowieka na ziemi: W wolności.

I głupi Sak, który ze wszystkich spraw zgmatwanych odczuwa jedną prosto: By iść do Legjonów.

Któż teraz nas pogodzi w obliczu tego dzieła, kto zgodzi naszych ojców i nas, i naszych synów: W obliczu tego, co winno tu rozumieć się już *samo przez się?*

Ojcowie nad blaskiem wylotów kontusza płakali, czytając ten poemat. My przeciw tym wylotom powstaliśmy, widząc w nich zdradę wszelkiej nowożytności i z ich blasków wyrosły, przeklęty w sercach naszych pałac horeszkowski, oraz szlachcica, który rosyjskiemu jegrowi wyrywa gwer i strzela w pierś drugiego szlachcica.

A kto z nami pogodzi naszych synów, którzy, być może, nie usłyszą już w słowie poety owych nut historycznych, lecz znowu inne jakieś dźwięki wysłuchają?

Pogodzi tu nas zawsze owo najczystsze *morze poezji,*— morze na podwarszawskich piaskach płynące, między Redutą Ordona a dwustu armatami rosyjskiemi, morze niewyczerpane, w każdem słowie Tadeusza bogatą falą szeleszczące, morze wielkiej poezji, która jest zawsze łaskawem przebaczeniem, oraz najwyższą mądrością wszystkich dziejów.

Czyż Mickiewicz, myślący o tych sprawach na paryskim bruku, nie znał swoich Horeszków i Sopliców? Równie dobrze, jak my, nie przenikał ich grzechów?

Ach, — wiedział i przenikał, lecz wzniósł się tam, skąd oglądany grzech, — jest już tylko słabością.

Grzech ów otoczył poeta ramieniem przebaczenia i oto sprawił, iż do win, przestępstw naszych dziadów i pradziadów, — jak zobaczymy to niebawem na tem płótnie, — przypadamy ze łzami tkliwości, że w głębie minionego czasu biegniemy wzruszeni, pełni odradzającej wszystko litości i ręce wyciągając do cieniów, których sprawę odrobiły następne pokolenia, wołamy:

Przybywajcie w spokoju pamięci i świećcie w przemijaniu waszem, znikomem, jak nasze jest znikome; Oraz, — niech nam u wrót nowego życia szczęśliwy los narodu wydarzy znów poetę, któryby wziąwszy w swe dłonie nasze grzechy, poprzemieniał je w blaski łaskawości pełne, w pogodę, — w szczęście, — gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała...

WIELKIE DZIEŁO SIENKIEWICZA.

[Listopad, 1924.]

Łatwiej będzie pisać o Sienkiewiczu profesorowi, publicyście, krytykowi, niż któremuś z nas, pisarzy, którzy trwając przy polskiej prozie, ostrzyć się ją staramy i zacinać do możliwych granic giętkości. Jakże nam trudno odczuć, co już z nas pochodzi a co jeszcze z Niego, gdzie kładzie się granica pomiędzy naszą pracą a Jego znakomitem odkryciem.

Odkryciem: — Sądzę, że tak należy nazwać prozę Sienkiewicza, na tle literatury naszej XIX wieku, tę prozę niebywałą, niedościgłą, łączącą harmonijnie ład wyrazu z umiarem i muzyką okresu.

Umiar, dzięki bogactwu naszego słowa i luźnej składni zdania prawie niespotykany w bogatym lecz anarchicznym języku naszym, czyni z Sienkiewicza zjawisko fenomenalne. Proza gładka a bogata, związana mocno a przytem tak obrotna, swoista przecie a zarazem tak w każdem włóknie wzorowa, sprawi napewno, że bez względu na treść dzieł, przestarzałość czy stronniczość poglądu, zostanie Sienkiewicz pośród najtęższych filarów ojczystego piśmiennictwa.

Mało tego. Oto pisarz, któremu, jak niewielu innym, udało się — przestać być autorem, a w pełni działalności

stać się działaniem życia samego. Żadna walka tych lub owych szkół czy kierunków literackich tego skutku sienkiewiczowskiej sztuki nie umniejszy.

Każdy z nas, ludzi dzisiejszego pokolenia, od dzieciństwa rozwijał się i dojrzewał w promieniu twórczości Sienkiewicza. Każdy z nas od dzieciństwa aż do męskich lat tyle mu przecie zawdzięcza!

Pierwszy raz płakałem nad drukowanem słowem, gdy na wyżółkłych, zszytych w nieskładny tom, feljetonowych odcinkach krakowskiego „Czasu“ umierał Longinus Podbipięta.

Druciarza, który przychodził do nas co sobotę drutować garnki, pokochałem dlatego pewno także, że już przeczytaliśmy byli wtedy z matką Janko-muzykanta.

Pierwszy raz oddałem cześć zasłudze ducha, gdy do Lwowa przyjeżdżał Sienkiewicz, a my, uczniowie, staliśmy szpalerem z pochodniami i jak szaleńcy krzyczeliśmy na Jego widok. Dzięki niemu pierwszy raz przeżyło nasze pokolenie odwieczną walkę nowości z ugruntowaną zasługą, i myślę, że nie byłby wielki los Sienkiewicza właściwie zamknięty, gdyby się właśnie na Niego w swoim czasie nie był rzucił ogniem swej myśli Stanisław Brzozowski.

Dzięki autorowi „Trylogji“ pierwszy raz ja i pewno wszyscy, którzy tam wtedy byli, odczuli słabość tragiczną humanistycznej wielkości: — Gdyśmy w Kieleckiem komisarjaty narodowe zakładali, wojnę niecili, a On, już może chory, ociężały, ziemisty, odbierał przepustki z rąk polskiego komisarza i w szanownem granatowem palcie podbitem jedwabną podszewką wychodził z pośród nas,

jakiś strapiony, gorzki, — z pośród nas, czytelników Jego, teraz Strzelców oberwanych, lecz jakże szczęśliwych.

Jeżelibym mógł wyzwolić się z pod uroku wspomnień i miał rozważać sienkiewiczowską puściznę, — sądzę, że odsunąwszy na stronę doskonałość formy, znalazłbym się, jakoby wobec dwóch wielkich złomów pracy tego pisarza.

Wobec powieści historycznych i obyczajowo-współczesnych.

Te ostatnie świadczą, że mistrz krokom życia nię nadążył i wtyle za niemi pozostał. Zaprzątnęli Go ludzie znikomi, ograniczeni, na których patrzał powierzchownie, których raczej przyjmował, niby związki czy formuły gotowe, niedające się gruntownie analizować i rozkładać, a przeto zamknięte całkowicie w bieżącej chwili.

Zemściło się to na życiu tych powieści. Wypełniły nieomal bez reszty bieżącą chwilę i wraz z nią minęły. W literaturze naszej pozostanie z nich rzemiosło, delikatna ceremonja oględnej psychologji, historyczne świadectwo skostnienia danych sfer — i może nic więcej?...

Inaczej chyba ułożą się losy wielkiej Trylogji sienkiewiczowskiej. Bez względu na wyrażony w niej światopogląd czy historjozofję, do Trylogji wracać będziemy zawsze, ilekroć w zbiorowem naszem życiu niepowodzenia czy klęski nas ogarną.

Trylogja — to jeden wielki hymn na cześć indywidualnej siły człowieka. Nasi ojcowie i my kochaliśmy to dzieło nie dlatego, że się tam rżnie wrogów, Turków, Szwedów, Kozaków, czy Tatarów. I nie dlatego, że było

to z takim artyzmem wyrażone, — bo publiczność polska, ówczesna i tegoczesna, daleka jest jeszcze od napawania się estetyczną formą.

Kochaliśmy Trylogję dlatego, że jest nieustannym triumfem jednostki. Wszystko w tych księgach zależy od rozmachu, od woli poszczególnego człowieka, wszystko jest w jego ręku — i niemasz siły (zbiorowej, środowiska, przyrody) większej ponad niego.

Dlatego dziś, gdy jest nam lepiej, gdy możemy nareszcie życie nasze organizować w masie, a nie tylko w jednostce, — poczytność Sienkiewicza, a przedewszystkiem Trylogji, zmniejsza się i spada. Ale też dlatego, myślę, napewno przy każdem załamaniu się, zachwianiu zbiorowego rozpędu wracać się będzie do tych ksiąg, gdzie z pośród tumultu barw, rozmiaru pól i pożarów, okrucieństwa i lekkomyślności, dźwiga się człowiek zwycięski.

Osobiste wspomnienia „świadka epoki", — cień cienia analizy, — wreszcie na końcu może sąd „fachowca", jeżeli z powodu, iż o to samo walczymy, moglibyśmy się mienić przy boku wielkiego pisarza fachowcami.

Sąd fachowca najchciwiej szuka najwyższej chwili wielkich twórców. Chwili, w której mistrz wychodzi poza bramy swego czasu i sztuki i staje się błyskiem niedościgłej piękności.

Kiedy stał Sienkiewicz w nieziemskich promieniach tej chwili?

Twierdzę, że wtedy, gdy pisał „Latarnika". Niechże na jedną szalę położą wszystkie jego ciężkie grube tomy, a na drugą tych kilkanaście stronic. Wedle mego zdania

tych kilkanaście stronic przeważy całą resztę. Jest w nich spokój tak nieśmiertelny, miłość tak ogromna, — że możnaby z niej czerpać przebaczenie wszystkiemu.

Żeby nią chyba można naród umarły jeszcze raz powzwać do życia.

NA WAGACH CZASU.

[Dwudziestolecie śmierci Wyspiańskiego, listopad, 1927.]

Trudno jest niepomiernie na wagach czasu odmierzać trwałość dzieł pisarskiego natchnienia i genjuszu: Czy są dzieła owe w słowie i w przegonach jasno widzącej myśli wybudowane na miarę jednego pokolenia, czy też epoki całej, czy też tego, co się już wymyka z pod najdalszych spojrzeń i przewidywań i co w bezsile naszej zowiemy — nieśmiertelnością?

Nie wiedział chyba przecie pan wielki, kanclerz koronny, Jan Zamoyski, gdy u Kochanowskiego propagandową tragedję przeciw Moskwie zamawiał, mianowicie Odprawę Posłów Greckich, że Odprawa owa wszystkie czasy polskie przetrwa; nie wiedział Mickiewicz, gdy ku rozrywce własnej po osiemset wierszy dziennie Pana Tadeusza spisywał, iż wznosi w tych igraszkach swego pióra dzieło nieśmiertelne.

W literaturze naszej, w owej jakże pięknej i szanownej Historji Obyczaju Polskiego, wiadomo chyba każdemu, iż różnej bywamy trwałości. Są pośród nas pisarzów, duchy, jakby słomiane, — wybuchające jasnym krótkotrwałym ogniem, a są inne błyszczące całe lata, związane ze sprawami epoki; a są inne, najwyższe, które świecą ze straszliwej wysokości przez wieki.

Gdy długowiecznych pisarzy blask i wartość oceniamy, nigdy ocenić nie możemy właściwie, znajduje się bowiem w nich zawsze więcej czaru i piękna i natchnienia, niż człowiek danego czasu objąć i ocenić zdoła.

Jesteśmy różnorakiej siły, blasku i powagi, lecz wszyscy wiemy, kto pośród nas najwyżej stoi, a zarazem kto, wszelkie wysokości minąwszy, ponad wymiarami się unosi: Nad całą gromadą współczesnych, nad wymiarami wielkości, w nieśmiertelnych blaskach powagi, grozy i łaski, rozumu i doświadczenia i najwyższej mądrości, stoi, świeci i błyszczy — Stanisław Wyspiański.

Co u nas będzie formą tylko, — u Niego prawdą, co u nas prawdą, — u Niego Objawieniem. Co dla nas długiemi latami i historją, — u Niego jedną Nocą Listopadową, co u nas długim szeregiem dzieł, to u Niego jednem Weselem i Wyzwoleniem. Co u nas skargą wobec Narodu i epoki, — u Niego sprawą wobec Człowieczeństwa i Wieczności.

Taka w tym pisarzu ze wszystkich bożych łask poczętym była siła skrótu słowa i doznań życia.

Większa, zaiste, niż trzeba było na doraźne potrzeby czasu. Wyspiański bowiem wyszedł z drogi polskiej na szeroką a tajemniczą drogę ludzkości. On to, jak nikt w Europie i na świecie, potrafił pierwsze lata XX-go wieku powiązać z głosami Homera, słowem własnem przestrzeń czasu porównać, na rozciągłości trzech tysięcy lat ład własny a nieomylny zaprowadzić.

Wielki genjusz Narodu, genjusz rasy polskiej, którym, gdy mowa o otwieraniu wrót do najwyższych świątyń człowieczeństwa, — wszystkie najwyższe wrota otwierać mamy prawo, jak kluczem czarodziejskim.

Genjusz, którego imienia nigdy nadaremno nie wezwaliśmy w turnieju wszechświatowym najwyższych zasług i imion o usprawiedliwienie trwania Narodu na ziemi.

Gdy nam starzy Grecy po trzech tysiącach lat echem słów dawno już umarłych wołają — Homer, a Rzymianie odkrzykną — Wergili, gdy Włosi, w obliczu srogiej zagadki trwania, mówią — Dante, gdy Niemcy — Goethe, — powiedzą, Franzuci wyrzekną — Molière, czy też Balzac, a Hiszpanie zawołają — Serwantes, a Anglicy rzucą nieśmiertelne słowo — Szekspir, Polacy bez drżenia powieki, mimo, iż z niewoli ich Narodu grzebał się do góry ów duch, odpowiedzieć mogą na tragicznem teatrum nieśmiertelności, jak równi równym: — Stanisław Wyspiański.

DAR WIECZNOŚCI.

Nie mogę mówić o Wyspiańskim, jak tylko z uczuciem, bezmiernej chyba, miłości i podziwu.

Każdy z nas, ludzi piszących, nosi w sobie określoną miarę swego wysiłku. Nosi również w sobie nadzieję, że ową własną miarę przeskoczy kiedyś i prześcignie. Nadzieję trwałą, — iż tak skwapliwie i pracowicie wyczyniona przez nas niewola formy rozpęknie, — i dalej dosięgniemy, niż zamarzyć mogliśmy w widzeniach najśmielszych.

Nadzieja ta jest przecie ostatnim ratunkiem w ciężkiej udręce tworzenia.

Każdy z nas nosi w sobie i ćwiczy i udoskonala odpowiedzialność wobec słowa i wobec społeczności, z której słowa nasze i sprawy sztuki czerpiemy.

Wierzymy chyba wszyscy, że odpowiedzialność ta zamknie bez reszty w sobie ludzi narodu naszego. W najśmielszych snach śni się też chyba wszystkim, że kilka z pośród tysięcy i tysięcy słów naszych ulgę piękna przyniesie ludzkości.

Bez wiary tej najlepszy nawet pisarz — jest tylko wzniosłym gadułą.

Każdy z nas, gdy z powyższych założeń wychodzi, wie, że kiedyś, świadomie czy też nieświadomie, musi

wreszcie pogrążyć się w tem, cobym określił — jako przepływ czasu. To znaczy, że w każdym z nas wszystkie formy, okrzyki i zaklęcia zwiążą się kiedyś, zetrą i przetworzą w nowy okrzyk niepospolitej świeżości, pełen uroków danego czasu i pełen przebaczenia dla czasów czy też form ubiegłych.

Każdy z nas — jeżeli jeszcze inaczej to wyrażę — walczy ze śmiercią, w nadziei, iż odnajduje słowa, które mieszczą w sobie wieczne zarody życia.

Tymczasem w miarę prac, widzimy przecie, jak mierzchną i umierają nasze książki. Jak zalewa je czas swą wodą szarą. W miarę życia widzimy, jak dalece uboga była nasza odpowiedzialność w obliczu zdarzeń świata.

W miarę pracy przekonywamy się, jakże gruntownie, — iż to, co zwaliśmy przeznaczeniem twórczem, iż natchnieni widzowie sumienia naszego, czyli publiczność domniemana, urojona, dla każdego pisarza najświętsza, dla której życie całe piszemy, — to nie były ani losy świata, ani narodu, w nas przemawiające, lecz my sami, rozmową własną zaprzątnięci.

Dlatego nie mogę mówić o Wyspiańskim jak tylko z uczuciem przestrachu, — jako pisarz. Dlatego z uczuciem miłości i podziwu oglądam jego dzieła, — jakbym pośród kamieni zwykłych, lepszych czy gorszych, czy najlepszych wreszcie, — oglądał gwiazdy.

Niemasz tu żadnego porównania z innymi, i jeśli o porównaniach mowa, to nie, by jednemu przydawać a drugiemu odejmować, lecz dla osiągnięcia prostackiej choćby miary. Niemasz tu żadnego porównania, i nikt inny,

tylko on jeden miał w sobie ów dar najwyższy, który ośmieliłbym się nazwać — darem wieczności!

Porównajcie wiersz najmilszego z poetów, Tetmajera z wierszem Wyspiańskiego! Tetmajer płynie równo, gładko, z wdziękiem niepospolitym, tamten zaś szarpie i strofę zrywa i nagle łata swe marmury gliną ladajaką i na tak ciężkich zwrotkach zbija stopę!

Porównajcie bogactwo słowa Żeromskiego, ową zaiste nieprawdopodobną krasę, i wszystką wodę i słońce i powietrze, w jednem słowie zawarte, z wszechogarniającem a przeraźliwem słowem Wyspiańskiego?

I wszystkich, którzy w Polsce mówili od Jana z Czarnolasu aż po tego Stanisława z pod Wawelu.

Któryż to z nich urodził się taką gwiazdą świetlistą, żeby mu na przestrzeni jednego zdania czas nic już nie znaczył? Żeby mu każda chwila odrazu w wieczność krzepła, w wieczność zdobną wszystkiemi czarami przemijania?

Żeby mu historja narodu i wszystkie jego mity uroczyste zmieniły się pod jednem dotknięciem ręki w kategorję wartości ducha?

Żeby z nim wszystkie procesy przemijały, pełne stygmatu wieków a zarazem tak pełne żywości danych epok i czasów.

On, Wyspiański wśród wszystkich najpierwszy.

Twierdzenie powyższe należałoby oprzeć na analizie poezji Wyspiańskiego i teatru. Wedle mego zdania, nikt od czasów greckich nie przemawiał ze sceny głosem tak ogromnej powagi. Wydaje mi się, że Wyspiański w dziedzinie symbolu scenicznego dokonał tego, na co Szekspir zdobył się w dziedzinie kartezyjskiego realizmu.

Wszelacy nowinkarze czy dowcipnisie ekscentrycznych technik dziennikarskich pomawiają niejednokrotnie literaturę naszą o pewną zaśniedziałość, o zbyt wielkie obciążenie sztuki rodzimej sprawami ojczyzny. A tymczasem — tragiczne sprawy tej ojczyzny wydały artystę i genjusza, któremu równych nie znaleźć na przestrzeni ostatniego wieku w Europie i na świecie!

Albowiem dar wieczności nie może być wyuczony czy zdobyty, czy najcięższą krwawicą wypracowany. Ów dar rodzi się w wielkim artyście z przyczyn wyższej równowagi i harmonji i jest ostateczną rękojmią sprawiedliwości na świecie.

Takiem odwzajemnieniem za krzywdy i zniewagi narodu był w Polsce na początku XIX wieku Chopin,— na początku XX wieku Stanisław Wyspiański.

Wszyscy zaś inni, my, piszący dzisiaj, wobec tamtego piszącego sposobimy zaledwie materjał. Jesteśmy tą i inną kroplą deszczu urodzajnego, czy nawet głosem burzy, czy choćby tęczą wyniesioną nad łanem narodu,— jak wyniesione jest dzieło Żeromskiego. Lub zdrową ziemią — jak robota Prusa. Lub też łubinem wonnym, którego pod następne dopiero pożytki przeorują, — jak całe dzieło Dygasińskiego. Lub najrzewniejszym namysłem — jak poezja Kasprowicza,

Lecz On, Wyspiański, jest całą pogodą i wszystkiemi sprawami i najwyższą rzeczywistością pisanej mowy polskiej.

PISARZ ODŚWIĘTNY.

[Na wiadomość o śmierci Micińskiego otrzymaną w grudniu 1921 r.]

Są w każdej literaturze ludzie codzienni, są wieczni a są, gdyby można się tak wyrazić, — odświętni. Nie zdaje się nam, iżby wiedzę, żar i lęk przeczuć w takim stopniu wyrażali, abyśmy ich za wiecznych poczytywać mogli, pracami zaś swemi nie wiążący się ściśle z naszą powszednią krzątaniną.

Nie codzienni, ani też wieczni, lecz niedzielni, odświętni, przy granicach sprawy wszelakiej świecący wybuchem zbłąkanego natchnienia.

Zdaje mi się, że w piórze swem i życiu takim właśnie był Tadeusz Miciński.

W każdej polityce nieobliczalny, może nawet płochy, zawsze w działalności nadmierny i naiwny, w stylu marnotrawnie targający wzory swej bystrej myśli, z żądzy współczesności aż zacofany, z żaru pamiętania aż zapamiętały, z potrzeby ruchu spajający wszystkie epoki w jeden węzeł splątany, w aktualnych drobnych wydarzeniach widzący nieomylne znaki historji, w dziejach teraźniejszych upatrujący tajną wróżbę przyszłości.

Kto czeka od tego pisarza obrazów współczesności owoczesnej i jej zasad wytycznych, ktoby tu chciał zobaczyć, jak zmagała się troska powszednia z wiecznością

duszy ludzkiej; kto czeka od tego pisarza tych kilku słów ostatnich, które na skutek rzadkiej i najkrótszej prostoty nazywamy słowami wieczności, — zawiedzie się.

Ktoby jednak szukał cudów bezdroża w żałosnym czasie ówczesnym, ktoby szukał, badał, czy nagle w mrokach i w szarości nie może zalśnić światło wspaniałe, oderwane tak wielce, że aż zimne w swem natężeniu, — znajdzie w Micińskim chwilę przedziwną, w powszedni dzień szaloną, która pali się niejako sama w sobie i z siebie samej.

Miciński jednak wierzył, że prawuje się z wiecznością: Wierzył, że odrabia za wszystkich innych zawiły proces odkupu ubiegłych okresów i nastawiania na tor właściwy wieków przyszłych.

Uważałbym ze swej strony za wielką nieoględność wszelką chęć rozprawy z takiem stanowiskiem.

Nie naszą to przecie rzeczą, autorów, — gdy i tak każdy z nas opętany jest własnem marzeniem, — zwalczać marzenie drugiego.

Z powyższych względów uważam, że winienem wieczność czy wieczystość pozostawić dziełom Micińskiego, — niech same o tę sprawę walczą, — a gdy teraz piszemy, aby Go jeszcze raz pokoleniu współczesnemu przypomnieć, lepiej może będzie, gdy się postaram z powszedniego przemijania uchwycić kilka linij, barw, kształtów i tonów dla poety tego szczególnie charakterystycznych:

Miciński był człowiekiem średniego wzrostu, budowy silnej, barczysty, obrotny, jakgdyby ustawicznie tchnący w geście i słowie ciepłem wewnętrznego ruchu.

Ciało swe ćwiczył nieustannie. Z radością straszył kawiarnianych mieszczuchów, że nagi wyleguje się na szczytach Tatr i niby faun biega tam w zawierusze. Możnaby powiedzieć, że miał „przeczucie sportu“, potrzebę hartu fizycznego, znakomity instynkt autorski, żądający dla olbrzymiego wysiłku nerwów zdrowej, tęgiej zasady fizycznej.

Jego głowa należała chyba do najpiękniejszych wśród ówczesnych pisarzy Europy, sklepiona najwyższym architektonicznym przepychem, podobna do głowy magów czy sułtanów z wschodnich opowieści. Kształty jej, jakoby lśniły szlachetnym blaskiem materjału, z którego była rzeźbiona: lśniły kością słoniową i złotem.

Duża biała łysina, okolona powyżej karku pierścieniem złotych włosów łączyła się pysznym łukiem ze skroniami, z których biegły ku nasadzie nosa świetne linje brwi. Razem dawało to jakąś harmonję śmiałych i szerokich łuków, pobłyskujących światłem.

Nos był mocny, orli z tęgim wykrojem chłonnych, ni to zdyszanych nozdrzy. Oczy niebieskie, wielkie, nigdy niezmącone, patrzące przed siebie porywczo. Iskra spojrzenia przeźroczysta, wnikliwa, nader jasna. Gdy się Miciński zapatrzył, mięśnie twarzy zatrzymywały swą kamienną powagę a blask spojrzenia sprawiał wrażenie wstawionych w turkusową źrenicę trójkątnych berylów.

Brzmienie mowy i oddechu zawsze, jakby żarem owiane.

Usta miał małe, krwiste, zdrowe, otoczone wąsem. Broda czepiała się wysoko policzków gęstniejąc w miarę spadania do barwy topionego karmelu.

Głowa przestronna we wszystkich szczegółach trafnie utoczona, spoczywała na krótkiej szyji, od której szły bary, bez spadu prawie wszerz.

Oddech miał Miciński astmatyczny, czy jakby otłuszczony. Niosły się na nim słowa, w codziennem obcowaniu nieoczekiwane, urocze, radosne, nigdy pospolite.

Gdy Mistrz nie miał zamiaru nikogo swą pozą łamać, straszyć, czy zdobywać — był najmilszym człowiekiem. Olbrzymia wiedza faktów, osobliwie natchniona filozofja, nieustanna obecność duchów i niedościgłych przykładów Wielkości łączyła się wtedy u niego z tak popędliwą a tak zawsze świeżą miłością życia i znikomego szczegółu.

Z połączenia znakomitych zmysłów i żarliwej dyscypliny ducha wytwarzał się humor najosobliwszy w świecie, dobra wola i łatwa szczerość, stawiająca w jednym i tym samym rzędzie sprawę zasadniczą i całkowicie podrzędną.

Mam wrażenie, że w tych dowolnych chwilach codzienności był Miciński niebywałym poetą. Mam wrażenie, że gdyby był żył dłużej, doszedłszy do wyrażenia w swych pismach tego, co było w nim najistotniejsze a do czego zrozumiałą koleją rzeczy dochodzimy najpóźniej: — Byłby doszedł do jednolitego stopu pomiędzy powszednością a wielką pracą twórczą.

Dopiero w osobistem pożyciu widziało się, jakie są możliwości w Micińskim i jak niewiele z nich wyraził. W pismach swych za dużo jeszcze przykrawał materji do tworzonej przez się szaty. Nadmierne bogactwo ciągle rozrywało szwy.

Miałem okazję przypatrzyć się bliżej temu pisarzowi w czasie wspólnego objazdu Małopolski (z nim i z panią Wielopolską), gdyśmy, jakby w przeczuciu mających nastąpić wielkich wydarzeń, dawali wspólny odczyt p. t. Termopile. Odczyt ten złożony z trzech części miał niejako wyobrażać wysiłek duszy polskiej, trwający zwycięsko w obliczu przemocy wrogów naszej Ojczyzny.

Przyglądałem się wtedy Micińskiemu, — wyznać muszę, z nieopisaną rozkoszą. Nie można inaczej powiedzieć, a tylko, że wiersze biły z niego, — jak woda bije ze skały. Wiersze, apostrofy, posłania, artykuły. Tworzył nieustannie, nie odpoczywając ani chwili, zachowując poetycką postawę wobec wszystkiego, z czem go stykał przypadek.

Podczas wędrówki przez wschodnią Małopolskę, przez kraj tak piękny, uroczy, tak pełen wdzięku, szumny, błyszczący złotem zboża i metalową śniedzią wielkich dębów, gdyśmy wraz z panią Wielopolską o ludzie tutejszym rozprawiali i o gniewach, nienawiściach, jakie ów lud wciąż z nami różnią, — Miciński zamilkł, odgrodził się od nas swą peleryną, czy opończą i między Tarnopolem a którąś inną stacją napisał wiersz przeciwko nam i przeciw gniewom owym, wiersz pełen szczytnej ekstazy i miłości.

Ukończywszy, podał nam zapisane wielkiem pismem arkusze, wraz — z wielkiem jabłkiem czerwonem, które przełamał w swych dłoniach potężnych.

Co miało oznaczać owe jabłko? Jaki to był znów symbol? Czego? Pojednania narodów, czy też rozłamanego owocu życia, który poezja tylko złączyć i zcalić może?!

Nie wiem, lecz pamiętam, iż uczuliśmy w tej chwili oboje, zarówno pani Wielopolska, jak ja, że w tym człowieku najdziwniejszym poezja wszystkie sprawy oczyszcza i na wyżyny miłości jednem tchnieniem olbrzymiem wynosi.

W pracy odczytowej nie uznawał żadnych schematów. Nigdy się nie wiedziało o czem właściwie będzie mówił, każdy dzień, każda gazeta przynosiła coś nowego, co Miciński natychmiast wcielał do treści swych wywodów.

Swoisty sobie stan odświętnego natchnienia widział we wszystkich, z którymi się spotykał. Pamiętam np., że w Krakowie miał mówić o Poniatowskim. Gdy oto nagle umarł jakiś przyjaciel Micińskiego w Dreźnie, — prorok gimnastyki rytmicznej.

Miciński pędzi do Drezna. Na odczyt do Krakowa spaźnia się o godzinę. Zatrzymuje publiczność wychodzącą już z sali. Zaklina ją głosem uroczystym, by wróciła na miejsca, stała się bowiem rzecz doniosła.

Ludzie wracają, w sali już na pół ciemnej zaczyna poeta swą rzecz o Poniatowskim, — oto nagle ogarnia go jasnowidzenie. Dokonywa się usilna praca umysłu i serca, mocą których znikają różnice pomiędzy wodzem polskim a szlachetnym niemcem, prorokiem gimnastyki rytmicznej.

W miarę wysiłku rzecz nabiera dla Micińskiego barw coraz realniejszych, wszystko gubi się w jednym wielkim porywie miłości, — staje przed nami w całej chwale Miciński, twórca odświętny, wzniosły, a zarazem obłędnie niepotrzebny, niezrozumiały, a zarazem tak boleśnie ko-

miczny, całym zasobem natchnienia oddany nagle tak zaplątanej treści!

Był szczery. Nie miał czasu na warzenie rzeczy w pomiernych tyglach formy. Kwestja słuchaczy, publiczności, czytelników nie istniała dla niego. Świerki, ludzie, góry, — wszystko jedno kto słuchał, kto czytał. Miciński wierzył, że słowo podane czystem sercem przypadkowemu nawet otoczeniu zmarnować się nie może.

Trudno sobie wyobrazić tragedję, jaką musiał przeżywać w czasie wielkiej wojny. Jak go musiano nadużywać dla wszelakich orjentacyj, jak wstrząsać nim musiały ogromne wydarzenia.

Sądzę, że wkońcu właśnie wiara w słowo, święta naiwność wypowiedzenia szczerej myśli zgubiła Micińskiego.

Nosił przecie w sobie zawsze polskie, wieszcze, federalne „zagadnienie kresów“. On piewca „wiecznie przyciągającej się różnicy“ znalazł się był podobno gdzieś na kresach podczas odwrotu z majętności zagrożonej, wśród rozjuszonego chłopstwa.

Już był się pono ocalił, gdy oto raz jeszcze powrócił na to miejsce po swe skrypty.

Każdy z nas, ludzi pióra ma poczucie miłości i ochrony swoich skryptów. Miciński jednak, wierzący w swoją nadprzyrodzoną misję, nie miał przywiązania do autografów. Gubił je często, wierząc w nieustanny nadmiar swej świetnej siły twórczej. Jeżeli tedy wracał po zeszyty, to chyba wierzył, że tam właśnie w owych papierach wypowiedział, — czego już drugi raz powtórzyć nie potrafi.

Może dopiero tam wyraził, czego jeszcze nie umiał

określić, gdy nam podawał pod Tarnopolem wiersze wraz z tajemniczem jabłkiem?

Może na tych właśnie zagubionych kartkach dotarł nakoniec do słów, które bywają w życiu narodów najpełniejszym wyrazem piękna i pobłażania?!

Różne słuchy i domysły podawano o śmierci Micińskiego, między innemi, — że powróciwszy na miejsce, z którego był uchodził, wpadł w srogi gniew na widok rozpasanej ciemnoty siermiężnej, która tam rabowała. Wtedy to jął wymyślać i przemówił się z nimi.

Aż żal myśleć: Jak to tam wracał w owym czasie wiosennym przez rozłogi ukochanej Rusi, — ziemia pół żywa a pół martwa, nareszcie zaś ta wieś i cerkiew i rozwalony cmentarz i droga rozwłóczona.

Nad ziemią niebo czystą barwą rozlane wysoko, tu w rozpadlinie gruntu ciemne chłopstwo i zwada między tłumem a prorokiem.

Ciemne chłopstwo w głębi duszy pełne szacunku dla tak dziwnego lacha, — z pozoru pełne szyderstw.

Na bryce w siwej bekieszy ów wielki lach, w głębi duszy pełen miłości dla nich, — z pozoru ubliżający najgwałtowniejszem słowem.

Słowa, ciemne uczucia, wyzwiska, uderzenia, — czerwona wstęga zbrodni pod niebem nowej wiosny — i jeszcze jeden owoc życia, — tak marnie rozgnieciony!

Ogromna szkoda nasza i ich i wszystkich, i nieodżałowany ból na granicach kresowej ziemi, która w wzajemnych krzywdach pokochać się nie umie.

Więc cóż tu jeszcze mówić o szkodzie, jakiej doznajemy w naszym cechu i w naszym wątku piśmienniczym?

Ostatniemi laty przybyły nam w literaturze polskiej nowe pokolenia, jedno i drugie, radosne i wesołe, chowane już w wolności.

Jeszcze błyszczą dorodnie ci, którzy z mroku jasność przepowiadali i my żyjemy przecie, którzyśmy dojrzewali w czasie przełomowym: — Niema już jednak tego pióra, lśniącego tajemniczym bezużytkiem czasów, niema już tego męża szalonego w zachłannej pracy, który przy słupach naszej drogi statecznej zachwycał świat najrzadszym zbytkiem i czarem bezpotrzeby.

Ś. P. STEFAN ŻEROMSKI.

[† 20. XI. 1925.]

TRZY ZRĘBY.

Cóż, że nas śmierć wielkiego człowieka poraziła boleśnie?!

Gdy stajemy wobec ogromu dzieła rozpierzcha się nasza żałoba, — rozwiązują się węzły uczuć chwili tej właściwych.

Bo oto, radość nas przejmuje potężna, prosta, jasna, radość, że mowie naszej tyle przybyło głosów nowych, obyczajowi polskiemu, odtworzonemu w powieści, tyle przybyło prawdy, że dola nasza wczorajsza, tak smutna i potworna — po wieki kwitnąć będzie w wątku tego Twórcy.

Trzy są zręby, trzy słupy potężne, na których dźwigają się dzieła, rozmiarów Żeromskiego:

Pierwszym ze zrębów owych jest talent, — łaska, którą na świat przynosi się z sobą. Ów dar, że słowa przez piszącego użyte mienić się będą barwą, trzepotać życiem, oddychać świeżością.

Drugim ze zrębów onych jest miłość. Miłość życia, prawdy, człowieka, — która sprawia, że każde przez Mistrza wyrażone cierpienie jest naszem własnem, każda radość i każda krzywda — naszą.

Miłość ta obdarza słowa Twórcy najcudowniejszym darem — powszechności.

Miłość owa sprawiła, że Żeromski całe swe życie mówił prawdę za Naród swój i za człowieczeństwo swej epoki.

Na tych dwóch zrębach jednakże nie utrzymałaby się szczytna budowla, gdyby do nich nie był przydany zrąb trzeci, — o którym najmniej mówi się u pysznych podwoi sławy, — a który tyle bierze i najwięcej pochłania z autorskiego mozołu.

Mam tu na myśli trzeci zrąb wiekopomnego dzieła pisarskiego, — ową pracę codzienną, żmudną, szaloną w nieugiętym spokoju, przez wszystkie stronice nieustępliwą zawsze w trosce o wykończenie.

Nie dość talentu, miłości: — do dźwignięcia dzieł takich trzeba setek, tysięcy dni i godzin żarliwych bez liku. Trzeba było żyć ze swym Narodem wśród padołów, na szczytach, w święcie i powszechności, — lecz zawsze, zawsze wracać do zaczętej stronicy. Dziś wszystko z siebie wydać a już jutro od nowa świeżą zakładać kartę, troskliwie, pilnie, starannie, jakby ta właśnie pierwszą miała być i ostatnią całego życia.

Gdy autorowi Popiołów wznosimy w pamięci naszej pomniki sławy, czci i uwielbienia — nie zapominajmy o jego ciężkim, wzniosłym trudzie codziennym.

Gdy serce Mistrza przestało bić, nam zkolei wypada podjąć pracę, do tak pięknych końców doprowadzoną: By na chwilę nie było przerwy między tem, czem byliśmy za życia Pisarza, a czem jesteśmy gdy Go nam już brakuje.

Niech głos całego pokolenia woła w tajemną stronę cieniów:

Przykład twój, Mistrzu, płonie nad warsztatami naszej pracy! Nie masz dnia, czasu, godziny, któreby sprawiły, iżbyśmy nie przystąpili od rana do rozpoczętej wczoraj karty naszych działań.

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ.

Przybyliśmy tu, aby umaić kwiatami, wieńcem wdzięczności przystroić mogiłę człowieka, który przez wiele lat był nietylko pierwszym z pośród pisarzy polskich, lecz który przez lat wiele prowadził Ojczyznę naszą trudnemi, wysokiemi ścieżkami na drogę Niepodległości.

Ogrom zasługi Stefana Żeromskiego, jako twórcy, jako budowniczego charakterów, jako obywatela, jako mistrza prozy polskiej onieśmiela każdego z nas. Ogrom zasługi tej ma jednak wagę tak potężną, tak w swej istocie radosną, iż onieśmielając, napełnia nas niewyczerpaną nadzieją.

Gdy sięgamy do głębi przeświadczenia naszego o życiu i czynie tego Twórcy, cóż tu na Jego mogile czujemy najpewniej?!

Oto, nie ima się tu nas prastary, każdemu żywemu stworzeniu przyrodzony strach śmierci. Ani współczucie, że oto trwamy jeszcze na tej ziemi przepięknej, gdy najlepszy z nas ciało swe złożył już w jej nieskończonych przemianach.

Ani nas ów strach śmierci oblatuje, ani współczucie, najbardziej męskim sercom zwykłe, — tu bowiem nad tą mogiłą rozmyślając, jakbyśmy stali u źródła raczej,

u źródła niespożytej walki, niezwalczonej młodości i młodego wieczyście zachwytu.

Rządzić kochającem sercem, przewidywać miłością, stawać za siebie i za wroga swego w każdej rozprawie wszystką myślą prawdy, gdyby zdobycz osiągnięta zatrzymać nas miała, trudniejszą zdobycz wskazać, — sens każdego słowa sprawiedliwością nicować, każdego uczucia wartość mnożyć ceną obowiązku, nigdy do ostatniej chwili nie przystanąć, od szczęścia swego tysiąc razy dla drugich odchodzić, jeszcze na progu śmierci rozwiązywać węzeł braterskiego porachunku, przez całą drogę świecąc słowami najwyższego piękna — oto przecie Żeromski!

Kładziemy wieniec na mogiłę Jego pełni smutku, a zarazem przepełnieni szczęściem, jakie daje triumf życia nad śmiercią. Nad tą mogiłą stoimy właśnie w obliczu takiego triumfu, w pierwszą rocznicę pierwsza z drużyn, które z przebiegiem lat mnożyć się będą i tu przychodzić i tu myśleć i stąd w przyszłość patrzeć wspomnieniem nieśmiertelnych słów tego pisarza.

ABY SIĘ SPEŁNIŁO MARZENIE.

Śmierć Żeromskiego stanowi w historji literatury polskiej datę historyczną. Odszedł, jak słusznie pisano, jeden z wielkich proroków, którzy przez ostatnie dni upadku naszej ojczyzny aż do Jej powstania krzepił naród w wierze i wytrwaniu. Ostatni pisarz z rzędu tych, których sztuka była żarem misji i kapłaństwa.

Śmierć tę uczcił rząd pełnym blaskiem władzy państwowej, społeczeństwo samorzutnie przystępuje do obchodów. Na całym obszarze Rzeczypospolitej wszystkie „obozy“, bez różnicy przekonań politycznych, wszystkie zawody nieomal wydają uroczyste akademje.

My, pisarze, składamy publiczny hołd pamięci wielkiego Koryfeusza. Można bez wahania powiedzieć, iż niema dziś w Polsce pióra, któreby w tych dniach bolesnych nie pośpieszyło z wyrażeniem czci, bólu i żałoby.

Zgon tak wielkiego twórcy to nietylko śmierć wodza duchowego i znakomitego artysty. Tyleż to jest, — i zarazem o wiele więcej!

W chwilach tych myślą i uczynkiem stwierdzamy, ile w tej stracie zawiera się z rzeczywistości śmierci, — a ile z jej przezwyciężenia. Jest to niejako moment probierczy dla nas i dla działalności pisarza. Powiadamy bowiem — umarł człowiek, — dzieło po stokroć trwa!

We wszystkiem, co dotąd napisano o zgonie Żeromskiego, spotykają się te dwie myśli, przyczem druga pierwszą przezwycięża.

Jak gdyby żal za drogim człowiekiem zmagał się tu z radosnem przeświadczeniem o niezniszczalności dzieła.

Trudno w tej chwili przyłączyć się do chóru głosów podniosłych, — ze słowem szorstkiem, przykrem, być może nieodpowiedniem nawet. Popycha mnie w tym kierunku nie jakiś sens przekory, ani iżbym dostatecznie nie odczuwał godzin ciężkiej naszej żałoby.

Popycha mnie ku temu doświadczenie i osobliwszego rodzaju praktyka śmierci w Polsce, bardziej może pyszna a zarazem bardziej brutalna, niż w wielu innych krajach.

Ileż to razy w obozie umieliśmy za drogą trumną iść z narażeniem życia, nieomal przed oczami nieprzyjaciela, — a tych kilku najświętszych, krwią oblanych kartek, słów, notesów pozostałych po zmarłym, nie umieliśmy dostarczyć zbolałej rodzinie?!

Ileż to razy — jeżeli chodzi o kult naszych wielkich — grzebaliśmy ich szanownie, — nie znajdując dość sił i rozsądku i wewnętrznej powagi, by puściznę po nich należytem staraniem otoczyć!?

W sztuce polskiego pisarstwa przykładów na to, dosadnych, obrażających uczucia najprostszej ciągłości trudu, — aż nadto!

Odczuwał to przecie sam Żeromski, tylekroć chyląc się nad wysiłkami ludzi, których zasługi lekkomyślność nasza wyrzuciła z codziennego obiegu duchowej potrzeby. Rozumiał znakomicie, jak łatwo zapominamy, jak

nietrudno u nas, zwłaszcza w zawodzie literackim, o zmarnowanie dorobku, nieposzanowanie puścizny, zmarnotrawienie pracy.

Dlatego m. in. pragnął Żeromski zawód pisarza podnieść wysoko w społeczeństwie, osadzić w hierarchji, może nawet obciążyć pieczęcią urzędową. Aby — skoro tak wypadło wielkim poprzednikom — następcy Jego przynajmniej mieli w narodzie odpowiednie zachowanie.

Zachowanie trudu, prac, rzetelnej możności działania! Ten przecie, a nie inny sens widniał ze starań o utworzenie akademji literatury polskiej. Pisarze, zebrani w tej kongregacji najwyższego honoru słowa, wyjęci własną zasługą i opieką narodu poza nawias troski codziennej, mieli tu tworzyć dla siebie oraz swych następców olbrzymi warsztat pracy, oddany pięknu i wzbogaceniu mowy naszej.

Wyjęci poza nawias troski codziennej!...

W tej chwili hołdu — sądzę, iż nie od rzeczy będzie przypomnieć, jak z troską tą walczyć musiał Żeromski, jak się z nią szamotał przez wszystkie dni pracowitego żywota. Ile musiał krzesać z siebie fanatycznego hartu, by się stromą swą drogą wciąż naprzód posuwać?!

Ileż te sprawy codzienne zajmowały mu czasu, ileż razy przerywać musiały wątek twórczy, jakże często ciążyły nad niezrównanym polotem pisarza!

Przypominam sobie listy Żeromskiego do krakowskiego dyrektora spółki wydawniczej „Książka“, człowieka najlepszej woli zresztą, B. A. Jędrzejowskiego, — listy, w których Mistrz wypisywał stronice całe w sprawie dwustu, trzystu koron. Była to suma, stanowiąca mie-

sięczną pensję nauczyciela gimnazjalnego, — ileż bezcennego czasu tracił Żeromski na wydobywanie takich kwot!

Jego mieszkanko w Zakopanem w czasie wojny, pozbawione wszelakiego komfortu; żałosne wyprawy Mistrza po mleko czy po chleb, — i jakże często przerwy w dopływie pieniędzy potrzebnych na najniezbędniejsze środki do życia!

Powrót Mistrza w niepodległej Polsce do Warszawy: Witaliśmy Go za stołem uczty ubogiej płomiennemi mowami, — gdy nie miał się w stolicy gdzie pomieścić i mieszkał kątem.

Poczem, nareszcie, własne mieszkanie, przy ulicy Wspólnej, — trzecie piętro, trzy ciemne pokoiki od podwórza, do których wchodziło się kuchennemi schodami.

Nakoniec — siedziba na Zamku, — jakże skromna, ciasna i malutka!

Jedno pasmo kłopotów, jedno pasmo „wspaniałego powodzenia moralnego", któremu towarzyszył istny rój nielicujących z pozycją braków najpospolitszych.

Pamiętać należy, że praca autora, tworzącego tak wiele i wspaniale, nieustanna praca wynalazcy wymagać musi bodaj takiego spokoju, jaki ma dobry doktór, adwokat, przeciętny dyrektor banku, inżynier.

Wyobraźmyż sobie wielkiego obrońcę prawnego (nie był przecie mały w porównaniu z nimi Żeromski), który sam otwiera drzwi klijentom, sam przepisuje na maszynie, sam stoi w ogonku z poleconemi listami... Chirurga, który przed operacją sam pali w piecu, by wodę zagrzać do wygotowania narzędzi... Ministra (nawet od wielkich ministrów nie wyda się nam mniejszy Żerom-

ski), który przed godziną audjencji sprząta osobiście i osobiście froteruje salę audjencjonalną...

Byłoby wielką obłudą ukrywać te sprawy.

Pamiętajmy, w jakich warunkach pracował! Co zrobiliśmy dla największego twórcy polskiego nam współczesnego, — a co nam dał?

W olbrzymim, codziennym wysiłku Jego ducha, w pracy, która pochłania całkowicie, która spala człowieka, która wymaga zestrzelenia i napięcia wszystkich władz, nie oszczędziliśmy temu ofiarnikowi, całe dziesiątki lat czującemu za naród cały, — nie oszczędziliśmy żadnej prawie z tysiącznych dokuczliwych trosk, tak nieznośnie zrywających nić natchnienia.

W stosunku do innych, obcych, od których zaiste nie był mniejszy, od Manna, France'a, Maeterlincka, d'Annunzia, Mereżkowskiego, Hamsuna, — żył — jak parjas. Gdy tamci dawno już mieli z drogi swej wszystkie troski uprzątnięte, rozporządzać mogli już od lat dziesiątków wszystkiem, co dać może świat współczesny dla rozszerzenia widnokręgu patrzenia, — nasz Największy uważać musiał za uśmiech szczęśliwego losu, gdy nie wisiała nad nim bezpośrednia troska o szare jutro.

Żal nasz nie może być przecie bezcelowy. Niech blask rządu naszego i sejmu nie będzie blaskiem płonnym. Niech właściwe czynniki, które rozumieją bezspornie, że przedstawiciel państwa, poseł pełnomocny nie może w obcym kraju mieszkać na poddaszu czy w suterynie, — zrozumieją, iż w ojczyźnie najwyższym posłom ducha należy się też stałe miejsce we własnym domu czci i pracy — w akademji literatury polskiej.

Niech troskę o dom ów, troskę największego pisarza polskiego, podejmą właściwe czynniki z racji Jego śmierci, tem bardziej, że z państwowego stanowiska lepiej niż z wszystkich innych widać, iż sto kilkadziesiąt lat żyliśmy ogniem, trudem, duchem tych proroków, i żaden z narodów Europy tyle swym wieszczom nie zawdzięcza, co my!

Za sejmem, rządem pójdzie z radością społeczeństwo. Z tak doniosłych skutków tej śmierci zacznie się uczyć, rozumieć, co to trud pisarski, co miłość, godność słowa, co — udręka tworzenia.

Zacznie pojmować wdzięcznie czar mowy ojczystej, — a wtedy, po wielu latach, nieznani dziś następcy autora „Popiołów" tworzyć będą w pełnym blasku dnia, przy olbrzymim, jasnym warsztacie, bez obawy, że pierwsza lepsza troska czy zawierucha rozmiecie ich dzieło i zniszczy.

WZÓR PISARZA-DZIAŁACZA.

GUSTAW DANIŁOWSKI (1871—1927).

Gdy przychodzi ostatnia owa chwila porachunku, będąca przecie pierwszą chwilą wieczności człowieka, gdy ma wśród nas pozostać to tylko, co było duchem, czynem i trwałem zwycięstwem, — czujemy wszyscy, iż Gustaw Daniłowski, mimo, że śmierć Go zabiera, nie przemija pośród nas, ani w myśli naszej, ani w uczynkach, ani w całej Ojczyźnie.

Któżby mógł w Polsce wyobrazić sobie walkę ludu o prawa, bez tego wojowniczego nazwiska?

Obronę kraju bez chwili, w której żołnierze nie musieliby sięgnąć pamięcią do przykładu tego żołnierza?

Przebijanie się przez zrosty przesądu, bojowanie o jakąkolwiek sprawę godziwą, o której prawa nie walczyłby już w swej sztuce i w swem życiu Gustaw Daniłowski?!

W swej sztuce i w swem życiu: Należał do ludzi jednolitych, nie znających rozdziału między sztuką a życiem. Co było powiedziane na stronicy książki, musiało się wyrazić uczynkiem dnia powszedniego.

Stanowił on typ owych kilku artystów-proroków, którzy na schyłku ostatnich dni niewoli zatracili świadomie i ofiarnie granice pomiędzy wizją artystyczną a rzeczywistością społeczną.

Ludzie ci wynikli z ostatnich legjonowych doświadczeń Mickiewicza, wychowani w żarach tradycji powstańczej, natchnieni straszliwą powagą czynów Piłsudskiego, przejdą nietylko do historji literatury, czy historji stronnictw politycznych, czy walk narodowych. Ludzie ci utworzą w historji obyczaju polskiego, obok męża stanu, żołnierza, przywódcy, — jeden z najpiękniejszych wzorów polskiego pisarza-działacza.

Ów wzór pisarza-działacza jest tworem nader kosztownym, wynikającym z ciężkich ofiar, z okrutnej walki, z nieprzeliczonego wyrzeczenia się wartości ukochanych, na rzecz jeszcze większych i donioślejszych.

My artyści, dziś, w Polsce Niepodległej pozwolić sobie możemy na oddanie się sztuce. Stać już przecie Ojczyznę na słuszny podział pracy. Jedni liczą a inni mierzą, a trzeci sądzą, a jeszcze inni doskonalą się we władaniu bronią.

Czasy, w których działał i tworzył Daniłowski, pochłaniały artystę-obywatela wielostronnie. Pisarz był wówczas pisarzem i żołnierzem, konspiratorem i kaznodzieją. Brał na siebie wszystkie obowiązki.

Daniłowski, pisarz wszystkich obowiązków, — spotykał się niejednokrotnie w krytyce literackiej z zarzutami społecznictwa, czy nie dociągnięcia miary artystycznej do granic wyznaczonych temu artyście przez Jego wielki talent.

Niepodobna ocenić dziś, na ile zarzuty te były, czy są gołosłowne. Oceni to później sama już historja literatury, gdy w potężnym, niepodległym narodzie wyznaczać będzie miejsca pierwsze, drugie i trzecie, tym, któ-

rzy słowem Ojczyźnie służyli. Nie możemy sądu tego wydać my, z prostej przyczyny, iż my, ostatnie pokolenie literackie z przed wielkiej wojny, wyrośliśmy właśnie w szkole pisarzy, w której Daniłowski jedno z główniejszych miejsc zajmował.

Był wielkim, szczerym, najsumienniejszym nauczycielem w trudnym terminie odczucia spraw Narodu i Człowieka.

Nie trudno przecie dziś na placach święta i parady czcić godne daty powstań, oddawać hołd „Jaskółkom", czy też wolnomyślicielstwo głosić i przeciw strupieszałym kanonom powstawać.

Lecz wówczas, wtedy, gdy „ogół narodowy" opływał kazuistyką ciężkiej ugody, — wtedy uzasadnić, najtkliwszem wzruszeniem zdobyć szacunek dla Dni Minionych! Gdyśmy jeszcze promieniowali w życiu fałszywą wielmożnością szlachetczyzny, — wtedy dla uczynku szarego robotnika, dla bohaterstwa rewolucjonisty szacunek stworzyć wiekopomny!

Przeciw dławiącemu naciskowi masy, ponurej ilości — jakość wynajdywać i dźwigać w górę do najwyższych stopni zasług na drabinie narodowych cnót!

Jest w twórczości Daniłowskiego ten właśnie heroizm podnoszenia prawdy z minionych i bieżących dni, heroizm, który dźwięczy w dziele Gustawa nieskalaną czystością prawdy. Heroizm tem bardziej wzruszający, iż jakoby przechodził siły twórcze tej kompleksji artystycznej.

Tak, jak cele, które stawiał sobie Daniłowski w życiu, przechodziły po stokroć jego siły osobiste.

Oto człowiek, — który w myśl najszlachetniejszej zasady mędrców, — przewyższał nieustannie samego siebie.

Nikły, niepozorny, napastowany nieustannie tysiącem dolegliwych niedomagań, sto razy złożony niemocą, od początku swej pracy przezwycięża się, staje do czynu cicho, skromnie, z jakimś świątobliwym uporem. Przechodzi tyle walk, napawa wolą zwycięstwa dwa pokolenia Polski, prowadzi Muzę Powieści naszej przez zgliszcza 1905-go roku, i znów wyciąga w pole w roku 1914-tym i z najmłodszymi dociera w pierwszym szeregu do szańca Polski Niepodległej.

Przyszły krytyk, pozbierawszy starannie wszystkie utwory, prace, artykuły, całą zasobną publicystykę, całe dzieło poetyckie, osądzi ile oddał Daniłowski sztuce, a ile sztuce Jego zabrało życie.

My, którzy czujemy jeszcze w ręku ciepło wątłych palców Daniłowskiego, my, których Jego książki budowały od podstaw, którzyśmy patrzyli, jak obdzielał Ojczyznę najcenniejszym kosztem swej sztuki i życia, — gdy Go brakuje między nami, — wołamy:

Jest i trwa ten Wielki Pisarz Wszystkich Obowiązków, trwa we wszystkiem, co tworzy Ojczyznę!

ON NAS ROZUMIAŁ.

Ś. P. EDWARD SŁOŃSKI.

[† 24. VII. 1926.]

(Wspomnienie.)

Nim poznałem Słońskiego, spotkałem jego wiersze w roku 1915 w Warszawie, gdy za specjalnemi przepustkami przemykaliśmy tu z niemieckiego frontu.

Powiadam, że te wiersze „spotkałem“, działały bowiem wtedy na nas wszystkich, ówczesnych żołnierzy Piłsudskiego, wciśniętych między niemieckie brygady, otoczonych na każdym kroku drwiącym uśmiechem „dobrze myślących sfer“, — działały nie jak utwory pióra, lecz jak dobrzy, kochani ludzie, przyjaciele, wyglądani goście z kraju, z którego zdawałoby się, nikt już chyba na nasze spotkanie nie wyjdzie.

Na lewo i na prawo, wobec Totenkopf-Husaren regimentów, Deutschmeistrów, landszturmów, landwerów, bośniaków, turków, węgrów, wszelakiego autoramentu zupaków biało-czarnych i czarno-żółtych — nasze kpiny jadowite, bezczelne i zuchwałe.

Nikt się tu więc nie cofa, ale wkońcu, gdzież na tej drodze krwawej i wielkiej trochę jakichś uroków, sławy, dźwięku, miłości?!

Temi kwiatami, sławą, dźwiękiem, miłością były wówczas dla legjonistów polskich wiersze Słońskiego.

Z całej Warszawy przemądrej, koalicyjnej, centralnej, kunktatorskiej Warszawy księcia-prezydenta, on jeden, Słoński, powitał nas tak właśnie, jakgdyby z nami maszerował od samego Łowczówka, jakgdyby się był tłukł pod Konarami, Jastkowem, strzelał pod Urzędowem.

Wszystkich „mędrców" za sobą pozostawił, wszystkich kwaśnych „orjentacyjnych" głowaczy i przemówił pierwszy wierszami, których słuchając, które przepisując, które deklamując nad rozbełtaną w cynowych kubkach kawą, starzy sierżanci legjonowi, — kość z kości żołnierskiej, najświetniejsza chwała i najstraszniejsza cholera piechoty polskiej... Których słuchając, — starzy sierżanci płakali.

Chciałem to powiedzieć Słońskiemu. Spotkaliśmy się w Udziałowej, gdzie siedział zadomowiony od pierwszego poznania w gromadzie rozmaitych brygadowców, ułanów, peowiaków i piechociarzy.

Zacząłem mu opowiadać, jak jego wiersze działają: Panie Edwardzie, jeden jedyny, lecz tak piękny głos z całej Warszawy!

Słoński rozumiał nas odrazu, rozumiał zasadę, osnowę legjonowego wojska do gruntu, jak tylko może rozumieć poeta.

Odczuwanie spraw tego wojska było natchnione przedziwnym romantyzmem, w znaczeniu zatarcia granic czasu, w znaczeniu współczesności pomiędzy naszym wysiłkiem a wysiłkami ojców, dziadów i pradziadów.

Romantyzm ten niczego dowolnie nie upiększał, przyjmował do swej treści pospołu grzechy i wady powstańczego poczynania polaków.

Słoński podtrzymywał nas swą muzą, — z jakąż radością wyznaję, — zagrzewał do walki przez cały czas legjonowej epopei, poza grupą pisarzy legjonowych — on jeden z pośród wszystkich polskich poetów.

Rozumiała nas znakomicie jego piosenka żołnierska w czasie beselerowskiej przysięgi, w czasie Szczypiorna i Benjaminowa, w czasie walk o Lwów i na kresach i w 1920 o Polskę całą.

Sądzę, że w tym czasie zaniedbywać zaczął zawód, z którego żył, to jest dentystykę. Miał rodzinę, przypuszczał chyba, że jej nie utrzyma z samego pióra, cóż jednak dziwnego, iż wolał, iż sobie więcej cenił czarny chleb, wierszami zarobiony, niż dostatek wyrobiony niekochaną pracą.

Powodzenie książek wraz z inflacją, to jest z okresem, w którym sowicie opłacało się przedsiębiorcom wydawniczym lokowanie kapitału w wydawnictwach, skończyło się nagle.

Słoński pisał a już nie miał gdzie wydawać. Cierpiał nad tem bardzo. Jak tylu innych zasłużonych pisarzy polskich „chodził po wydawcach“, namawiał, prosił, zgadzał się na najłatwiejsze umowy, rozkładał przedsiębiorcom koszta na niewielkie raty.

Napróżno.

Ostatnie lata, — w których, jak sądzić można z kilku przepięknych wierszy, drukowanych w Tygodniku Illustrowanym, cieszył się pełnią pisarskiego talentu, cierpiał już nędzę i głód.

Nie miał nawet na lekarstwa.

Marzył jeszcze o podróży. Wierzył, że wyjazd do Włoch wzmocniłby go, że zmniejszyłby postępy choroby. Jakże tu jednak marzyć o wyjeździe, gdy mimo groźnego stanu zdrowia pracować trzeba a leczyć też nie ma się za co?!

Bolesna, jakże potworna pośród ogólnej obojętności tragedja pisarza polskiego!

Żadnej emerytury, żadnej znikąd pomocy, żadnej do niczego „właściwego" przynależności.

Za dumny był, by prosić. W tajemnicy przed nim, kołataliśmy na wszystkie strony. Wykołataliśmy groszowe wsparcie z departamentu Sztuki.

Ostatni raz widzieliśmy się ze Słońskim u niego w mieszkaniu, układając prośbę do rady miejskiej o nagrodę literacką Warszawy dla zasłużonych pisarzy.

Ślęczało się nad bruljonem, by jaknajlepiej poukładać zdania, gdy wtem z sąsiedniego pokoju, odezwały się głosy dzieci Słońskiego.

— Pamiętajcie, — rzekł do nas nagle, marszcząc wysokie ciemnemi żyłami porysowane czoło, — że choroba to głupstwo, ale przecież muszę dzieci kształcić. Trzeba będzie koniecznie wyzdrowieć...

Jeżeli nawet wszystko na ziemskim progu zostawiamy, ku wiecznemu przechodząc, — troska o dzieci nasze jeszcze na tamtym świecie w parze z nami idzie.

Niechże, odchodząc w światłość niepojętą, nie dźwiga tam poeta udręki, której ulżyć Mu może wielka, tak w Jego pieśni bogata i szczodra Ojczyzna.

SŁOWO — ŻYCIEM.

NAD GROBEM Ś. P. EDWARDA SŁOŃSKIEGO.

Dla poety, zarówno jak dla żołnierza, — śmierć nigdy nie jest obcą, daleką i straszną. Żyje zawsze w jej cieniu.

Do dna pogrążony w przebiegu spraw ziemskich, któż jak nie poeta właśnie, wybiega poza sprawy one, przed siebie, w cień wysoki, śmiertelny, by pośród zimnych łuków ostatniej i najwyższej powagi istnienia jeszcze raz wołać życie doczesne ku sobie?!

By je prowadzić aż za kres drogi ziemskiej, ku progom tej radości, ku progom tego utrwalenia uczynków, cnót i wysiłków, które w rozumieniu naszem wiecznością nazywamy.

W te oto wysokie progi wieczności podążył teraz duch naszego serdecznego przyjaciela i kolegi.

Trudno zachować miarę uczuć i konieczną jasność wysłowienia, gdy oto mniemamy niezbicie, iż przyjaciel nasz stanął na wyższym stopniu doskonałości, niż rozum nasz może ogarnąć, z drugiej zaś strony, — gdy serca nasze ściska wielka boleść, jako że pozostaliśmy osamotnieni.

Gdybyśmy się boleści tej mogli oddać całkowicie, wypadłoby powiedzieć, że na wieki niemasz między nami przyjaciela, towarzysza i kolegi.

Boleści tej jednak bieży naprzeciw nie co innego, jak właśnie duch, praca, wieloletni a tak serdeczny i piękny wysiłek Tego, którego opłakujemy na tem miejscu.

Jakże to na wieki odszedłem, — mówi najpiękniejszy ton Jego poezyj, — gdy na wieki pospołu z wami kocham?! Gdy wszystko, w czem tkwią zadatki przyszłości, walka i honor młodego pokolenia Polski dźwięczą mem słowem i uczuciem?!

Jesteś na wieki pośród nas. Jak długo starczy w Polsce radości, że w kilka tysięcy legjonistów poszli młodzi Polacy na wielką wojnę świata, jak długo starczy blasku, że wódz tych młodych Polaków, Komendant Piłsudski rozłamał trzy obręcze niewoli, honor oręża zpowrotem na ziemi tej utwierdził; jak długo krzewić się tu będzie miłość odwagi, radość zuchwałego męstwa, tak długo życia Twoim pieśniom, w których bije Twe mężne a tak czułe serce.

Rozumiemy aż nadto dobrze, że słowa nasze nie mogą ukrócić straszliwego żalu najbliższych. Nie mogą innym łez otrzeć, ani zdołają w tej chwili nam samym ująć bólu. Może jednak, chociaż nieśmiało, niezręcznie i niejasno pokazują przecie rąbek tej nadziei, która oświeca dumą i wielkością poczynania ludzkie: Wielkiej nadziei, — iż życie słowu oddane, rodzi ze słowa onego jeszcze piękniejsze życie.

PROROK WOLNOŚCI SZTUK.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI (* 5/V 1863 † 23/XI 1927).

Dnia 23 grudnia 1927 przed południem zmarł ś. p. Stanisław Przybyszewski, — prorok wolności literatury polskiej.

Gdyby powiedziano autorowi Androgyne i Homo sapiens, że oto buntując się tak szumnie w dziełach, że indywidualizując tak uporczywie w swych dramatach, spełnia wielką robotę społeczną, Przybyszewski odpowiedziałby zapewne swoim rzekomo szatańskim, a w istocie tak onieśmielonym, tak onieśmielającym i uroczym śmiechem: — he, he, he.

Jak przystało wielkiemu Prorokowi nie dbał o sądy współczesnych, nie dbał nawet o użytkowy cel kochanych przez siebie prawd, całą twórczością swoją prawdom owym bezpodzielnie oddany. I, — jak to bywa w życiu, gdy idzie o rzeczy najprostsze a najważniejsze: Co innego sądzili o tej pracy i natchnieniu współcześni, inne cele wytykał sobie sam Mistrz, gdzie indziej zaś dokonała się i zamknęła istota całej sprawy.

Przybyszewski wykonał w dziejach literatury polskiej końca XIX i początku XX wieku pracę niebywałą, najtrudniejszą z trudnych, jeżeli przypomnimy sobie, w jakich chwilach tworzyć Mu wypadało.

Nad sztuką polską piętrzyły się przecież wówczas zmory wszystkich pożytków, misyj i posłannictw: Bronić ogniska domowego, czystości obyczajów, tradycji narodowej, honoru narodowego, sprawiedliwości społecznej mogła i musiała w Polsce tylko literatura. Umieściliśmy się w niej niejako bez reszty, wygnani z wojska, sądu, z rządu, z przemysłu, ze szkoły i zewsząd. Sztuka spełniając swe zadanie, broniąc zagrożonych dóbr moralnych i materjalnych, gubiła na tej drodze siebie samą.

Stanisław Przybyszewski, jak żaden z innych pisarzy, umiał, czyto darem swego talentu, czy olbrzymim wysiłkiem twórczej woli, — umiał tworzyć, jakgdyby nie istniały więzy, które nas wówczas krępowały.

Sztuką swą wywoływał zgorszenie ludzi małodusznych, zachwyt wśród ludzi wierzących.

Można bez przesady i bez żadnej ujmy dla największych arcykapłanów tajemnego misterjum polskiego powiedzieć, iż pierwszy to raz od czasów bodaj czy nie samego Wacława Potockiego, usłyszeliśmy w literaturze polskiej głos wolności. To znaczy, że ujrzeliśmy człowieka i jego sprawy tak postawione, jakby człowiek ten nie był ułomny, wszystkiemi ułomnościami niewoli.

Z takiego postawienia spraw wynikła forma Przybyszewskiego (zwłaszcza forma powieściowa), luźna, niezwiązana, pełna nieodpowiedzialnych pozornie uskoków i przerzutów, zapomnień i zbytków. Forma, która ujemnemi nawet walorami swemi czyniła właśnie miejsce przyszłym, lepiej rozplanowanym budowlom.

Z takiego postawienia rzeczy wynikł też ów nieustan-

nie zwiewny tok imaginacji, wróżącej powieściom polskim cudowną dyscyplinę obrazów Żeromskiego.

Z takiego założenia popłynęła w literaturę naszą mowa Przybyszewskiego, szalona pięknem, zawsze niespokojna, niszcząca swym oddechem po drodze wszelką rutynę martwej opisowej prozy.

Pomiędzy Sienkiewiczem a Żeromskim, a nawet Mickiewiczem i Kasprowiczem jest piękne, wyniosłe przejście, jest zakręt nader trudny, niebezpieczny: Zakręt ów wymościł swą sztuką, przejście ułatwił i łączność stworzył, młode pokolenie ze starego wywiódł urokiem swym Stanisław Przybyszewski.

Wielkość Jego na tem polega, iż rzekomo sobie tylko służąc, był najwznioślejszym sługą ogromnej sprawy przeniesienia Muzy polskiej z krainy niewoli do kraju wolności. Przeniósł Ją szczęśliwie pośród gniewnych okrzyków i przekleństw konwenansu, pośród zachwytu młodzieży, przeniósł Ją aż tam, ową Muzę polską, skąd potem ustami Wyspiańskiego mogła swobodnie wypowiadać prawdy nieśmiertelne.

Stanisław Przybyszewski był Prorokiem wolności sztuk polskich, — we wszystkich drży płomienne Jego słowo, wszystkie dziś z śmiercią Mistrza okrywa głęboka żałoba.

MIĘDZY NIM A NAMI.

Trudno przypomnieć sobie już dziś te czasy, tak dalekie barwą, nastrojem i przebrzmiałym zaiste urokiem. Trudno dziś już nieomal uwierzyć, że o sprawy tego rodzaju kłócono się wtedy u nas wszędzie tak zażarcie. Że się kłócili wszędzie — wszyscy!

O co? O nagą duszę. Tak dosłownie, tak ściśle, tak konkretnie, jakby to chodziło o parę morgów gruntu, o prawo używalności ścieżki, czy też drogi.

Nazwisko Przybyszewskiego było w sporach tych nieustanną pobudką, pastwą i kamieniem obrazy. Plątało się w dość tajemniczy sposób (zwłaszcza w ówczesnej Galicji) z modą wiedeńskiej secesji.

Dla mnie, kilkunastoletniego wówczas chłopaka, popielnica z damą secesyjną, wyrastającą pośród metalowych secesyjnych łuków była synonimem Mistrza. Ile razy któryś z wujów, doprowadzony przez starszego mego brata do ostatniej pasji, wstawał od stołu, mnąc demonstracyjnie serwetę, tyle razy zjawiała się w mojej wyobraźni owa przedziwna dama z popielniczki, imponująca swą nadziemską chudością.

My, ówcześni najmłodsi, byliśmy wówczas „na wieki" po stronie Przybyszewskiego. Nie wiedząc, nie rozumiejąc, co napisał, co tworzy, do czego dąży, czytywaliśmy

wówczas Jego książki, względnie artykuły, — z niebywałem nabożeństwem, z rozkoszą, a mniej chyba zdając sobie sprawę z tej lektury, niż z czytanego w klasie po grecku Homera.

Upajał nas dźwięk słowa, dźwięk wezbrany, ogromny, tak gwałtowny w niezrozumiałem natężeniu! Przy lekturze „Gości“ łzy napływały nam pod powieki.

Równocześnie z zachwytem rosła w nas bezgraniczna, nie dająca się wyrazić, ani wysłowić, ani żadnym już dziś sposobem uchwycić — pogarda do wszystkiego, co było przed Przybyszewskim, co jest teraz i co będzie i wogóle, — pogarda dla wszystkich czasów przyszłych. Wszystko, poza Przybyszewskim, było dla nas wtedy,— bezczelnym idjotyzmem.

Uznawaliśmy może tylko Sewera-Maciejowskiego, za to, że jak mówiliśmy — poddał się Przybyszewskiemu. Poddanie się polegało prawdopodobnie na powierzeniu przez Sewera Przybyszewskiemu redakcji Życia.

Skąd brała się w nas, młodych, niewyrobionych chłopakach tak ślepa cześć, zachwyt i upodobanie w Mistrzu?

Sądzę, że przyczynili się do tego niemało starsi.

Trudno sobie dziś wyobrazić niechęć i oburzenie, jakie wzbudzał w owych starszych autor Homo Sapiens! Trudno wyliczyć wszystkie plotki, jakiemi osnuto Jego wystąpienia. Opowiadano między innemi, w tajemnicy, że Przybyszewski leży u siebie w mieszkaniu całemi tygodniami w łóżku, pod kołdrą. To znów, że dwa tysiące reńskich, które otrzymał (od Sienkiewicza?), rozmienił na srebro, rozrzucił po podłodze mieszkania i że w domu „Przybysza“ brnie się w srebrze, jak w lodzie.

W ówczesnem, tak małostkowem życiu Małopolski, Przybyszewski był istnem wcieleniem wszystkich nowych izmów europejskich.

Nie mówiliśmy nigdy o Nim z ojcem. Wiedzieliśmy bowiem, że ojciec był „przeciw“. Cóżby nam pozostało po ujawnieniu się różnicy zdań?! Chyba dom rzucić i iść w świat?!

Zachwytem naszym wstrząsnęła nieco opinja matki. Matka nasza i katecheta, szambelan papieski, człowiek bardzo wytworny, ksiądz Jan Gnatowski (pisał pod pseudonimem — Jan Łada), oni oboje nietylko nie bali się Przybyszewskiego, lecz przyznawali, że pięknie pisze po polsku.

Ksiądz Gnatowski dodawał zawsze przy końcu takiej rozmowy, — że jednak mimo wszystko woli zawsze Dickensa.

Czyż wtedy, wtedy, wtedy, — mógł się był biedny Dickens równać z Przybyszewskim?!

Przywodzę na myśl nieskładne te wspomnienia, sądzę bowiem, iż lepiej, niż wszelkie dane odtwarzają wspomnienia takie nastrój, w którym na glebie polskiej przyjmował się i rozrastał Przybyszewski.

Nastrój! Kochane, poczciwe, jakże już dziś zmęczone, potulne i ujeżdżone słowo. Słowo — emeryt, którego dziś nie bierze się już ani pod wierzch, ani do cugu. Za słabe też nawet do fornalki literackiej.

Nastrój! Jak na starym wierzchowcu, który dojada łaskawego chleba, jeżdżą dziś, — posługują się nastrojem czternastoletnie dzieci.

W naszych czasach nastrój był kluczem czarownym,

otwierającym najtajniejsze wrota poezji i wtajemniczenia.

Jakże szczęśliwy byłem, gdym i ja wreszcie, dzięki Przybyszewskiemu, przeżył swój „szalony“ nastrój. Stało się to na krakowskich plantach przed kawiarnią ówczesnego Szmidta, która to kawiarnia wydawała mi się zresztą mistycznem miejscem, niemniej ważnem, niż np. Olimp.

Działo się na wiosnę, pod kasztanami, w cieniu których, przy kawiarnianym stoliku siadywał Przybyszewski ze swymi uczniami. Tam oto miałem szczęście niewysłowione oglądać pierwszy raz żywego, prawdziwego autora Nad Morzem.

Mieszał łyżeczką kawę w filiżance, w drugiej ręce trzymał gazetę. Wsparty o żelazne kraty kawiarnianego ogródka, patrzyłem, nie mogąc się dosyta napatrzeć.

Jak wyglądał wtedy w rzeczywistości, — nie wiem. Pamiętam jedynie, jak *dla mnie wyglądał.* Nie mniejsze wrażenie sprawiłby dzisiaj na mnie np. faun, któryby nagle zszedł z piedestału i zawiązał ze mną rozmowę.

Przybyszewski wydał mi się wtedy mężczyzną olbrzymiego wzrostu. Jakby nogi jego rozciągały się jeszcze o trzy stoliki kawiarniane dalej.

Jakby głowa Jego wydawała osobliwe światło!

Byłbym przysiągł, że z falujących włosów czupryny i brody idzie jakieś lśnienie nadnaturalne!

Wrażenie było tak potężne, że zbuntowałem się odrazu przeciw wszystkim i wszystkiemu. Wtedy to kupiłem sobie kilka papierosów i wypaliłem odrazu trzy, jeden po drugim.

Ileż goryczy, — równocześnie, jaka duma!

Parę lat później występowaliśmy razem na jakimś raucie w Warszawie. Jako młody pianista grałem wówczas Barkarolę Rubinsteina i Momento Capricioso Mendelsohna, o czem dziś jeszcze nie mogę pomyśleć bez zgrozy. Grał bowiem wówczas na tym samym wieczorze bardzo dobry pianista Wojciech Gawroński.

Na szczęście, — ani Gawroński, ani ja nie sprawiliśmy żadnego wrażenia. Dopiero Przybyszewski!

Trzeba było słyszeć ów łopot tajemniczy, szumiący przez pokoje na wieść o Jego przyjściu, trzeba było widzieć, jak wszyscy cisnęli się gorączkowo w stronę wyglądanego Mistrza.

I znów nie mogę powiedzieć, jak naprawdę wyglądał. Od ciemnej Jego twarzy biła łuna, od całej postaci szło żarliwe gorąco.

Czytał fragment swego utworu. Nikt z obecnych nie mógł słyszeć ani jednego słowa, gdyż czytał ochrypłym głosem, sobie samemu w rozwichrzoną bródkę. Niemniej przeto słuchaliśmy w skupieniu, szczęśliwi, że oddychamy powietrzem, — którem On oddycha.

W owych czasach Przybyszewski władał tłumem, — panował nad swą epoką.

Spotkaliśmy się znowu w roku 1910 w Brukseli. Na emigracji. Jakże już innemi sprawami przejęci!

Z twarzy Mistrza zeszedł był już ów blask tajemniczy. Postać nie wzbudzała szumu, szmeru i łopotu i już nie biło gorąco z cichych, płynnych gestów.

Dopiero wtedy zauważyłem kształt tej głowy szerokiej i naiwnej. I malutkie niebieskie oczy. Jak niebieskie

paciorki pod mięsistem, zbrużdżonem czołem. Duży nos nad wąskiemi wargami, które widać już było wyraźnie z za przerzedzonych wąsów.

Twarz prosta i wyraźna, — niby zbyt grubem dłutem w miękkiej glinie żłobiona.

Nie porwał nas wtedy Przybyszewski. Nadczłowiecza, wtajemniczona troska Jego słów, i świszczącego już nieco oddechu, — szła mimo nas.

Tylko ręce jeszcze posiadały niezwykłą ekspresję: szczególniejszego gatunku chwytliwość, niezmiernie istotną. Ręce te nie objawiały się w graniu. Muzyka Przybyszewskiego była całkowicie — dla literatów. Muzycy nie mogli w niej znaleźć nigdy nic, prócz dobrej woli.

Lecz gesty! Proste, jakgdyby nieustannie zważające na obecność jakowejś tajemnicy, ukrytej w niedościgłych przestrzeniach. Zapalczywe a ostrożne. Szczere, a tak zarazem nieśmiałe.

Przyszły straszliwe czasy światowej wojny, zaczęły się powszechne prace Polski Niepodległej. Zobaczyłem „Przybysza" po wielu latach w redakcji Tygodnika Illustrowanego. Nie wiedziałem, że to On.

Przechodził z pokoju do pokoju, — drobny, czerstwy staruszek. Całkiem siwy. Twarz malutka, aż śmieszna ogromem dziecinnej naiwności. Oczy tylko pozostały takie same pod wyrównanem czołem.

Małe, niebieskie, koloru niezapominajki.

— Jakto, więc nie poznaje pan Przybyszewskiego?!

— Ach, więc to on?

Głos nic mu się nie zmienił. Ku zdumieniu memu zauważyłem jednak, że głos ów nie ma wcale demonicz-

nych akcentów. Raczej poufne, poufałe, sąsiedzkie, kumotrowskie.

Przyszło mi wtedy na myśl, że nie rozumieliśmy nigdy Przybyszewskiego. I, że On siebie nie rozumiał. Że nie wiedzieliśmy, czego od Niego chcemy. I, że On sam nie wiedział, czego ma żądać od siebie. Że wszystko między Nim a nami, a nawet między kulturą polską i Nim stało się samo przez się... Bez niczyjej woli, jak się to przydarzyć może tylko pomiędzy wielkim bardzo pisarzem a Narodem.

Nieznany ludziom współczesnym duch czasu wyzwał te burze wiosenne, rozpętał je. Duch czasu minął — burze przepłynęły, — pozostał stroskany staruszek.

Sądzę, że gdyby żył jeszcze parę lat, pisałby piękne powieści ze świata pierwszych swoich dni dzieciństwa. Powieści i opowiadania dokładne, realistyczne, mocno związane, od których serca rosłyby nam z zachwytu. W powieściach tych głęboki sens skrywałby się między wierszami. Nie zaczynałoby się, jak ongiś, od duszy, nie mówiłoby się może nawet o niej. Promieniowałaby z kartek cicho i wszechobecnie, jak słońce samo ze ścian bielonej izby promieniuje.

Niestety, nader długo musiał być młodym w literaturze naszej, zbyt wiele dał z siebie ognia, czarów i tajemnicy. Nie zostało Mu już nic czasu — na ostatnią najcichszą prostotę.

Prostota: Jeżeli dziś ten, czy ów pośród nas staje, choćby u brzegu owych dróg najtrudniejszych, które w sztuce zowiemy prostotą, — możliwe to jest w znacz-

nej mierze, dzięki wysiłkom Przybyszewskiego. One to przecie położyły się na dnie dzisiejszej prozy polskiej; ich właśnie układ popchnął rzekę tej prozy do słupów doskonałości Sienkiewicza, przez ożywcze zalewy Żeromskiego ku nowym granicom współczesności.

ZAGADNIENIE CHŁOPA W LITERATURZE.

WŁADYSŁAW ORKAN (SMRECZYŃSKI) *1876 †1930.

Władysław Orkan dokonał w literaturze naszej dzieła ogromnego, wprowadził bowiem do polskiej literatury pięknej chłopa polskiego w całej prawdzie i w całym wdzięku, w całej powadze, rozpaczy i weselu istotnej duszy chłopskiej.

Zagadnienie chłopa w literaturze, a cóż dopiero w naszej, przez tak długie lata pozostającej pod przemożnym urokiem obyczajowości szlacheckiej, — jest jednem z najważniejszych i najtrudniejszych. Rozwiązanie tego zadania stanowi o zrośnięciu się w jeden stop, w jeden nierozerwalny wątek dołów społeczeństwa z jego górą.

Rozwiązanie tego zadania w dziedzinie literatury pięknej może się stać najlepszym zadatkiem i najśliczniejszą wróżbą jedności narodu; jedności budowanej w lotnym a tak trwałym materjale prac ludzkich, — to jest w materjale słowa.

Władysław Orkan w pracy swej tak chlubnie i tak szczerze i tak bez żadnych niedomówień spełnionej, miał znakomitych poprzedników i rówieśników. Z poprzedników wspomnieć należy Sienkiewicza, Prusa, Dygasińskiego, Sewera-Maciejowskiego i Wyspiańskiego. Do

rówieśników zaliczyć wypada tak potężnych pisarzów, jak Władysław Reymont i K. Przerwa Tetmajer.

Żaden z tych twórców, którzy pod wieloma względami innemi przewyższali Orkana, nie zdołał jednak wniknąć tak daleko wgłąb duszy chłopskiej, jak właśnie autor Drzewiej. Każdy bowiem z tych znakomitych autorów, gdy brał na swój warsztat twórczy sprawę chłopską, czynił to pod kątem widzenia tej, czy innej, wyznawanej przez siebie idei społecznej, lub narodowej. Orkan chłop, góral z pochodzenia, tkwiący w chłopstwie od zarania swej potężnej, tak czułej wrażliwości artystycznej, wolny był od szlachetnego skąd-inąd grzechu swych rówieśników.

Tworzył w literaturze swej rzeczywistego chłopa: Nie takiego, jaki w tej, czy innej chwili przydać się może naszej sprawie, lecz takiego, jaki z wieków na wieki dojrzewa, działa i tworzy na tej ziemi.

I oto ten właśnie chłop orkanowski, tak rzeczywisty a zarazem wiecznotrwały, przyniósł naszej literaturze pięknej dary najobfitsze. Rozszerzył granice pisanej mowy polskiej olbrzymiem bogactwem słów i porównań trafnych a dotąd nieznanych. Wzbogacił rytm prozy czarującą alteracją zdań i okresów; czułym sprawom uczucia przydał głębokiej, niewzruszonej twardości.

W dziele orkanowem dokonało się, co najszlachetniejszą chlubę przynosi każdej istotnie szczytnej pracy ducha: Iż rzekome niziny trwania, czy losu człowieczego, tem właśnie światłem ducha przeniknięte, stały się wzniosłą wyżyną walki o prawdę człowieka.

Życie tego pisarza ubiegło w ciężkim trudzie i w co-

dziennej dzielności serca. Orkan, mimo, iż sławą ponad swe otoczenie wyniesiony, trwał na roli, działał tu, radził i pomagał swym krajanom-chłopom.

Gdy o Ojczyznę przyszło walczyć, walczył — mimo że tak słabego zdrowia, — w legjonach (w 4 p. p. legjonów) a piórem swem przysporzył wówczas niemało piękności tej znów literaturze naszej, która w boju o los Ojczyzny do czynu wzywa.

Pierwsze lata odrodzonej Polski nowym rozgwarem przygasiły nieco pamięć wśród ludzi o tym pisarzu, który tak cicho i skromnie umiał znosić chwalebną, lecz jakże ciężką dolę polskiego twórcy. Aż znów dopiero przed śmiercią spotkała autora Martwej Roztoki radość wielka, że Go stolica Polski swym laureatem wybiera.

Nie mógł słów znaleźć na wyrażenie radości, myślał bowiem, że już o Nim zapomniano. Tymczasem przecież dzieło Orkana jest z tych właśnie, których zapomnieć nie można, które wraz z odległością czasu coraz mocniej utrwala się w swym gruncie. Jako, że nie dla chwili jednej było pisane i nie dla żadnego pozoru, chociażby czcigodnego, — a dla wiecznej miłości człowieka do człowieka.

WŚRÓD OBCYCH

SPECJALNY NUMER „EUROPY".

[15. II. 1926.]

Jestem teraz daleko od świata, na głębokiej, zapadłej prowincji.

Codzień od rana, siedzę na werandzie i pracuję nad powieścią z życia górników. Już przeszło rok zbieram elementy, układam i przerabiam i przymierzam i jeszcze raz usiłuję zlepić poszczególne człony tej trudnej, odpowiedzialnej roboty.

Z werandy widać ogród, zalany słońcem, dalej niską gęstwę żywopłotu, za którym leży szary skrawek polnej drogi. Szelesty wysokich topoli, rosnących jeszcze dalej, przy gościńcu, niesie teraz wiatr błogiego popołudnia nawprost, ku głębiom sosnowego lasu.

Głębie owego lasu nie są jednolite. Między ścianą a ścianą, kręgiem a drugim kręgiem, między rzędami rudych pni drży tu i ówdzie świetlista zieleń dębów i tak właśnie przerywa, tak rozgranicza rzesze ascetycznych sosen, jak szare dnie powszednie oddziela i wzajemnie rozgranicza podniosła uroczystość.

Nie chodzę już oddawna do lasu i już dawno nie spoczywałem w jego brzęczącym cieniu.

Doprawdy, — świata już chyba nie widzę, poza kartkami papieru, na których, z kształtu moich mozolnych

drobnych liter, musi przecież powstać nareszcie ów kraj węgla: Pożyłowany szynami świat czarnego kamienia, kraina ciężkiej pracy, zbrodni i świętości; kraina doli ludzkiej najsmutniejszej, ziemia samotnych a tak zarazem wzniosłych, tak pełnych męskiej nienawiści, tak mi drogich górników.

Więc siedzę tu i piszę i pracuję na tej werandzie, któryż to dzień?!

Drewniane schody zaskrzypiały przed chwilą na dole. Teraz trzeszczą miarowo stopnie pod ociężałym krokiem, — to pora listonosza.

Przyniósł pocztę i właśnie pański list, redaktorze, o specjalnym numerze „Europy", poświęconym Romain Rollandowi.

Romain Rolland: — Z rozścielonego przede mną skryptu znikają nagle górnicy, — więź szyn i czarna geometrja kopalni spływa w jakowąś nicość.

I oto nagle w porywczym przypływie entuzjazmu szukam słów najprawdziwszych, które potrafiłyby objąć, uchwycić, streścić, zamknąć w sobie bez reszty istotę tego twórcy. Wydaje mi się nagle, że słowo to, jedyne z pośród wszystkich innych, spostrzegam — drżące w niebiesko-złotej jasności wielkich dębów...

Tam, wszędzie tam, gdzie jasność wybłyska z ciemności, wszędzie w najmniejszej, w każdej wzniosłej chwili, która ospałe dnie powszednie rozgranicza, w każdem natchnieniu zwyciężającem rutynę przesądu, — tam wszędzie, zawsze przebywa duch tego pisarza.

Wy Francuzi macie tak wyborną i tak czujną i tak uważną krytykę, że doprawdy nie moją tu będzie rze-

czą w pracy zbiorowej o Romain Rollandzie dawać krytyczną analizę tego pisarza. Pozwólcie więc, że zamiast objektywnego sądu prześlę Wam tylko tchnienie wzruszenia, jakiem napełnia mnie ten twórca wspaniały, który pracuje pośród was, pracą swą walczy za was, i za tylu innych i który nie wie może nawet, czem jest daleko poza Francją — dla nas wszystkich.

Prawda sztuki Romain Rollanda rozkwita zawsze żywa, szczera i kojąca.

Prawda ta rozbiła konwencjonalną formę powieści francuskiej, pogłębiając nurt tej powieści znakomicie. Sztuka Romain Rollanda rozszerzyła wąską normę typu ludzkiego, ożywiając go na przestrzeni tysięcy stronic najpiękniejszych, — świeżą krwią. Bolesna a tak zarazem żywa prawda Romain Rollanda o człowieku i gospodarstwie ludzkiem i o zbiorowości naszej, — wydaje mi się nieśmiertelną w swej odwadze.

Czy wiesz, daleki Twórco, że prawdą Twoją krzepiliśmy się w najcięższych chwilach tej epoki? Że pod huraganowym ogniem dział, w rozpaczliwej przemianie śmierci i niedoli, pośród zniszczenia narodów, niby kurz marny przemiatanych z miejsca na inne miejsce, podczas tej długiej a tak okropnej wojny i nie kończących się bitew, — pamiętaliśmy zawsze, iż nie ustajesz i sam jeden wbrew wszystkim uparcie dalej głosisz wielkie słowa pokoju?!

Moc Twego słowa odczuwaliśmy, jakoby ocalenie pośród chmur gazów trujących, moc silniejszą od kul, niezgłuszoną wybuchem granatów, żywą, pełną nadziei wśród najstraszniejszych jęków bezczeszczonego człowieczeństwa.

Oto chyba, wyjęte z działalności tego pisarza, — najprostsze elementy.

Jak błysk słońca w głębokim ciemnym lesie, jak lśnienie myśli śmiałej i prawie dotykalnej wśród mroków nocy nieskończonej, jak nagła prawda pośród upadku, hańby i niedoli, — takim wydaje mi się ten twórca świetny i ten człowiek wspaniały.

Będę szczęśliwy, jeżeli ze zbiorowego numeru „Europy“ dowie się Romain Rolland, iż inny pisarz daleki, młodszy w swych trudach, ileż mniej świetny sławą i zasługą, gdy oderwie nagle spojrzenie z nad kartek pracy swojej tak właśnie widzi, czy też odczuwa trwanie Rollanda w piśmiennictwie świata: — Jakby to była złocista wstęga słońca, drżąca wśród ciemnej głębi starych, odwiecznych dębów.

POD BOTANIKĄ.*

WIKTOR HUGO.

Wydaje mi się, jakby wczoraj zaledwie, — a jednak działo się to już chyba trzydzieści lat temu: Chwili tej nigdy nie zapomnę!

Miałem się był nauczyć na jutro botaniki, ustęp o jaskrze. Doskonale pamiętam rysunek tej rośliny w botaniczce Rostafińskiego, wielki na pół stronicy, u dołu zaś napis kursywą: — Jaskier ostry, ranunculus acer.

Siedziałem z tą botaniką na balkonie, we Lwowie, w starym gmachu teatru Skarbka. Oczywiście, — pod botaniką trzymałem inną książkę, prawdziwą, — do czytania.

Byli to, tłumaczeni na polskie, Nędznicy Wiktora Hugo.

Bardzo ciekawe: O wspaniałym zbrodniarzu, o jakiejś biednej dziewczynie Fantinie. Szalenie, — szalenie ciekawe!!

Uczę się, kuję napamięć: — „jaskier ostry, ranunculus acer, ma pączki kwiatowe drobne“. — Powtarzam dziesięć razy o pączkach, słupkach, pręcikach, o zalążni,

---

* Drukowane jako słowo wstępne do zbiorowego wydania Dzieł Wiktora Hugo w Bibljotece Arcydzieł Literatury (Warszawa).

wielkiej na tym rysunku, jak bulwa — i nic nie pamiętam.

Pod powierzchnią wszystkich słów o jaskrze płynęła inna, piękna, ciekawa historja, nie dająca mi nawet nazwy zapamiętać.

Jakiej nazwy?

Ranunculus acer.

Patrzę przez drzwi balkonu do naszej bawialni.

Jest pusta.

Wszyscy poszli na spacer. Jeszcze przed chwilą słychać było zamykanie szaf w całem mieszkaniu, a teraz widać już moją matkę daleko, u wylotu ulicy.

Idzie w stronę placu katedralnego, wiatr chwieje jej woalką.

Przyleciał teraz aż tu, przewrócił kilka stronic botaniki, poczem nieznacznie sama zsunęła się jakoś na podłogę.

Już przepadło, — znów czytam o kochanym Jean Valjeanie. Nie rozumiem, o co w tej książce chodzi, co miota temi ludźmi?! Nie ogarniam tego wszystkiego, — a jednak zapominam o wszystkiem, o całym świecie i o sobie.

O sobie: że to ja.

I że siedzę na balkonie.

I że to jest we Lwowie, po południu, dziś a nie wczoraj, czy też dwa lata temu.

Może dziś potrafiłbym określić mój stan ówczesny: Jakgdyby migotliwa rzeka ludzi, spraw, losów i narodów płynęła przede mną. W miarę czytania, w miarę przepływu owej rzeki, oddycha się coraz głębiej i głębiej.

Przypominają mi się różne moje postępki, przykre, złe, niesprawiedliwe! Ach, — trzebaby zrobić kiedyś nareszcie coś wspaniałego!

Czytam tak i wciąż czytam. Przewracając którąś stronicę, spostrzegam mimochodem, że ciemno się już robi. A tu rzeka płynie przede mną, jakaś Sekwana, a tu pożar jakiś ogromny szaleje, a do tego jeszcze mieli okropną wojnę, a nad brzegiem tych fal rzeki Sekwany przelatuje dziewczyna Fantina, która dla chleba sprzedała swój warkocz prześliczny i białe zęby.

I jeszcze głosy jakieś przemawiają ze stronic książki, krzyczą i nawołują i już niema ratunku, — tylko w niebie.

W niebie takiem jak to, nad balkonem naszym tu we Lwowie. W niebie fioletowem od mroków wieczoru, w niebie jak ciemne jezioro gęstem i głębokiem.

Szyby balkonu mignęły połyskliwie, w drzwiach ukazała się matka ze słowami: — ładnie się uczysz...

Dziś sądzę, że właśnie wtedy, wtedy, na balkonie gmachu starego teatru uczyłem się istotnie, wedle moich sił najlepiej, najszczerzej, najusilniej.

Rozumiejąc niewiele, czy też nic prawie nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy ani z faktury powieści, ani z t. zw. pogłębiania charakterów, ani z tak zwanej proporcji, ani z kompozycji, ani z epoki, ani z odpowiednich wpływów, — brałem z Wiktora Hugo to, co jest w nim najistotniejsze, najprawdziwsze, jedyne i nieporównane, nietylko we francuskiej, lecz może i w literaturze świata całego, a mianowicie; bezgraniczny entuzjazm, zapał, żywioł słowa i obrazu!

Na balkonie we Lwowie zarzucałem Wiktorowi Hugo tylko jedno: Że nie ma porządnego nazwiska. Jakże bowiem składać się może nazwisko z dwóch zwykłych imion?!

Wiktor — to jeden z naszych wujów, Hugo to znowu imię mego kuzyna, którego zawsze mieliśmy za głupca.

Dziś wiem, że rodzina Wiktora Hugo była zacną rodziną mieszczańską, niemniej przeto wielki poeta, jak tylu pisarzy francuskich, wywodził chętnie swe nazwisko z szlacheckich praszczurów.

Ojciec poety był oficerem w służbie Napoleona, generałem w wojskach okupujących Hiszpanję. Dziś wiem, że Wiktor Hugo urodził się w 1802 r., 26 lutego w Besançon, umarł 22 maja w 1885 roku w Paryżu. Jako piętnastoletni chłopak odznaczony już został przez Akademję francuską za utwór literacki.

W roku 1827 napisał wielką sztukę p. t. Cromwell z przedmową, która stała się do pewnego stopnia programową rozprawą Romantyzmu we Francji. Jedna z następnych sztuk Wiktora Hugo p. t. Hernani, grana w 1830 r. w teatrze Komedji francuskiej w Paryżu wywołała olbrzymie poruszenie i spowodowała pamiętny przełom pomiędzy klasykami a młodymi romantykami.

Od roku 1830 do 1843 pisał Hugo bardzo wiele. Wyszły w tym czasie: powieść „Matka Boska Paryża“ (Notre Dame de Paris), „Mieszaniny literacko-filozoficzne“, „Liście Jesienne“, „Śpiew Zmroku“, „Głosy Wewnętrzne“, „Światła i Cienie“, „Ren“. Z dramatów — „Król się bawi“, „Lukrecja Borgia“, „Marja Tudor“, „Angelo“, „Ruy Blas“ i „Burgrabiowie“.

W r. 1841-ym został członkiem Akademji Francuskiej, potem parem Francji, czyli członkiem francuskiej Izby Panów. Brał nader czynny udział w życiu politycznem, jako poseł miasta Paryża. Zamierzał nawet kandydować na prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej. Początkowo piewca glorji napoleońskiej, znalazł się z biegiem akcji politycznej na lewicy. Walczył energicznie przeciw klerykalizmowi, skłaniając się coraz widoczniej ku socjalistom.

W roku 1851-ym, opierając się zamachowi stanu Napoleona III-go, ściągnął na siebie karę banicji. Na wygnaniu, odrzucając kompromisowe możliwości powrotu, trwał lat dziesięć, do 1870 roku. W okresie tym napisał między innemi „Nędzników“, „Legendę Wieków“ (poezje) i „Pracowników Morza“ (powieść).

W 1870 powrócił do Francji, był świadkiem oblężenia Paryża i wojny domowej 1871 roku. Umarł w 1885, pochowany został uroczyście w Panteonie. W testamencie swym zastrzegł sobie, by na miejsce wiecznego spoczynku powieziono go karawanem, jaki gmina przeznacza dla ubogich.

Faktów tych trzeba się było kiedyś nauczyć i trzeba je było pamiętać, tak samo, jak na balkonie we Lwowie trzeba się było uczyć o jaskrze, który ma pączki kwiatowe drobne.

Później, z latami zapomina się o tych wszystkich danych, można ich nie pamiętać, znajdują się przecie w każdej botanice, czy w każdej Historji literatury.

Dziś, gdy już tyle lat minęło od wielkich słów i nowatorstw Wiktora Hugo, gdy już romantycy wraz z klasy-

kami uchodzą w srebrzyste światło pogodnego zapomnienia, sąd o Wiktorze Hugo ustalił się dość jednolicie: Nikt zaiste nie odmawia mu genjuszu, wszyscy jednak, najpoważniejsi i najoględniejsi nie nazbyt liczą się z jego rozumem, sercem, wiedzą i inteligencją.

Najpoważniejsi nawet skłonni są zarzucać mu osobliwszy brak delikatności, pewne cechy groteskowego mieszczaństwa myśli i poczynań i nadmiar kaznodziejstwa i zbyt aktualną pochopność haseł. Wśród głosów tych jakże łatwo uchwycić ton ubolewania, że oto gwałtowna nośność temperamentu nie pozwoliła temu świetnemu pisarzowi, artyście i genjuszowi francuskiego słowa starannie wybierać tematu, szlifować go, przerabiać, budować i zatrzymywać się na godziwych krawędziach patosu.

Rzecz w pewnym sensie zdumiewająca, iż on to właśnie, dramatopisarz, który teatrem swym odnowił życie sceny francuskiej, poeta, który wierszem swym ogrzał i rozpłomienił wieki minione a uczynki ludzi powynosił do szczytnej rozpiętości mytów, powieściopisarz, który z legendy napoleońskiej wychodząc, poprzez postacie i charaktery swej powieści, doszedł do zrozumienia symbolów współczesnej zbiorowości, — tyle skupia na sobie zarzutów?!

Zarzutów całkowicie istotnych o ile chodzi o formalne wartości sztuki, błahych, gdy uprzytomnimy sobie, jakiem było najgłębsze powołanie, czy przeznaczenie Wiktora Hugo.

Jeden z największych formalistów literatury we Francji i kto wie, czy nie na świecie całym, mistrz umiaru

w słowie i porządku kompozycji Gustaw Flaubert, pisze po przeczytaniu „Nędzników“:

„To przecież manekiny, marcypanowe figurki ci jego (Wiktora Hugo) bohaterzy... Hugo w swej pasji socjalistycznej oczernia tu kościół a bezcześci nędzę! Książka ta pisana jest jakby umyślnie dla katolicko-socjalistycznego motłochu, — dla całej dzisiejszej filozoficzno-ewangelickiej zarazy... Nie wolno w ten sposób przedstawiać społeczeństwa, gdy się jest współczesnym Balzac'a i Dickens'a“.

W osądzie Flauberta jest tyleż słuszności, co błędu.

Słuszne są zapewne wszystkie zarzuty formalne. Hugo nie opracowywał, nie pogłębiał tworzonych przez siebie charakterów. Nie wnikał skrupulatnie w opisywane przez siebie epoki, zatrzymując się rzekomo u granic zewnętrznych koloru, ruchu, lub emfatycznego gestu.

Wszystkie zarzuty powyższe znikają jednak a nawet okazują się płonnemi, gdy uwzględnimy istotną dynamiczną wartość dzieł Wiktora Hugo. Ową zaś wartością istotną, radosną a tajemniczą, powierzchowną rzekomo, a w gruncie rzeczy tak głęboką, iż chyba wieczną — jest właśnie romantyczna pasja, z jaką pośpiesznie budował swe utwory.

Pasja romantyczna, czyli żar osobliwy, bohaterski, tchnący siłą żywiołu.

Żywiołem tym nie był żaden z wieszczów przełomu, jaki dokonywał się na krwawych granicach XVIII i XIX wieku, pomiędzy wielką rewolucją francuską, Cesarstwem Napoleona a okresem formowania się nowych narodowych demokracyj europejskich. Większym od

Hugo mistrzem epoki był Balzac, głębszym Göthe, czulszym przecie i we wszystkich swych słowach szczerszym, prawdziwszym Mickiewicz.

Bardziej ludzkim Dickens.

Żaden jednak z owoczesnych koryfeuszów literackich człowieczeństwa nie zawarł w sobie w tak wiernym, niejednokrotnie może zbyt wiernym stanie, — wibracji swego czasu, jego ślepych zapałów, mieszczańskich westchnień i porywczych marzeń o nieprzemyślanej wolności.

Siła tej naiwnej szczerości to najistotniejsza może, przy boskich darach słowa, wartość Wiktora Hugo. Słowo jego, jego muza ogromna choć często pospolita, płomieniejąca żarem a ograniczona w dalekonośności rozumu, tak łatwowierna w swej egzotycznej pozie, sądzę, iż zjawiać się będzie zawsze na skrzyżowaniach epoki. To jest wtedy, gdy jedne prawdy już odchodzą a drugie nie nastały jeszcze. A więc, chociażby dziś i po każdej wojnie ogromnej, światowej, gdy jedne systemy leżą już zdruzgotane, drugie zaś wznoszą się dopiero z oparów ludzkiej niedoli i walki.

W takich bowiem czasach przełomu nie możemy jeszcze myśleć dokładnie i nie umiemy przewidywać na daleką metę. Drży w nas skołatane serce a już łaknie słów nowych ogromnych, przesyconych krasą tragicznej doli ludzkiej.

W takich czasach, chociaż nie ogarnia się rzeczy właściwej, oddycha się głęboko przyszłością, która ma powstać z zamętu. Z wielkich przestrzeni świata wołają wtedy ku nam nowe głosy, krzyczą i rozkazują. Jedyny ratu-

nek widzimy w takich chwilach historji patrząc w niebo, bezdenne, fioletowe, — jak je widziałem ongiś we Lwowie nad książką Wiktora Hugo.

Owe niebo, mierzchnące, — owo marzenie dziecinne, lecz święte o tem, iż nakoniec coś wspaniałego uczynimy tu na świecie... Owa rzeka losów i wypadków, nad którą płacze nieszczęsne dziewczę z ludu, — o pewnej zaś godzinie ten właśnie głos...

Głos, radość i godzina: Spływają łzy tkliwości, łzy ślepego współczucia, — na niebie patos Losu połyska lśnieniem tajemniczem, — to właśnie on, Wiktor Hugo, w draperjach, blaskach, grzmotach, Poeta, którego każda młodzież zawsze spotka na zakręcie wszelkich nowych czasów.

NA SZCZYTACH.

[Powitanie Tomasza Manna na bankiecie w Resursie Kupieckiej 12. III. 1927.]

Patrzę na Pana, Mistrzu, na obliczu pańskiem z najtkliwszem wzruszeniem szukam śladów łuny niezapomnianej, którą dzieło pańskie wspaniałe pozostawia w sercach czytelników.

Pan ze swej strony nie bez ciekawości zapewne spogląda znów na nasze twarze, polskich pisarzy, szukając w nich wyrazu wspólnego człowieczeństwa. Nie przesadzę chyba, gdy powiem, iż człowieczeństwo owe z miłą łatwością może Pan wśród nas dostrzec.

Jesteśmy przecie i Pan i my, ludźmi tej samej pracy, najcięższej może, choć najdelikatniejszej w podziale trudów ludzkich: Jesteśmy pisarzami.

Jesteśmy ludźmi tego samego zawodu.

Koleżeństwo to, wspólne jego trudy, rozpacze, zgryzoty i radości i to właśnie braterstwo ciężkiej pracy sprawia, iż pozwalam sobie tu wobec Ciebie, Mistrzu, Grona Gości i Kochanych Kolegów na zupełną szczerość i prostotę:

Niechże Pan wie, że oczy pisarza polskiego patrzą na Pana, pisarza Niemiec, — jak na brata.

Niech Pan raczy pamiętać, że najgłębsze wzruszenie drży w mych słowach na myśl o szczytach pracy i genjuszu tak stromych a jednak dostępnych dla Twórcy świetnego, — ku którym dążąc można, należy, trzeba o wszystkiem zapomnieć, co dzieli, — o jednem tylko pamiętając, — co na wieki łączy.

Co łączy na wieki, — łącząc zaś, wiekom owym może nawet nowe drogi wytyka...

Na tych szczytach stoisz swą myślą rozwiniętą wspaniale, nie dziw się przeto, że przez ich zdrowe, mroźne powietrze wołam do Ciebie słowem prostego porywu:

Synu Niemiec, Tomaszu Mannie, za dzieła twe kochamy Cię gorąco!

Można tu i należy, gwoli unaocznienia dumy człowieczeństwa, które głosisz, podkreślić różnice, któreby dzielić nas mogły.

Ależ tak! Oczywiście!

Mówi do Ciebie człowiek, który siedem lat mając, płakał gorzkiemi łzami w ciemne, zimowe popołudnie, bo nie mógł nauczyć się ośmiu słówek języka Twej ojczyzny, podawanego w szkole jako przedmiot przymusowy. Mówi do Ciebie pisarz, syn Narodu, prowadzącego z Twoim narodem od wieków gwałtowne porachunki. Byłoby rzeczą niegodną Europejczyków, zaiste przecie ludzi historycznych, gdybyśmy tu nagle udawać zaczęli, iż nic nie pamiętamy.

A jednak patrz: Mówię o tem do Ciebie, jak żaden z ministrów Twego, czy mego kraju na rynku, na ratuszu, w sali obrad i nigdzie nie powie. Mówię o tem, jakby to była już tylko przeszłość dawna i tylko już ułomność przebrzmiałych, nieporadnych czasów.

Albowiem, wobec tej miary pisarza, co Ty, — jesteśmy już na szczytach człowieczeństwa, z których nie widać prawie pstrej barwy i nie słychać rozgwaru spraw pomniejszych, związanych z oschłą formą człowieczego bytowania na ziemi.

Mocą swej myśli, umiarem słowa, najstaranniejszym ładem kompozycji, miłością, która w ruch wprawia tajemnicze czary Twego kunsztu, dotarłeś oto do najpyszniejszych granic wymarzonej wolności człowieka.

Sztuka Twa jest tak wielka, iż roznieca w kręgu działania swego rzecz najpiękniejszą na świecie: Wolność!

Wolność od starych ciężkich grzechów chciwości, wolność od znikomych pozorów pychy, wolność od rozpaczliwego błędu wynoszenia duszy ponad duszę.

Niechże więc szumią sobie po świecie te burze namiętności, które wyszumieć muszą. Niechże kłótliwa różnica cechuje ludzi i znaki im narzuca odmienne. Niech bałwochwalstwo pierwszeństwa szczerzy zęby po kątach ludzkich spraw, umów, czy przetargów.

My na tej sali wpatrzeni w swe twarze otwarte, tą samą troską, tym samym bólem poryte, wiemy, że z każdego zamętu jest wyjście. Że tylko prędzej trzeba bramy otwierać myślom, które „Zauberberg“ wznoszą — a wyrównają się wszystkie strome ścieżki, zapadną się różnice przekorne, i świat będzie istotnie dla ludzi jedną górą dziwów cudownych.

Za przyszłość świata naszego w czujne, miłości pełne, rozumne ręce Tomasza Manna, w ręce budujące świat prawdy czystem słowem, — wznoszę mój toast radosny!

POŻEGNANIE W BERLINIE.

[Przemówienie pożegnalne po wizycie w Berlińskim PEN-Klubie w grudniu 1927 r.]

Jedliśmy razem i piliśmy razem, co nie jest przecie rzeczą błahą, jako że okazało się, iż w tych czynnościach intymnych a zarazem o charakterze tak wybitnie towarzyskim, umieliśmy jedno z drugiem pogodzić, — pogodzić zdrowy apetyt z wzajemnym dla siebie szacunkiem.

Okazało się więc, że zdolni jesteśmy do przyjacielskiego współżycia.

Jedliśmy i piliśmy, — mówiliśmy też wiele. Dowiedziałem się od Was mnóstwo ciekawych rzeczy o najukochańszej sprawie, która nas łączy, o sprawie wspólnego nam rzemiosła.

Tak, — rzemiosła.

Wymawiam to słowo z dumą, wielkość bowiem sztuki naszej i jej trwałość czas dopiero oceni właściwie, my jednak sami już dziś ocenić możemy doskonale jakość naszego rzemiosła. Przekonałem się, patrząc na Was, obcując z Wami tych kilka dni, że godnie odpowiadacie temu wszystkiemu, co myśli o was czytelnik, pochylony nad kartami waszych książek. Jesteście artystami: Ludźmi rozumu i miłości.

Darujcie, że w tej chwili nie będę już rozprawiał

o rozumie... Podobno umieli o nim świetnie gwarzyć podczas swych uczt Grecy i Rzymianie. Przypominam sobie jednak, że Rzymianie dolewali wody do wina, — my zaś mamy tu wino czyste, bez wody zaprawdę! Po drugie, — mieli zapewne mocniejsze głowy! Tak to już jest w historji, że ci, którzy byli przed nami, zawsze mają przywilej wyższości.

Po trzecie rzeczy owe działy się dawno, — kto wie, czy niema w dawności tej nieco przesady?

Wolę, — kwestję rozumu na boku zostawiwszy, — mówić o sprawach, którym nie przeszkadza ten pięknie zastawiony stół. Mówić o poczuciu piękna — i miłości.

W rzeczy samej, panowie, dosyć już przecie było między nami ważności a nawet kto wie, czy nie przeceniamy jej cokolwiek? Nasza ważność, to te wszystkie oficjalne sprawy, — historja, polityka, wybory [ja sam przecie jestem radcą miejskim], zgromadzenia, nasze PEN-kluby, związki pisarzów i t. p.

Wszystko to jest bardzo ważne. Pisze się o tem codzień w dziennikach, telegrafuje się z jednego końca świata na drugi.

Ważne to jest ogromnie, że siedzimy tu przy stole w takim a takim porządku, człowiek w człowieka, nazwisko za nazwiskiem — piękne quantum sławy, zasługi i pracy.

Tymczasem, na ile mogłem Panów poznać i na ile, sądzę, poznaliście mnie już panowie: Nie wiele robimy sobie wszyscy z tych naszych zasług. Wiemy, jak prędko blednie połysk sławy, jak bezowocną niejednokrotnie bywa nasza praca.

Wiemy przecież, że to, co nas łączy, co kochamy głęboko, to nie rozgłos i sława i nie oficjalność szanowna, lecz właśnie owa skromność głęboka, która zdobi rzetelnych artystów.

Cóżto składa się na owo uczucie skromności?! Chyba w pierwszym rzędzie nasze pojęcie o sztuce. Wiemy, iż gdy sztuce naszej oddamy wszystko, wciąż jeszcze pozostajemy na płyciutkim brzegu tej rzeki wieczystej, która nurtem swym z serca ludzkiego wypływa i do serca uchodzi.

Nasze pojęcie o sztuce wynika z pojęcia o miłości: Czyli z pojęcia tych wszystkich spraw, których tu nikłym pozorem jesteśmy, a które tę właściwość naczelną posiadają, iż w cieniu kwitną, osnute wstydliwością afektu.

Darujcie, że powiem wyraźnie, skracając wywody retoryczne: Nasza miłość najgłębsza, to ci wszyscy, dla których najprościej piszemy, na których zawsze czekamy, w których ręku leży najlepsza nasza przyszłość: Kobiety, — dzieci.

Wasze żony i matki, jak nasze, nie będą miały jednak teraz czasu na wysłuchanie, — gdybyście chcieli opowiedzieć im pokrótce — przebiegu tej uroczystości.

I moja żona, gdy wrócę do Warszawy, nie będzie już miała czasu wysłuchać mnie uważnie.

I tam bowiem przygotowują gwiazdkę dla naszych dzieci.

I tu, jak w Warszawie i tu w miastach i wsiach jak i u nas po wsiach i miastach musi przecie pojawić się na stole drzewko! Niemka i Polka pragnie ująć męża swego za rękę i wskazując oczy dzieci, roziskrzone światłem choinki, zawołać musi: — Patrz, jak one się cieszą!

Pod drzewkami znaleźć się muszą skarby tajemnicze! Jesteśmy przecie ludźmi z głębokich lasów sosnowych, na których leży śnieg i w wielkiej ciszy przelątuje przez gałęzie. Śnieg, cisza, tajemnica, radość, obdarowanie, — drzewko i wzajemne życzenia.

Gdyby życzenie pisarza mogło kształt realny przyoblec — pod drzewkiem Waszych rodzin znalazłyby się słowa, żywe, widzialne słowa, które znaczyłyby:

Bądźcie szczęśliwi w domu i na drodze i wszędzie tu nad Sprewą i wszędzie na świecie takiem samem szczęściem, — jakiego nam życzycie nad Wisłą, w ciszy i w pokoju Waszych serc.

Nie wierzę jednak, byśmy to właśnie my, pisarze, mieli posiadać ową siłę przetwarzania życzeń w życie. Mają tę siłę ci, którzy o przyszłości naszej stanowią, a których niema w rozgłosie wielkiej oficjalności; lecz przecież ich to właśnie los i szczęście decyduje o kulturze człowieczeństwa. Mam na myśli — kobiety i dzieci. Pozwólcie, że w ich ręce, — żegnając się z Panami, — wzniosę kielich na cześć uczuć, które o najgłębszej i najcichszej cnocie człowieka stanowią, to jest — o czułości.

Niech się krzewi i rozrasta wśród nas, — owe drzewo uczuć harmonijnych, w których błękitnym cieniu dojrzewa najprawdziwsza, — jedyna przyszłość świata.

NASZA PRAWDA.

[Przemówienie na cześć Teodora Däublera w Warszawie 23. III. 1929 r.]

A kiedy siedzisz tutaj między nami, wielki poeto, my zaś witamy Cię radością, weselem i słowy najskorszemi i tem najwyższem szczęściem podobieństwa wzajemnego w miłości, w pracy, w szukaniu, w dążeniu; kiedy siedzisz tutaj między nami, wiesz chyba sam, że po jednej i po drugiej stronie spotkania naszego, po obu brzegach tej oto skromnej radości naszej, — może już znowu właśnie piętrzą się spraw tysiące, tysiące zawiłych nieporozumień kłóci się i obija o tę chwilę.

Poeci i pisarze! Ludzie natchnienia, synowie słowa, wy, najrzetelniejsze głosy ludzkich serc! Nie nam, zaiste zapominać o dziwnej przygodzie, którą jest nasz fach właśnie! Z czego wynika, iż jesteśmy tu znikomym tylko kręgiem światła, koliskiem blasku w głębokiej nocy sprzeciwów i niezgody tych oto dwóch narodów Niemców i Polaków, którzy z sobą graniczą tak blisko, tak burzliwie, — tu zaś spotkali się nad stołem poetyckiego braterstwa.

Ty gościu nasz szlachetny, który pamiętasz, jak mało kto na świecie, drogi mitów i praw, wędrówki przeczuć podniosłych przez puszczę namiętności ludzkiej, który

o prawdę niebios rozłożystych i gwiazd niedościgłych walczysz słowem skupionem, — wiesz przecie równie dobrze pod dachem swego Narodu, jak my pod naszym dachem wiemy, ile razy w przeciągu wieków paliły się nad głową twoich braci i moich te nasze dachy.

Wiesz, ile razy z pośród płomieni w te same gwiazdy wspólnego ziemiom naszym firmamentu patrzyliśmy spojrzeniem nieujętego gniewu!

Jest to prawda, — prawda wiadoma. Przypominam ją tutaj gwoli bogactwa ogromnej szczerości, na którą stać nas zawsze, nas pisarzów i poetów, ludzi najszczerszego słowa na ziemi.

A jednak siedzisz tu między nami, my zaś szczęśliwi jesteśmy, że dzielić się z Tobą możemy wszystkiem, na co nas stać.

A jednak, jeżeli nawet z tej i z tamtej strony dwóch narodów, Niemców i Polaków, na granicy tej właśnie poetyckiej aureoli, która tu nas zamyka, zgrzytałaby namiętna rozterka, — to wedle naszego przeświadczenia, rozterka owa ku temu tylko służyćby mogła tutaj, by serca nasze jeszcze głębiej otworzyć i mowie naszej przydać jeszcze większego, jeszcze radośniejszego zaufania.

Cóż nas więc tu skupiło, cóż nas tu łączy, wielki bracie poezji, — nas wszystkich, — radosnych zdrajców wszelkiej nienawiści?!

Łączy nas prawda jedna, najwyższa, ty ją zwiesz Zorzą Północną! Nordlicht. Prawda, rozpostarta w kosmosie głosem jedynym, ponad którą niemasz zaiste nic, — prawda miłości życia.

Prawdę tę w sercach naszych czujemy, dzielić się z tobą tem uczuciem pragniemy i gdyby na tym progu stanęły wszystkie krzywdy rozkrzyczane i sprężyły się najstraszliwsze rachunki i gdyby nawet praca wielu pokoleń przez ten próg położyć się miała, by nam drogę zagrodzić, — to wszakże jeszcze wtedy powiem Ci i wiem, że człowiek miary Twojej to samo odpowie: Iż ponad węzłami wzajemnych krzywd, czy porachunków trwa prawda nasza, najwyższej miłości, którą czerpiemy z najgodziwszego oddania się symbolom słowa:

Ja wir können wirklich furchtlos lieben
Wenn wir Frieden in uns selber sechen;
Wo ein Funke scheu und treu geblieben
Kann ein Lichtgeschlecht noch auferstehen.

Tak, jest, — sądzę, — nauka, radość i szczęście dzisiejszego wieczoru.

I taka jego mądrość.

I takie światło z wymiany naszych słów.

Wierzę w to światło czyste, szczytne, wiarę tę spełniam tu oto w kręgu poetyckiej braci tem właśnie winem gościnności, radości, młodości, winem, wzniesionem ku czci Teodora Däublera.

DO PISARZY BOLSZEWICKICH.*

Dzieli nas od tych ludzi morze krwi, przelanej w nienawiści, łzy, żal i gniew wielu pokoleń. Dzielą nas lata, przeżywane wspólnie rzekomo, pod jednym dachem a przecie pędzone dalej i odrębniej, niż gdyby oni byli pod równikiem, my zaś na biegunie północnym.

Dzieli nas bowiem długa ciężka niewola a prócz niewoli inna rzecz jeszcze, tak ludzka na tym świecie i tak odpychająca, mianowicie — najbliższe sąsiedztwo.

Pocóż więc trud sobie zadawać, — pocóż językowi polskiemu przyswajać słowo poczęte z natchnienia obcych, wrogich ludzi i obcych a może nawet nienawistnych losów?

Przed chwilą odwróciłem ostatnią stronicę żywej a jakże smutnej, gwałtownej a tak bardzo żałosnej, prostej a tak dziwnej książki waszej. Widzę was oczyma wyobraźni, was wszystkich, którzy żyjecie na tych kartach. Biedną, umierającą Maszę, jej męża, tkliwego złodzieja. Kozaków, którzy broczą we krwi szalonej, bratobójczej i ojcobójczej...

Was wszystkich, którzy wedle słów jednego z pisa-

---

* Drukowane jako wstęp do wydania nowel pisarzy bolszewickich w Tow. Wyd. Rój (Warszawa).

rzy tej książki, jesteście, — „Gwałtowną dziwaczną Rosją, jak stado wszy odzieżowych, tupoczącą łapciami z obu stron pociągu“.

Naprzeciw doli waszej wyjdzie mędrzec Zachodu, socjolog, filozof, czy też mąż stanu i udowodni składnie, iż do poziomu takiej nędzy, cierpienia i rozpaczy doprowadziła was doktryna zbyt naiwnie pojęta.

Udowodni, być może, iż natchnienie wasze tajnym niesamowitym nurtem obraca się przeciw zamierzeniom idei, za którą umieracie.

W obliczu wiary waszej występują nosiciele wiar innych i chętnie przekonywać będą, iż wiara wasza była zła, niepłodna, czy też duchem fałszu zarażona jako, iż do zguby was wiedzie.

Wobec obyczaju, z tych oto opowiadań wysnutego, zabiorą głos nauczyciele i szaty mogą rozdzierać na znak zgrozy...

Niech czynią wedle miary, wagi i wszystkich swoich obowiązków.

Niech toczą swe spory poważne.

Szczęśliwy jestem, jeżeli czynią wedle przekonania, oraz prawideł walki.

Niech tak postępują z jednej i drugiej strony rzeki, miasta, kraju, czy barykady, — wszędzie, gdzie się toczy na świecie spór o prawdę i sprawiedliwość.

Iż tak czynią szczęśliwy jestem na tyle, na ile właśnie mnie, z racji zawodu mego i przekonania, z racji najgłębszych przesłanek istnienia mego — wolno działać i myśleć inaczej.

Jakże to działam inaczej wobec słów i natchnień tych

oto pisarzy obcych, których oddziela ode mnie morze krwi, głębia niewoli i sumy srogich nieszczęść nigdy może nie dających się już naprawić?!

Oto, jako pisarz, jako człowiek wspólnego wszystkim twórcom natchnienia, jako sługa tej samej zawsze, zawsze jednej Muzy, — opowieści te z za morza krwi, z za dalekich stromych brzegów beznadziei — przyjmuję, jak swoje do współczującego serca.

Rozumiem cię kozaku, któryś zarżnął ojca... I ciebie, któryś dostrzelił szmuglerkę i ciebie, biedny człowieku, któryś kradł polana i was wszystkich.

Och — wszystkich...

Brodzi nad wami w krwawem świetle gwiazda strasznych waszych przeznaczeń, ale z przyczyny, że nad nami inna gwiazda w odmiennych blaskach płonie, — kamieni na was nie rzucam.

Przeciwnie!

Radzę się siebie i wszystkich natchnień, których doścignąć nie mogę, radzę się, co zrobić, jak sprawić, by dola wasza płynęła łagodniej?!

Oto wszystko i tak niewiele zarazem a przecie może więcej, niż spór najbardziej rzeczowy, niż mądrość i nauka i oręż.

Niech uczeni rozumami się mierzą, żołnierz niech walczy z żołnierzem. Niech statysta wagą mądrości, innego statystę przeważy. Doświadczenie walk, wojen i cierpień mówi mi, iż nie oni świat naprzód prowadzą, — lecz może właśnie my?

My, ludzie serca, oczu tkliwie otwartych i czułej, kochającej fantazji. My, którzy umiemy słuchać gniewu

naszych wrogów z uśmiechem serdecznej pomocy, którzy cierpimy, gdy krew z nich upływa... My, których dręczy sumienie, gdy wrogowie nasi cierpią i boleją.

Dlatego piszę wstęp do opowieści tych „bolszewickich“ pisarzy.

Dlatego, z tych oto nowel asumpt biorąc, wyciągam ręce do Zamiatina, Babela i Zoszczenki i wołam do tych twórców głosem zdań wezbranych, po przez rzeki, góry i kraje dzielące nas... I poprzez niedolę wszystkich strasznych wspomnień, — wołam żywemi słowami przyjaźni.

Nic jej przerwać nie zdoła!

Słuchajcież tam koledzy: Oto widzę, iż przystawiacie czyste zwierciadło światu swemu, jak my tu, swemu światu staramy się czyste zwierciadło pokazać.

Szukacie prawdy w znikomem życiu człowieka, — jak my tu, u siebie, swojej prawdy szukamy.

Dokąd dalej ta droga prowadzi?

Że gdy wytrwamy, — gdzieś wysoko, na górze u szczytów wznoszonej kopuły czeka nas najpiękniejsze spotkanie. Czeka nas radość ogromna, bez względu na to, od którego boku wychodziliśmy po rusztowaniach stromych na tak trudną, zawrotną robotę.

Lepszy, szczęśliwszy, mądrzejszy będzie w tej chwili, jako i zawsze ten, który pierwszy spostrzeże człowieka po tamtej, obcej stronie.

NAJPRZYTOMNIEJSZY Z POŚRÓD PISARZY ŚWIATA.

(KNUT HAMSUN).

[W pięćdziesięciolecie działalności pisarskiej.]

Któż z pośród ludzi czytającego świata nie zna tej jakiejś nieznanej przedtem, a dziś już w całym świecie powszechnej wsi, czy też małego rybackiego norweskiego miasteczka i pracujących w mieścinie takiej kilku sędziów, doktora, pastora, kilku kupców, kilkudziesięciu rybaków, ich żon i córek, z pośród których, — w mieścinie takiej nad fjordem przycupniętej, — bije najgłębsza mądrość życia i najistotniejsze podobieństwo prawdy?

Jest to zaiste cud swego rodzaju, cud nader osobliwy: Bez względu na szerokość geograficzną, na klimat, na obce warunki, wszyscy, którzy czytają, czy to w Hiszpanji, czy u nas, czy na Węgrzech, czy w północnej Ameryce, czy wszędzie indziej, — pociechę pośród ciężkiego swego losu mogą odnaleźć właśnie tam, przy fjordach ustronnych, pośród ludzi tak przecie nieznanych i zaprzątniętych tak odrębnem życiem.

Jest to zjawisko niesłychane poniekąd, iż siła woli, rzutu artystycznych wizyj i odczucia absolutności

danego środowiska stała się u odkrywcy tego świata i środowiska norweskiego, to jest u Knuta Hamsuna, tak potężną i zupełną, że w świecie tym, norweskim, innym od wszystkich innych, pomieścić się mogły i pomieściły z łatwością wdzięczną wszystkie odrębności. Słowem, że w pewnym sensie na jakiś czas w danej dziedzinie potrzeb, przeżyć i odczuć jakaś jedna ojczyzna zamknąć w sobie mogła, bez reszty, różne odmienne ojczyzny, — pomieścić w sobie mogła cały świat!

Dokonał takiego kolosalnego wysiłku przetworzenia jednego w drugie wielki powieściopisarz Knut Hamsun. Dokonał tego w mierze i w doskonałości nieosiągniętej — wedle mego zdania, — przez żadnego z innych współczesnych pisarzów świata.

Wydaje mi się, iż taki wynik pracy i dążenia twórczego jest szczytem tego, co twórca w dziele swem osiągnąć może: Podnieść wartości przechodnie, zmienne, do wyżyny absolutnej, ze spraw przygodnych wysnuć wieczną prawdę, splot danych warunków miejscowych wydźwignąć do wyżyn wiecznego zagadnienia!

Któż z czytających dzisiaj na świecie ludzi nie dojrzewał głębszem wewnętrznem życiem na tle sprawy tych drobnych rybaków, kupców, sędziów małego norweskiego miasteczka?

Kto, szarpany szczęśliwą męką pierwszej miłości, nie znajdował dla miłości tej najszlachetniejszych i najcichszych wyrazów w książkach Knuta Hamsuna?

Któż nie nauczył się z tych książek właśnie patrzeć podejrzliwem przymrużeniem oczu na zbyt pewną szanowność powodzenia i zbyt mocno lakierowaną powagę dostojeństwa hierarchji?

Kto nie nauczył się współczuć całej plejadzie, całemu prześwietnemu Olimpowi — jakże częstych w naszem życiu fałszywem, — ludzi nieudałych, którzy nic rzekomo nie znaczą, a jednak obecnością swą, czy raczej obecnością milczącego cierpienia swego łaskawie uświęcają twardą i bezwzględną groteskę wielkiej krzywdy społecznej?

Jawi się tu więc pytanie, jakiemi elementami posługiwał się pisarz nieporównany, w środkach technicznych rzekomo tak skromny, w anegdocie swej zawsze tak wstrzemięźliwy, w lokalizowaniu swych opowiadań tak zawsze do siebie podobny, — że na małem miejscu ojczyzny swej zdążył pomieścić świat?

Sądzę, że najgłębszą, najpoufniejszą podstawą niebywałych a najszczytniejszych powodzeń tego autora, straszliwego zaiste siłą i głębią spojrzenia, jest najczystsze współczucie. Współczucie dla ludzi, dla ojczyzny ukochanej, dla wielkiego, szalejącego we wciąż nowych dążeniach, ludzkiego świata.

Współczucie, — czyli miłość.

Współczucie, — powiedziałem — nieustraszone: Więc oczyszczone (ileż potrzeba na to hardości ducha, ileż entuzjazmu, najlepszej wiary, ileż bezmiłosierdzia, chirurgicznego niejako bezmiłosierdzia!) z wszystkich zapobiegawczych haseł, czy surogatów idei społecznej, z wszelkiej legendy o rzekomej miłości bliźniego, z wszelkich gadek o więzi społecznej. Współczucie, — wynikające z najczystszej miłości całego życia.

Zdaje mi się, że możnaby napisać tomy o szkole, dyscyplinie, o stylu coraz piękniejszym i wznioślejszym,

w jakim rozkazuje Knut Hamsun swemu współczuciu. Idzie ta linja od buntującego się „Głodu“ aż do najszczytniejszych wyżyn, osiągniętych bodajże tylko przez Szekspira, Moljera, Göthego, czy Flauberta... Osiągniętych przez Hamsuna najszczytniej w książce nieporównanej, — myślę tu o „Kobietach u Studni“: Gdzie współczucie, okazywane drobiazgowi ludzkiego istnienia, przechodzi już niejako na drugą stronę dobrego i złego, stając się uśmiechem głębokiej, najpobłażliwszej prawdy.

Historja życia tego pisarza jest znana: Syn chłopskiej rodziny, biedak, włóczęga, szukający chleba na szerokim świecie, próbujący wszelakich zawodów, wreszcie pisarz, którego sława niezmiernie szybko utrwala się na świecie.

Trudno z okazji tej nie ocenić i nie uznać mądrości w technicznem przygotowaniu do pisarskiego zawodu. Przebiegłej i żywej intuicji, która a priori niejako nakazuje człowiekowi papierowego zawodu poznać inne zawody codziennej praktyki życia. Sądzę jednak, że ta metoda pracy i przygotowań do pisarskiego fachu znana jest w świecie pisarskim dobrze oddawna. Wiadomo przecie każdemu praktykantowi papierowego powołania, że zgubiony jest na zawsze, jeśli ugrzęźnie w smakach i przyprawach swej papierowej doli: w takim wypadku, jakże rychle kuźnia wielkich idei i praw najgłębszych przemieni się w konwencjonalną gablotkę wyrobów galanteryjnych.

Wydaje mi się o wiele ciekawszą druga, głębsza, wewnętrzna droga Knuta Hamsuna, którą ten człowiek, najprzytomniejszy chyba pośród pisarzów świata, przejść musiał w obronie żywego człowieka, w żarliwej obronie

przed modą, czy upodobaniem prawdy i teorji swych czasów.

Na każdego przecie z ludzi danego czasu, — a cóż dopiero mówić o tak twórczych, jak Knut Hamsun, — na każdego czyha, każdego obstępuje, otacza i zagarnąć może bez reszty prawie, znikoma, tak potrzebna w danym momencie, a tak z punktu widzenia ciągłości życia ułomna i jednostronna prawda filozoficzna, społeczna czy historyczna.

Ulegali tym prawdom lokalnym i chwilowym wszyscy najwięksi. O taką prawdę miłości człowieczeństwa (wynaturzoną w dosłowności rosyjskiej) rozbił swe dzieło olbrzymie Lew Tołstoj! Z powodu takiej prawdy musiał dokonywać wielkiego, kilkadziesiąt lat chyba trwającego okrążenia swej własnej sztuki Ibsen. Z powodu takiej prawdy związało się w ciężki a jakże zagmatwany węzeł nadludzkie w swej żywiołowej mocy dzieło Wagnera, — nie mówiąc już o innych twórcach wielkich i tak wspaniałych, jak Romain Rolland, jak Żeromski, jak Proust.

Knut Hamsun umiał i dotąd umie, jak niewielu, jak może nikt, — jak w historji naszej polskiej sztuki umieli tylko Chopin i Wyspiański, — dla prawdy i ścisłości swego dzieła poświęcić wszystko, przetrwać wszystkie nauki, hasła, teorje i nawet całe lata zwycięsko panujących filozofij.

Tą prawdą sztuki Hamsuna Knuta jest człowiek, powiedziałbym człowiek wieczny, wyzierający w każdem pokoleniu i na każdym załomie swych czasów, jako war-

tość zasadnicza, z której wszystko wynika. Zasługa srogiego w swej świetnej wesołości autora „Błogosławieństwa Ziemi“ jest tem większa, iż człowieka tego szukał na drogach najtrudniejszych, to jest najcichszych, najzwykłejszych i najprostszych.

To znaczy tam, gdzie owa wartość człowiecza, gdzie owa drobna cegiełka ludzka przepala się i hartuje z dnia na dzień w ogniu i pod naciskiem spraw najcodzienniejszych, więc niejako codziennie nieodwołalnych i stale koniecznych.

W dziedzinie takiego oto poszukiwania człowieka jedno z ostatnich dzieł Knuta Hamsuna, to jest „Kobiety u Studni“, jest arcydziełem nadludzkiej zda się skromności, rozumu i miłości.

Prasa literacka całego świata zajmuje się dziś osobą tego pisarza, który święci siedemdziesięciolecie swych urodzin i z tej okazji uciekł pono w góry przed udręką życzeń, hołdów i powinszowań.

Ludzie, którzy znają dobrze Knuta Hamsuna, opowiadali mi, że nie jest nieczuły ani na wielką swą sławę, ani na takie właśnie wielkie hołdy. Przypuszczam, że napewno, gdy z gór swoich powróci i zobaczy w swej poczcie stosy, całe góry wycinków z prasy całego świata, poświęcającej długie szpalty rocznicy urodzin pisarza, — Knut Hamsun ucieszy się i zaśmieje wesoło. Nikt przecie, może nikt tak jak on właśnie nie wie, ile dobrej woli i serdecznej opieki poświęcamy słabościom swym.

Knut Hamsun może dobrotliwie pobłażać swym sła-

bościom. Wie przecież, że na rubieży dziewiętnastego i dwudziestego wieku jest w powieści całego świata pierwszym, największym i najszlachetniejszym obrońcą człowieka przeciw wszystkiemu, co w człowieku tym niema wartości wiecznotrwałej.

KSIĄŻKA O DWÓCH OJCZYZNACH.

„Za dobrze wszystko pamiętał! Był,
jak człowiek który powstał z martwych —
i którego czarowną wiarę w potęgę życia
skaziło czarne zwątpienie grobów.“
J. Conrad: Ocalenie.

PISARZ A KRYTYK.

Bardzo dziś u nas modnem się stało wymawiać krytyce jej błędy i niedopatrzenia. Kilku pisarzów poszło w kierunku tym aż tak daleko, że nibyto walkę jakąś rozpoczęli z krytyką naszą współczesną, czy jest potrzebna, czy może niepotrzebna i czego można się od niej nauczyć i kto od kogo mądrzejszy, — więc pisarz od krytyka, czy krytyk od pisarza?

Rzecz prosta, — całe zagadnienie na fałszywej osi nieodpowiednio było osadzone, inna to bowiem sprawa budowanie syntezy uczuciowej z płynnego elementu życia, a znowu inna sprawa, — budowa zwartego kanonu zasad, wynikłych z owych twórczych syntez emocjonalnych.

Nie posuwa się przecież jedno naprzód bez drugiego, potężna budowa twórczych syntez emocjonalnych idzie zawsze ręka w rękę z szerokim rozwojem myśli krytycznej literackiej i to, co twórczy pisarz wybierze z wielkiej fali życia organizacyjnym aktem współczucia,

entuzjazmu i miłości, to krytyk odtworzyć musi raz jeszcze, kondensując rzecz do coraz prostszych, ściślejszych, zimniejszych propozycyj. — Wtedy dopiero rzecz cała przerobiona zostanie w tkaninie literackiej: od prawej strony czarującego wzoru i od lewej, to jest od strony wszystkich sposobów, węzłów i ściegów zasadniczych, które o jakości tkaniny stanowią.

Sprawy te przyszły mi na myśl, gdy zapragnąłem po przeczytaniu „Ocalenia" Conrada napisać krytykę o tej książce. W miarę moich usiłowań widzę, iż do takiej pracy krytycznej nie jestem wcale uzdolniony. Potężna treść tej powieści nie może w mojem pojęciu osadzić się spokojnie, raz wraz zapala długie, coraz dalsze szeregi spraw i wzruszeń i doznań i aż nazbyt dookolnych związków. A przecież, gdybym miał uzdolnienia krytyka, działoby się zgoła inaczej: Odbywałby się proces krystalizacji, na mocy którego cała sprawa „Ocalenia" dałaby się sprowadzić do kilku najprostszych osi wytycznych.

Ukazać owe osie zasadnicze to dzieło krytyki; to tosamo, co ustanowić osie dla kryształu.

Nie znajdzie tu czytelnik tych ważnych rzeczy, lecz — co najwyżej, — spotka się z liryczną reakcją, jaką rodzi lektura Conrada.

Zwierzeń z reakcji tej nie podaję do druku dlatego, iżbym uważał wysoko ich cenność. Nic podobnego. Sądzę tylko, że właśnie wymiana zwierzeń, na marginesie lektury uczynionych, przyczynia się w pewnym stopniu do bujności życia takich dzieł, jak „Ocalenie" Conrada.

AURA DZIEŁA.

Każdy potężny autor ma w tworze swym bujność tak wielką, iż działa ona niejako poza, czy ponad sferą wytoczonych przez siebie spraw, kwestyj, lub zagadnień. Coś jakby atmosfera dzieła, jego aura, duchowy ton. Nie będzie to kwestją artystycznych środków pisarza, — jest to coś jeszcze wyższego, — jakgdyby ton, czy barwa indywidualności moralnej.

Taki ton wnikliwej obojętności ma wobec ludzkich spraw Balzac. Ton straszliwy, z którego czyni niejednokrotnie ustępstwa czytelnikowi, — ton przedmiotowej wyrozumiałości, graniczącej z absolutną pogardą.

Jakże inna jest aura dzieł Flauberta: Pod pozorem drobiazgowo-rytmicznej, pomiernie układanej prozy, bije przecież serce człowieka, który nie może patrzeć spokojnie na losy swych ludzi. I to jest właśnie takie piękne, takie szczytne w dziele tego pisarza, jaknajdalszego, zda się, od wybuchów lirycznych: Iż na każdej stronicy swej prozy dla oszczędzenia sobie ciężkich doświadczeń, które przeżywać muszą jego ludzie, gotówby poświęcić całą najmozolniej zbudowaną wiarę w konieczną konsekwencję losu swych bohaterów. Nie poświęca jej, przemaga się, ale ileż go to kosztuje cierpień! Cierpienia owe tają się, drżą na wszystkich stronicach subtelną symboliką wydarzeń, czy nawet — najnaiwniejszą symboliką przedmiotów!

Aura Tołstoja to spór prawd nie tyle nawet społecznych, ile stadowych, miotających człowiekiem, rozumniejszym, wznioślejszym, niż prawdy owe, które jednak

z ponurą pasją samoudręczenia poddaje autor brutalnym sporom i wreszcie, — składa wyniosłe piękno swego życia na ołtarzu pospolitej idei.

A znów duchowy ton Prusa, który wcale nie widzi mi się tak łagodnym i dobrotliwym; ton wielkich jego dzieł (nie publicystyki poczciwej), — przepastna pobłażliwość dla jakże głęboko zrozumianej małości ludzkiej.

Teraz zaś ton Conrada: Ton straszliwej, patetycznej rozterki, pomiędzy, — ująć tego inaczej nie potrafię, — światem rzeczywistym mórz, lądów, brzegów, podróży — a jakimś innym światem w tamten pierwszy wplątanym, zdradzonym, czy poniechanym, który był od rzeczywistego świata, jakby wyższy i lepszy, stokroć więcej moralnie ważniejszy, a jednak musiał zostać zdradzony?!...

Ową rozterką patetyczną, która ma w sobie jakgdyby przedustawną moc w stosunku do wszystkiego, co nastąpi w rozwoju opowiadania, naznaczone są, niby klątwą, wszystkie ważniejsze osoby conradowskich powieści. Postacie tych opowiadań przynoszą ją ze sobą na świat, tchną nią od pierwszych stronic, od pierwszych swych poruszeń i z pierwszych wyrzeczonych słów.

Stąd groza idąca z wszystkich powieści Conrada, stąd nie istniejący nieomal u tego pisarza pierwiastek humoru (mimo niesłychanie bystrej, nieomylnej, zda się, obserwacji szczegółów), stąd tragiczna, przerażająca zbędność pracy, jaką wykonują osoby powieści; zbędność pracy, jakgdyby zgóry skazanej na zagładę.

Wspomniałem tu o „aurach" dzieł wielkich twórców: Tamte aury, — Tołstoja, Flauberta, Prusa, nie posia-

dają, — że się tak wyrażę, — cech nieodwołalnych. Czytelnikowi może się zdawać, że gdyby w danym wypadku tak lub inaczej wypadła rozgrywka Napoleona z Kutuzowem, — idea przeznaczenia losów i tajemniczych trybów działania ludzkiego na wojnie ukształtowałaby się odmiennie, niż to w danej okoliczności formuje autor. Możnaby to samo powiedzieć o względności duchowego tonu Prusa.

U Conrada jednak dzieje się inaczej: Jego ludzie przychodzą już na świat z tą sprawą wewnętrznej tajemniczej rozterki, z tą walką straszliwą, odbytą już pomiędzy światem rzeczywistym a tamtym innym wyższym, utęsknionym światem wewnętrznym.

Dana akcja danej powieści kończy już zawsze tylko tę sprawę tragiczną, uprzednio w losach danej osoby przesądzoną.

W ŚWIADOMEJ IZOLACJI.

Jakby dla dokładniejszego rozegrania tych spraw Conrad, w powieściach swych, izoluje swych bohaterów od wielkiego splotu rozbudowanej wszędzie na świecie szeroko sprawy społecznej, historycznej, czy ogólnie choćby mówiąc — życiowej. Tak, jakby pragnął, by rozgrywce takiej nic już nie przeszkadzało. Czy też, jakby się bał, że sprawa ta na bitym, szerokim trakcie wspólnego przemijania ludzkiego rozdrobni się na szczegóły a może nawet zniknie pod naciskiem codzienności.

Stąd może tak charakterystyczna i tak w ogólnym

schemacie podobna jest do siebie akcja powieści Conrada. Bo przecież nie chodzi tu o to, aby to była koniecznie powieść „morska“ i żeby się działo koniecznie na okręcie.

Za dobrze znał Conrad morze i okręt, aby chciał temi akcesorjami popisywać się przed czytelnikiem. Ale morze, czy brzeg jego tajemniczy, czy wreszcie przejazd na jakimś okręcie, prawie zawsze izolowanym od normalnych warunków nawigacyjnych najcięższemi warunkami klimatu (burze, nawałnice, cisze morskie, ciemności i t. p.), daje właśnie temu pisarzowi tak potrzebną i upragnioną izolację, dla jego wielkich rozgrywek: Izolację od szerokiego traktu spraw, — wyłączność, eksterytorjalność, osobniczość.

Powieści Conrada odbywają się, jakby w zawieszeniu między ziemią a niebem, zawsze prawie w podróży, w stanie przejściowym, zawsze pośród ograniczonej ilości osób.

Zasadniczy więc konflikt ma zupełną swobodę wydźwięku, nie łączy się rozgałęzieniami swemi z żadną wielką masą, z żadnym dużym „zasiedziałym“, zagospodarowanym kompleksem społecznym.

Z tego też względu powiedziałbym, że właściwie — powieści Conrada nie są powieściami sensu stricto. Są to świetne studja, wspaniałe monografje pewnych uczuć (posiadających zawsze to samo znamię tragicznej rozterki), niezmiernie pogłębione nowele, — a jednak nie powieści.

Powieść bowiem, aby sprostała swej formie, musi posiadać obowiązującą, doznaną rzetelnie przez dany wy-

bór osób sankcję najściślej określonego środowiska narodowego, społecznego, historycznego i t. d. Temat, czy kompleks powieściowy musi przecież (aby ta rzecz mogła być przekomponowaną w bryle, a nie w płaszczyźnie) utkwić korzeniami swemi głęboko w określonem środowisku. Ów kompleks musi być poddany wszystkim możliwie najzupełniejszym próbom, reakcjom, naciskom określonego środowiska, — by mógł świadczyć o przetwarzającej pracy swojej na tle danego świata.

Conrad unika naogół tego gatunku roboty. Z tematem swym jakgdyby zazdrośnie uciekał w dowolne, żywiołowe bezmiary wód, czy lądów; Conrad, jakby się bał (w czem dopatruję się wzruszającej i najszlachetniejszej słabości tego pisarza), że wśród kurzu bitych twardych dróg nie utrzyma na wodzy uczuć tej rozterki patetycznej, która droższa mu jest od wszystkich innych spraw świata.

KAPITAN LINGARD — A KAPITAN CONRAD-KORZENIOWSKI.

Taką samą ucieczką dla rozprawienia się z problemem duszy, niejako sam na sam, w odosobnieniu od rzeczywistych warunków „normalnego“ życia, jest „Ocalenie“.

Właściciel brygu kapitan Lingard, zajęty sprawą uwolnienia z pod jarzma najazdu skrawków wybrzeża malajskiego i powrócenia tego wybrzeża prawowitym właścicielom i władcom, to jest księciu Hassimowi i jego siostrze Immedzie, — właśnie w momencie zbliżającej

się rozgrywki i walki spotyka na wodach tego wybrzeża mały jacht angielski.

Kapitan Lingard zawdzięcza życie swoje dawnemu właścicielowi tego wybrzeża księciu Hassimowi, ocalony przez niego w pewnej awanturniczej przygodzie. Teraz jednak w obliczu tego jachtu kapitan wie odrazu, że stanie wobec jakiejś straszliwej alternatywy wyboru pomiędzy zobowiązaniem honoru, a — ?

Okazuje się, że kapitan wybrać będzie musiał pomiędzy alternatywą honoru a miłości.

Miłością tą jest właścicielka jachtu, podróżująca tu wraz z mężem swym i innymi gośćmi z wielkiego świata — pani Travers.

W prostej duszy kapitana, — rzecz naturalna, — nie może być żadnego wyboru pomiędzy wartościami współrzędnemi, z pośród których wybierać, — nie można. Kapitan Lingard nie wybiera zatem, lecz, — niejako współrzędnie, — idzie dwiema drogami naraz, na drogach tych tracąc jedno i drugie, — miłość i honor.

Nie należałoby mówić, iż kapitan Lingard traci jedno i drugie. Nie uczynił nic takiego, z powodu czego miałby, — tracić. Jedno i drugie ginie, poniekąd samo przez się, w konflikcie uczuć.

Przypuszczam, że tak rozumieją treść tej książki Anglicy: — Między honorem a miłością.

I chyba tak a nie inaczej układa się zagadnienie tej powieści na powierzchniach konfliktu.

Jeżeli jednak poddalibyśmy uważniejszemu badaniu owych przedstawicieli walczących czuć, czy też zwalczających się obowiązków, a więc z jednej strony panią

Travers, z drugiej zaś księcia Hassima i jego świat, — przekonalibyśmy się, że miłość kapitana Lingarda do pani Travers mieści w sobie o wiele więcej i bardziej różnolitych czynników, niż zwykła mieścić najsilniejsza nawet miłość mężczyzny do kobiety.

Przekonalibyśmy się też, że uczucia, jakie żywi kapitan Lingard dla księcia Hassima i jego siostry i jego sprawy i jego walki, to nietylko uczucia zobowiązania honorowego, czy też męskiej niewzruszonej słowności, czy też podziwu, lub upodobań człowieka Zachodu dla fantastycznej krasy dzikich „nowych" ludzi.

Pani Travers to dla kapitana Lingarda nietylko ukochana kobieta, lecz znacznie więcej: To jakby jedyna możliwość ukochania. A jednak nie dająca się zdobyć. Powierzchnią nawyków swych, trybem codziennego życia, odmiennością sfery zawsze obca, obca nawet wtedy, gdy przychodzi na brzeg morski wbrew swemu mężowi, wbrew wszystkim pozorom wielkoświatowego konwenansu, by oddać swe życie w ręce kapitana i równocześnie mówiąca mu, — niech pan się napatrzy, niedużo ma pan czasu...

KAPITAN LINGARD CZY CONRAD KORZENIOWSKI?!...

Tak, tak, kapitan Lingard stracił całą moc swej inicjatywy od chwili, gdy w życiu jego pojawiła się pani Travers. Dla pani Travers zaniedbał rzetelnej rozgrywki o panowanie księcia Hassima na wybrzeżu malajskiem. To prawda. A jednak mimo, że przecie mógł zdobyć panią Travers, najcudowniejszą może z wszystkich powieściowych bohaterek Conrada, — (a któż z pisarzów

tyle piękna potrafi zamknąć w postaci kobiety, co Conrad?!) nie sprawił tego, zatrzymawszy się nad grobem malajskiego powstańca, dawnego druha księcia Hassima.

Kapitan Lingard zatrzymał się tu ze słowami: — „To grób. Dziwna rzecz, — jak wiele może pomieścić grób, obliczony tylko na jednego człowieka“.

Grób obliczony na jednego człowieka — zrozumiał to kapitan Lingard, — może mieścić więcej, niż jednego człowieka. O wiele więcej. Pomieścił on całą sprawę księcia Hassima, całą sprawę powstania jakiegoś małego plemionka przeciw wielkiej przemocy (holenderskiej) i zdradzie współplemieńców.

O ten grób potknął się kapitan Lingard i tu na wieki rozstał się z panią Travers.

Cóż więc tak bardzo ważnego, tak wieczyście mocnego mogli byli wyobrażać w duszy kapitana Lingarda i w jego pojęciach biedni Hassimowie, członkowie marnego plemionka, wygnani z swego kraju?...

Wierność? Honor? Powstanie? Ależ z biegu opowiadania widać, że morskie wilki, jak Lingard, mają za sobą takich spraw zniszczonych i zdeptanych — bezliku!

Sądzę — i tu dotykam może już sprawy, o którą mi chodzi, — że w duszy kapitana Lingarda Hassim i Dżaffir i ich żołnierze reprezentowali wartości, których kapitan Lingard znać już nie mógł... Wartości, z powodu których w znacznej części pozostaje dla Anglików niezrozumiałym a może nawet tajemniczym... W a r t o ś c i, których nie mógł w swem życiu do-

świadczyć tak głęboko kapitan Lingard, ale które znał do dna od najwcześniejszego swego dzieciństwa kapitan Conrad-Korzeniowski: Wartości cierpień z powodu kraju utraconego, wartości powstań nieudałych, wartości utraconej Ojczyzny.

Wydaje mi się, że najpiękniej i najmocniej i najstraszliwiej polską ze wszystkich angielskich książek Conrada jest właśnie Ocalenie!

Zaprawdę — utracona Ojczyzna, — w twardym sumiennym oglądzie człowieka niezmiernych dróg świata,— to przecież musi być mniej, niż każda inna ojczyzna. Jako że utracona, — więc słabsza i najsłabsza ze wszystkich innych.

Tak to jest z punktu widzenia twardej mocy życia.

Lecz z tejże samej zasady mocy życia wychodząc, — jako że utracona, — przeto zawsze godna największego współczucia!

Jakże wiele pomieścić może grób, obliczony na jednego człowieka... Myśl tę za swego bohatera kończy już Conrad sam. Dla dobrego, porządnego Anglika czemże więcej mogli byli być powstańcy malajscy, jak wkońcu sztafażem pewnych okoliczności kupieckich, czy zaborczych? Dla kapitana Lingarda stali się, — w razie najlepszym, — zobowiązaniem honoru.

Lecz Conrad-Korzeniowski (dlatego załamuje się tu formalne piękno powieściowego rysunku, na korzyść patetycznej rozterki, która pięknem swem o stokroć przerasta ramy opowiadania) ujrzał w powstańcach owych tajemną sprawę najgłębszej istoty swej: Sprawę

rozszczepienia swego pomiędzy cudowną panią Travers a tamtymi oto, tragicznymi wygnańcami.

O wiele więcej, — niż spór pomiędzy miłością a honorem: Ujrzał przepaść między życiem a życiem, — ojczyzną a ojczyzną.

NATCHNIENIE KLĘSKI.

Wydaje mi się, że dopiero gdy się zgodzimy na pogląd wyrażony powyżej, jasnem się stanie dlaczego autor tak odmiennemi barwami, — tak odmiennemi w natężeniu wartości transcendentalnej, — maluje osoby jednej i drugiej strony, to jest europejczyków a malajów.

Wszyscy oni, owi europejczycy (prócz starego norwega, Jörgensona), ci „ludzie z jachtu", to ludzie wąziutkiej normy, tresury, czy dyscypliny. Nawet ów powiernik pani Travers elegancki i bardzo dyskretny hiszpan, pan D'Alcacer. Że już nie wspominam o panu Travers, jakiejś ekscelencji angielskiej, której nie skąpi Conrad groteskowego zgoła rysunku.

W odróżnieniu od tamtych ogrzewa autor wszystkie typy malajów (bez różnicy ich wartości moralnej), specyficznym, czarownym polotem. Rzekłoby się — natchnieniem, ach tak, — bolesnem natchnieniem klęski.

Obóz malajów, wszystkie jego postacie zasługują na specjalne studjum: Studjum owe mogłoby w wyniku swym przynieść, — zasadniczą syntezę charakterystycznych skrótów duchowych, jakie muszą wystąpić zawsze pośród działaczów podbitego ludu, walczącego z swem jarzmem.

Kto wie, czy Conrad odmalowując specyficzny typ tych ludzi, nie przejaskrawia nieco barw? Dzieje się to może nawet ze szkodą dla realności tak pięknych postaci, jak Hassim, Dżaffir, czy Immada. Nabierają one może aż nazbyt wielkiego polotu, nazbyt zwiewnej urody, aż nazbyt szlachetnej tężyzny moralnej.

Przekrzywia to w pewnym sensie równowagę kompozycyjną powieści, daje bowiem zbyt wiele piękna, rozmachu i siły tragicznej Malajom, natomiast zbyt mało krwi użycza europejskim Anglikom. Mogłoby się tu wydawać na pierwszy rzut oka, że owi dzicy, tak całkowicie zwarci duchowo, to rzeczywiście chyba sztafaż? Sądzę — i raz jeszcze to podkreślam, — że nie sztafaż, a tylko nazbyt już pełne serce autora, czy też więcej jeszcze, — jego instynkt najgłębszy, który szalę jakości duchowej przechyla na korzyść malajów.

Przypuszczam, że z takiej rozterki autora, którą określam, — „pomiędzy dwiema ojczyznami", — wynikają i inne, liczne a czarujące kompozycyjne braki „Ocalenia". Tok narracji raz wraz przerywa się, zaskakuje naprzód, by znów cofnąć się ku minionym już wypadkom. Nie można przypuścić, by Conrad nie potrafił był opowiadania swego gładko ułożyć. Czy też, by rzecz sama nie dała się ułożyć harmonijnie. Każde najbardziej egzotyczne życie pomieści się zawsze wygodnie w dojrzałem dziele sztuki.

Sądzę więc tylko, że Conrad nie mógł opanować uczuciowego wątku tego opowiadania. Wbrew swej woli wybiegał naprzód, to znów cofał się wtył. Sądzę, że konflikt Ocalenia rozsadzał poprostu serce pisarza,

pędząc przez nie jakgdyby równocześnie dwie wartkie, sprzeczne strugi, — ekspiacji i buntu.

Działo się to chyba w stopniu tak silnym, że autor zapomina niejednokrotnie sam, iż osoby powieści, nieuświadomione co do przebiegu konfliktu, nie mogą o nim wiedzieć. A jednak przecie, mimo że nie wiedzą, mówią, — jakby wiedziały. To już sam autor, Conrad przenika ich dusze i już, jak deus ex machina, porwany władzą autorską, narzuca swym osobom to, co chce, by wiedziały, mimo, że w przebiegu akcji niema dlatego żadnych uzasadnień.

STYL TEJ KSIĄŻKI.

O stylu tej książki należałoby pisać chyba oddzielne studjum. Nie można się nim dość nacieszyć. Nie można znaleźć dość radosnego podziwu wobec czujnej obrotności tych zdań i porównań.

Styl tej książki już od samego początku pełen jest tej duchowej potęgi, która szaleć będzie później wśród postaci dramatu. Element przyrody, słońca, wody, oddali, ciemności i światłości powołany zostaje mocą ewokacji autorskiej do współwalki o sprawę ludzką.

Element ów jest sobą w każdem drgnieniu a równocześnie, — niby chór greckiej tragedji, — zapowiada, rozważa, uprzedza, przeczuwa i przewiduje nieomylnie.

Zdaję sobie całkowicie sprawę, że tyle zająwszy uwagi czytelnika, nie napisałem rozważnego studjum o Conradzie, nie wytknąłem też osi, w myśl których układa się i narasta przepiękny kryształ conradowskiego Ocalenia. Mimoto to wszystko nie mogę rozstać się z Ocale-

niem, by nie przytoczyć choćby kilku tylko przykładów stylu tej powieści.

Mówiąc o miłości żeglarza do statku, pisze Conrad: — „Ten statek był mu zawsze drogim, — jak dawna miłość; zawsze pożądanym — jak obca kobieta; zawsze pełnym tkliwości — jak matka; zawsze wiernym — jak ukochane dziecię męskiego serca“. Czyż można lepiej wyrazić i określić, czy można w określeniu jednem zamknąć więcej treści i prawdy życia!

O przyrodzie tego świata, która pod piórem Conrada nietylko towarzyszy, lecz wróży ludziom ich dzieje: — „Oba krańce (nieba i wody) zetknęły się i krągła przestrzeń wód nabrała nagle tonu mrocznego, jak zmarszczenie brwi, głębokiego jak ponura zaduma o złem.

Zdawało się, że senne wody zatrzymały na chwilę spadające słońce, z którego strzelił ku nieruchomemu brygowi po ciemnej powierzchni morza szlak światła prosty i jaśniejący, równy i wspaniały, ścieżka ze złota, purpury i fioletu — olśniewająca i straszliwa — która prowadziła jakgdyby z ziemi prosto w niebo przez wrota chlubnej śmierci“.

O kraju powstańczego księcia Hassima: — „za każdą oślepiającą błyskawicą rodzinny kraj Hassima zdawał się przyskakiwać bliżej — poczem znikał natychmiast, jakby się czaił gdzieś nisko, gotując się do następnego skoku z nieprzeniknionych ciemności“.

A znów gdzie indziej: — „W gromowych błyskach Lingard oglądał raz po raz wizję białego brzegu, gaj pochylonych palm, ostrokół tuż nad morzem, daleki las: rozległy krajobraz cichy i tajemniczy — ojczyznę

Hassima, pogrążoną w niewzruszonym śnie pod gniewem i płomieniami niebios".

Ktokolwiek zna się choć trochę na prostej a najdziwniejszej ze wszystkich technik sztuki, na technice pisania, gdzie przecież ze słów, których używają wszyscy, z kamyków, które każdy w swem ręku obraca, ułożyć trzeba nagle, wszędzie, na każdym kroku książki cud wielokrotnego porozumienia między sobą a czytelnikiem, a rzeczą, a jej sensem przenośnym, a celem ostatecznym opowiadanej sprawy, a wreszcie wszystkiem tem co przemilczane być musi, iżby rzecz powiedziana mogła mieć w sobie wdzięk ofiar nieujawnionych nigdy, — oceni łatwo, ile w conradowskim sposobie pisania mieści się sztuki najwyższej, płynącej z nieprzebranych skarbów duszy.

Zaiste wielkie dzieło, potężne, pełne wzniosłej, tragicznej rozkoszy, dzieło którego braki widoczne i doniosłe napełniają czytelnika zdwojoną jakby jeszcze miłością do autora!

ŚMIERĆ ELEMENTU.

[† 3. VIII. 1924 r.]

Twórczość Josepha Conrada-Korzeniowskiego, twórczość ogromna, lśniąca urokiem wszystkich pięciu stron świata, ustała. Ucichło źródło potężne, które biło zdrojem żywej, gorącej prozy, dla nas tem droższej, że słychać w niej wszędzie bezcenną inkrustację ducha naszej mowy.

Lata przejdą, a ludzie wpatrywać się będą w wyrównaną już na wieki powierzchnię tego źródła, sięgając wzrokiem krytycznym do głębi.

Krytyka niewątpliwie odtworzy ściśle, co w wielkim pisarzu przyszło z ziemi, co z morza, co z pracy, co z wspaniałego wojażu przez głębię wody straszliwej, a co zróżnolitych ras szamoczącego się po świecie człowieczeństwa.

Nie jestem krytykiem, opowiedzenie się moje niewiele w tej sprawie przynieść może właściwego waloru. Zwykły rzemieślnik wielkich krosien prozy, — chciałbym tylko na jedno zwrócić uwagę w pierwszej chwili rozważań twórczości Conrada. Pragnąłbym zwrócić uwagę na to, co jako pisarz uwielbiam w Conradzie, co mnie zachwyca i przeraża równocześnie, co mnie podnosi i miażdży, ile razy biorę jego książki do ręki:

Conrad należy do twórców, którzy już minęli granicę potęgi słowa i uroku kompozycji. Zazwyczaj wielki pisarz wnosi do literatury swój styl, formę widzenia, jakąś formułę psychologiczną, artystyczną czy filozoficzną ujmowania zjawisk.

Jest to wielkością ale też i małością czy wadą, czy nawet przekleństwem twórcy. Chcąc najmocniej ująć rzeczywistość, obleka ją w barwę swego talentu tak silnie, że się ta rzeczywistość ugina pod ciężarem barwy swoistej. Na to niema rady; można krzyczeć z rozpaczy przed siłą własnego ujęcia rzeczy, ale nie można go się pozbyć.

Przekleństwo to ciążyło na największych. Czyż Wagner, w skutku własnej ekspresji, nie uciekał od siebie samego („Śpiewacy norymberscy“)? — czyż największy mistrz skromnego pisania, świątobliwy mnich nieposzlakowanej prozy, Flaubert, nie jęczał w okowach teorji, głoszącej że konstrukcja charakterów, rzeczy, zdarzeń musi mieć, jak zdanie, swój rytm, oraz, że się musi — zamknąć w określonym kształcie?!

A przecież najlepsza konstrukcja, najwspanialej zamknięta, nie uwzględni nigdy tego, co oprócz wszystkiego innego jest jeszcze w życiu, w ludziach, w rzeczach, w świecie: Tego, czego o sobie nie wiemy i czego nikt o nas nie wie, — lub sam Bóg.

Bez tego niewiadomego, w najwspanialszem dziele sztuki brak będzie — powietrza wieczności.

Conrad był pisarzem, którego wielkość, według mego zdania, na tem właśnie polega, że potrafił nietylko przezwyciężyć t. zw. „zastany świat“, ale samego siebie.

Udało mu się to tak dalece, iż wprowadził do twórczości jakby sam iracjonalny pierwiastek bytu, pierwiastek tego, co jest w życiu oprócz wszystkiego, czyli, tak paradoksalnie tu określone, — powietrze wieczności.

Ludzie Conrada, dzieje przez niego pisane, to więcej niż literatura. To już urzeczywistnienia, — żyją one własnem, niezgłębionem życiem.

Nadludzki w spokoju i głębi wysiłek Conrada sprawia, że gdy wypada mówić o jego śmierci, ma się wrażenie szalone, — że się mówi o śmierci elementu.

PRZY WARSZTACIE

JEDYNA RZECZYWISTOŚĆ CZŁOWIEKA.

Rozważania te nie doprowadzą zapewne do niczego. I gdybym to nie ja mówił, lecz ktoś inny, o wiele mądrzejszy, — także sądzę, iż w zakresie tego tematu utknąłby z przemową swoją u którejś z wielu delikatnych, niepewnych a zarazem jakże stanowczych granic poznania naszego.

Poznanie nasze bowiem idzie wąskiemi stopniami wgłąb, wzwyż i wszerz, lecz zaledwie osiągnie trochę ściślejszego rytmu, gdy znowu tracić ów rytm musi. Czas, przestrzeń i materja, na tym, czy na innym stopniu wspinania się naszego, zagradza nam drogę i nagle — po tylu wiekach i tylu tysiącleciach działania, pracy, tworzenia — nic już znowu nie słychać, jak tylko wzniosłe a zarazem bezradne milczenie szukającego człowieka — bez względu na to, czy jest to prorok, czy mąż wiedzy, czy działacz, posiadający tajemnicę rządzenia.

Dzieje się tak w zakresie poszukiwań rzeczywistości z pokolenia na pokolenie, z wieku na wiek, z epoki na epokę.

Do czegoż tedy zmierza moja dysertacja, tak bardzo w tym względzie bezradna i besilna? Cóż to osiągnąć pragnę, gdy wiem przecie, że rozważając te sprawy, jakbym nikłą muszelką mierzył groźną falę oceanu, czy też łapał rękami powietrze?

Zdaje mi się, że pragnę osiągnąć to samo, czego zawsze pragniemy w zakresie tego przedmiotu, od chwili gdyśmy kiedyś, przed tysiącami lat, z tajemnych mroków dojrzewania naszego zstępować jęli na wyżynę tybetańską jako pierwsi ludzie. Pragnę chyba tego samego, do czego dążył człowiek, ów pierwszy jakiś genjusz, który swe ramię przedłużył pałubą maczugi, czy też ów inny wielki genjusz, który ukrywał ogień w kołyskach kamiennych. Chyba tego samego pragnę, co lśnić miało na wieki w ruchu tajemnych znaków Chaldei i Asyrji, co spocząć miało na wieki w symbolicznym układzie położonych na siebie głazów egipskich. Chyba szukam tego samego, co Grecy zamknąć chcieli w strofie i antystrofie swej tragedji, a Rzymianie w najkrótszym układzie słów najporęczniejszej prawdy wzajemnego stosunku, — czyli prawa. Że szukam tego samego, co ludzie średniowiecza wmurować chcieli w mroczną romańską katedrę. Tego samego, co ludzie nowszych czasów, popchnięci nagle bezmiernym wysiłkiem myśli Kartezjusza, — ujrzeli w warunkowości doznań swoich i odczuć...

Sądzę, że pragnę tego samego, czego my, ludzie współcześni, najskromniejsi może ze wszystkich, szukamy w bezwzględnem doznaniu swej niewiedzy, w drobiazgowej analizie, w rozpaczliwej pokorze szczegółu...

Czegoż więc pragnę w zakresie tego zagadnienia? Niczego więcej jak tylko, abym mógł poznać, choćby na przeciąg jednej sekundy bym mógł doświadczyć — istotnej rzeczywistości.

Oto wszystko, — może nie wiele? I może to nic nie jest? A przecież w dążeniu do owej sekundy doznania

mieści się więcej niż wszystko, — mieści się bowiem nietylko to, co wiemy, lecz także to, co kiedyś wiedzieć będziemy.

Czy warto ową sekundę istotnego poznania rzeczywistości rozciągać tak szeroko, tak daleko? Czy warto zastanawiać się nad takiemi oto elementami trwania naszego, — czy też może lepiej zamknąć się w uroku pierwszej lepszej chwili, w uroku, doznawanym na mocy naszych najprostszych wzruszeń?

Odpowiedziałbym na to pytanie, że, czy warto, czy niewartò, — trwanie nasze, samo przez się, myśli się nam i rozkłada na szczegółowe czynniki wbrew naszej woli, wbrew naszej świadomości, ono samo popycha nas niejako do tego, iż wiecznie lepiej, iż wiecznie coraz lepiej odczuwać i rozumieć pragniemy rzeczywistość świata?

Naszą więc rzeczywistość, — czy też świata?

I któraż tutaj będzie nasza, a która znowu będzie drugą jakąś, odmienną, — rzeczywistością świata?

Zaprawdę, oto znowu jedna z tych ścian, czy zasłon delikatnych, czy też przegród tajemniczych. Bo przecież choć się to wie poniekąd i choć się to rzekomo takiemi czy innemi sposobami udowodniło w ciągu wieków wiele razy, to jednak wkońcu i tej nawet najprostszej rzeczy nie wie się bez reszty: nie zna się tej rzeczy najprostszej, to jest granicy, jaka istnieje pomiędzy myślą naszą a światem. O tę granicę toczy się przecie odwieczny spór człowieka z nieskończonością, spór wiecznie żywy, wiecznie otwarty, spór o to, co się nazywa — ja i nie ja.

Ja z jednej strony a z drugiej strony wszystkie gwiazdy drogi mlecznej, wszystkie rośliny ziemi, wszystkie tchnienia przestrzeni, wszystkie ognie wulkanów, — cały rozmiar i bezmiar wszystkiego.

Mówże mi, świecie, ktoś ty, abym ci odpowiedział, kto ja jestem!

Tak zdaje się wyglądać ów spór, tymczasem niewiadomo nam nigdy, czy świat mówi naszemi ustami, czy też słowo nasze dopiero w istotną myśl układa nieogarnięte ogromy świata?

Zdaje mi się, że zagadnienia te przelewają się bezradnie z nauki do nauki, pną się pajęczyną zdradliwą z jednej gałęzi drzewa wiedzy na drugą, wracają echem wiecznie pytającem z jednej epoki w drugą i z jednego tysiąclecia w inne.

I tu powiecie mi: — Lecz jakiż związek, przyjacielu, mogą mieć tak niestanowcze, chwiejne myśli, — z poczuciem rzeczywistości?!

Na to odpowiem: — Bracia moi, pozorom teraźniejszości oddani, czyż tego nawet nie rozumiecie, iż na to, byście mogli tym a nie innym ruchem dłoni ująć jakikolwiek przedmiot, byście mogli wyprostować grzbiet zgięty przy pracy; iż na możliwość dokonania tak prostych ruchów złożyć się musiały niezliczone, niezgłębione szeregi doświadczeń szalonych i bohaterskich, okupionych nadludzką odwagą wszystkich przodków naszych?

Doświadczenia wszystkich przodków naszych, wynikłe — z czego?

Z tej właśnie woli doznania choćby przez jedną sekundę — istotnego sensu rzeczywistości.

Nie powiedziałem jeszcze w tych rozważaniach nic konkretnego. A jednak zdaje mi się, że może tylko brzegiem swej myśli, otarłem się już o brzeg prawdy. Sądzę bowiem, że właśnie tą granicą najdalszą, choć wciąż jeszcze dostępną, poza którą wznoszą się już tylko nieosiągalne dla nas czarodziejstwa Nieznanego, ową granicą najściślejszego naszego zetknięcia się ze światem — jest wola nasza.

Ach tak — to pożądanie doznania rzeczywistości choćby przez jedną sekundę raz na zawsze istotnej! Marzenie o tej jednej sekundzie, dążenie do niej — to jest wszystko. To cała nasza rzeczywistość, ostatnia i jedyna zasada, nie dająca się już chyba rozłożyć na poszczególne części. Owa zasada, dźwięcząca w naszem życiu, jak głos z nieba, promieniem światła bijąca z ciemności!

To jest nasz dom wieczysty i nasza tajemnica i nasze najpokorniejsze wyrównanie wszystkich zasług z wszystkiemi grzechami.

To jest klucz, otwierający wrota jedynie znanej nam rzeczywistości życia. Oraz najdostojniejszy dramat doświadczenia naszego.

Co znaczy bardziej prostemi słowami: że nie masz rzeczy, nie masz uroku, piękności i nie masz zgrozy i nie masz na tym świecie niczego, czegobyśmy nie chcieli zmierzyć, czegobyśmy nie chcieli sprawdzić wolą istotnego poznania.

Stąd płyną wszystkie cnoty nasze i grzechy i cały zasób przebaczenia. Stąd płynie wszelki obyczaj nasz i wdzięk każdej kultury: że dla tej właśnie sekundy

najlepszego poznania wszystko co kochamy poddać musimy najtrudniejszemu doświadczeniu.

Zdaje się nam w codziennem życiu, że to nie my, że to nie nas tak pęta zuchwała i dramatyczna wola prób twardych i doświadczeń. Myślimy, że zawsze ktoś inny na owe próby wystawiony będzie, — nigdy my. A niechże sobie tam ktoś inny po takich strasznych urwistych szlakach chodzi, — nie my! A niechże tam ktoś inny nad przepaścią staje, — nie my!

Tymczasem zaś, — nieprawda: Każde bowiem dążenie wzwyż, ku lepszym warunkom istnienia, które to warunki dla naszych bliskich najcięższą pracą naszą tak pilnie gotujemy, — każde dążenie takie niczem innem nie jest, jak tylko rozszerzeniem ram potężnego dramatu doświadczenia i jeszcze większem pogłębieniem sceny, a więc poddaniem jeszcze trudniejszej próbie tych właśnie, którzy nam są najbliżsi.

Od tych słów jeden już tylko krok, czy jedno tylko mgnienie, jeden ruch, jeden skok do prawdy, która sercu memu najbliższą się wydaje, i powiem, — nie znam lepszej jak ta właśnie, gdy o rzeczywistości rozprawiamy: Jak ta właśnie jedyna prawda — miłości doświadczenia. Jedna jedyna między nocą a nocą, wiecznością a wiecznością, olśnieniem a olśnieniem, względnością a względnością, jedna jedyna szalona a konieczna: owa miłość stworzenia, życia, świata zawarta w tej tragicznej zasadzie, iż wszystko wszędzie zawsze, pośród nas, śmiałych ludzi, doświadczone być musi uczynkiem trudniejszym od wszystkich uczynków, na których możnaby poprzestawać ze względu na zachowanie dotychczasowej miary.

Oto jedyna znana mi zasada, powiem więcej: — oto jedyna znana mi rzeczywistość.

A tu tymczasem przyrodnicy powiedzą wam: cóż z tej zasady? Świat minie, minąć musi, skorupa ziemska rozsypie się, rozkruszy. A jeszcze przed tem może, po nas ludziach, kręgowcach, przyjdą do panowania nad życiem ziemi, — owady. I gdzież tu, w tej przemianie wartości, gatunków czy też gwiazd i planet, gdzież tu wynaleźć miejsce na pamięć szczytnych czynów i tak ambitnych cierpień? Gdzież tu wynaleźć miejsce na tę jedną jedyną nagrodę, to jest dumę wyniosłą z wszystkiego, co zdołaliśmy przetrwać?

Sądzę, że owo miejsce jest w nas a zarazem wszędzie na świecie, gdzie działał, radował się i cierpiał człowiek ponad miarę swych sił. Owo miejsce jest wszędzie, gdzie człowiek dla tej właśnie jednej sekundy poznania oddawał swe życie.

Jedyna rzeczywistość, — wielka duma i godność człowieka. Nic więcej — tylko tyle — i to wszystko. Pomieszczą się na miejscu tem miljardy naszych przodków i my i ci, co po nas przyjdą. Miejsca tego starczy na cały rodzaj ludzki, a jeżeli wszyscy potężnie dążyć będą, by tu właśnie stanąć: — Niechże nas miecie czas i kruszy, rozsypuje! Wola poznania naszego w tych jedynych ułomnych może nawet sekundach wieczyście względnej prawdy ułamkowo zdobyta, — po wieki trwa ta sama. Chociaż w nieskończoności z przed oczu naszych i ze sfery globu ziemskiego i z systemu słońca i zewsząd znikająca, — przecież żywa!

Bo wszakże była kiedyś i nic już tego stanu nie odmieni i żaden czyn i żadna trwałość tej prawdzie nie zagrozi: żeśmy najlepszą wolą, na jaką nas stać było, z nakładem wszystkich sił dążyli do najwyższego celu.

Dążyć w najlepszej woli z nakładem wszystkich sił do najwyższego celu, — to jedyna rzeczywistość człowieka.

BALLADA O KSIĄŻCE.

I

MATRONA.

Matrona, zamożna krewna, osoba z lepszego świata, dyplomacja, reprezentacja, uroczysta zapchaj-dziura:

Leży toto czworokątne, grube, opasłe, ciężkie, złocone, odgniatane we floresy, w precelki, w dzyndzyki, w dzymsy, w groszki, w kropki, w rzuciki, w pałączki, w żyły, w żylaki, w guzy, w papilotkowe loczki, w zefirek, w chmurki, — tłoczone w napuszczanem płótnie. Które to płótno jest, jak skóra trwałe.

Albo leży toto, tłoczone w skórze, która jest wytrzymała, jak metal.

Kanty ma to zdwojone w dubl-skórce, albo okute w mosiądz prawdziwy, — żeby niemcy wiedzieli o tym mosiądzu, toby razem z klamkami zaraz do armat swych poodbierali.

Na grzbiecie ma, to matroniszcze, czworogranną łatę czerwoną z safjanu, ze złotym tytułem i z autorem. Naprzykład: Pan Tadeusz — przez Adama Mickiewicza. Albo: Stara Baśń — przez J. Kraszewskiego. Albo Grottgier przez A. Potockiego.

Wszystkie boki ma złocone hartownie, — złoto trzyma

się dotąd, choć przez letnie miesiące, gdy dom bawi na letnisku, — słońce tu operuje, jak chce.

Ale co może słońce wobec dawnej solidnej roboty, — kiedy to nie było gadania ani żadnych Związków, tylko majster mógł rżnąć czeladnika w ucho, ile wlazło?!

Więc rzecz jest odrobiona na amen, a wszystkie ozdoby — też na amen.

Matroniszcze to można otwierać. Operacja połączona będzie zawsze z jękliwym odgłosem dyskrecji obrażonej.

Głos otwarcia, — szumi, jak świeża, dobrze prasowana pościel.

Stronice glansowane, z numerami porządkowemi na dole. Nie na górze. Nie, — jak w ordynarnej, zwykłej książce!

W książce galowej, salonowej, w takiej salonce zarezerwowanej, w takiej uroczystej „séparée“ nie może być gminnych porządków: Cyfry wszystkie ze specjalnemi, stylowemi ogonkami kryją się na dole.

Wszystko jest tu zresztą obmyślone pieczołowicie. Obrazki w treści przegradza stosowna bibułka. Na bibułce jest napis, wyjaśniający znaczenie obrazka.

Obrazki te wszyscy doskonale znamy, ale taka książka wiekopomna, reprezentacyjna, wizytowa, jubileuszowa przewiduje, że mógłby znaleźć się ktoś nieuświadomiony. Treść obrazków przeważnie Andriollego. Ileż tu samej prawdy historycznej, rzeczywistości, i naprężonych żył, i wiekopomnych zmarszczek hetmańskich!

Obecnie nie znalazłby malarz modeli takich. Niema już w Polsce takich zdrowych siłaczy. W czasie Andriol-

lego mogli być jeszcze: — Od powstania wielkich miast i połączonego z niemi zepsucia datuje się upadek.

Gmach ten, to ciężkie pudło, płyta grobowa z metalowemi kantami leży od lat w każdym szanującym się salonie. Na kapie, czy też na nicianej dzierganinie, czy na innej jakiejś kochanej robótce rodzinnej, która czepia się gości za guziki i zawsze chce lecieć na podłogę z całą zastawą podwieczorku.

Gmach ten, — widzimy przenosząc toto na fortepian dla uczynienia miejsca talerzykom, — gmach ten, ta matrona reprezentacyjna, — odparzyła już sobie od robótki rodzinnej zawsze tu rozścielonej, — tylną swoją okładkę.

Odparzyła a równocześnie w ciągu tak długich lat zapocił się już pod nią i zmatowiał cały prostokąt polituryr.

Stolarz mówił, że poprawi, lecz żeby potem kłaść książkę w inne miejsce, — bo inaczej będzie znowu to samo.

Gdzie jest to miejsce?

Niema. Po tygodniu książczysko leży znów, gdzie przedtem, na lewo od japońskiego wazonika.

Należy teraz jeszcze zbadać sprawy dwie:

Primo: Rodowód przedmiotu.

Secundo: Jego cel użytkowy.

Dlaczego, kiedy, z jakiego powodu w cichym twoim domu, skromny Polaku, znalazła się ta gruba kilkusetstronnicowa wiekopomna ostentacja?

Ileż razy, gestykulując, spierając się, kłócąc, dowodząc, walisz ją po grzbiecie, jakbyś miał do niej wszelkie prawo? A jednak mówmy brutalnie, nie kupiłeś jej za pieniądze!

Księgę tę dano ci w prezencie.

Kiedy?!

Wiem, kiedy. Gdy odrobiłeś dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat kieratu: nauczycielstwa, sędziostwa, prezesostwa, lub radcowania.

Na imieniny.

Wtedy to zeszli się poufnie twoi koledzy i powiedzieli sobie: Złotej papierośnicy nie damy mu, bo to za drogo... I obraziłby się z pewnością. Tyle wszędzie teraz w kraju nędzy! Możeby mu się futro przydało, ale, — z jego astmą? Za ciężkie będzie. Tu trzeba coś dla domu i żeby raz na zawsze została jakaś pamiątka.

Coś — z duszy!

Wtedy to dano ci ten złocony safjanowy kawałek — kawałek twojej zapomnianej duszy.

Do czegoż ci on służy? Obejrzałeś obrazki, wygładziłeś ochronne bibułki, położyłeś rzecz całą pod wazonikiem japońskim i nigdy nie czytałeś.

Służy ci, gdy cię interesent zastaje bez kołnierzyka! Możesz wtedy powiedzieć, zręcznie zaokrągliwszy ramię:

— O, proszę, ma pan tu coś do czytania, — ja zaraz.

Służy ci na Boże Narodzenie do utrwalania równowagi źle osadzonego drzewka.

Służy ci, gdy masz dać dziecku rycyny, — obiecujesz za to oglądanie tej książki z salonu.

Służy ci, — by twój podwładny, który czeka na ciebie w saloniku mógł powiedzieć ulatającym z przed rycin bibułkom: Ten stary cymbał trzyma mnie tu już trzydzieści minut.

Służy ci... Gdy przechodząc w zimie o zmroku przez

ten pokój zobaczysz nagle złote strączki, tłoczone na czerwonym safjanie, — odwracasz głowę. Przypominają ci się nagle koledzy, podpisani na pierwszej stronicy daru, — trzech już nie żyje, czwarty — jest na nerki w Egipcie...

Od wczoraj masz ostatnią swoją analizę. Nie dobra... Przystanąłeś, patrzysz na złocone grube strączki, tłoczone na okładce, zdaje ci się, że zaczynają rozłazić się po stole, — jak robactwo.

II

KAMIENICZNICZKA.

Kamieniczniczka.

Odziedziczona, przychowana i rozmnożona. Zamieszkała — niby w kamienicy, — w dużej, orzechowej lub też dębowej szafie frontowej, bibljotece o trzech woletach, tryptykoidalnej, z fryzem na górze. W bibljotece o trzech szybach dygocących, przesłoniętych zieloną rozsuwaną firaneczką.

Dwa piętra, z mezzaninem, — razem trzy. Górne piętra za szkłem.

Mezzanin stanowią trzy obszerne szuflady, na ilustracje, dyplomy, atlasy i pisma.

Parter masywny, zamykany na drzwi materjalne w dębie, czy też w orzechu.

Dwupiętrową tę budowlę z fryzem, przedstawiającym trójkąt (czy nie opatrzność?!) upstrzony rżniętemi różami, galeryjką na podłuż i toczonemi kuleczkami po

rogach, — wspominacie w rodzinie z pewnego rodzaju rozczarowaniem.

Nikt z was po śmierci staruszka ojca nie spierał się o ten kawałek schedy.

Jeżeli przy papierach wartościowych, przy domku, placyku, jakimś tam kawałeczku lasu, czy pola, a nawet przy tak serdecznych pamiątkach, jak zegarek złoty, złote spinki, jubileuszowy pierścień, jeżeli nawet przy tych drobiazgach zachodziły pewne niejasności, to tu, — mój Boże!

Dwaj młodsi bracia powiedzieli zgodnie, nie patrząc na swe żony, które już naprzód przytaknęły głowami: — Jako najstarszy bierzesz tę bibljotekę, — jasne.

Żona twoja spojrzała na twych braci podejrzliwie, lecz ty westchnąłeś skrycie... Nie przez chęć zysku, czy też żądzę posiadania drukowanych mądrości, nie dlatego też, że bibljotekę tę wytrącą ci bracia przy rozdziale innych pożyteczniejszych przedmiotów!

Westchnąłeś, gdyż w dzieciństwie jeszcze marzyłeś, by „mieć na własność“ te trzy drewniane kulki toczone, które zdobią dębowy gzyms szafy. No, i nagle bez żadnych kłopotów masz kulki z całą sząfą.

Dziwna to rzecz — marzenie ludzkie...

Chodzi teraz o to, gdzie ją postawić?

Przy ustawianiu okazało się, że bibljoteka nie ma czwartej nogi. Nie jest to nawet właściwie noga, a tylko podstawa. Gdzież teraz znaleźć odpowiednią?

Nadawałaby się doskonale podstawa ze starej komody. Antyk. Ze starej komody po babce żoninej (mieli wielkie majątki na Wołyniu), sztucznie otwieranej (mo-

wa o komodzie) z umarłem lustrem zielonem w wierzchniej pokrywie.

Stary klocek komody pasowałby w sam raz.

Albo zawołać stolarza. Stolarz może przyjść dopiero w piątek, a tu trzebaby skończyć z tem ostatecznie i zrobić już porządek.

Wtedy to służąca wasza Rózia (ileż to lat temu, co się też dzieje teraz z tą Rózią) podłożyła grube polano z kuchni.

Co powiedziałeś wówczas?

Powiedziałeś: Rózia ma też pomysły!

Polano dotąd trwa i dźwiga bibljotekę. Kopie się je po całej jadalni przy każdem wielkanocnem sprzątaniu i znów wieczorem podtyka się na miejsce. Gdzie tu w wielkim tygodniu szukać robotników?

Bibljotekę tę bowiem ustawiliście w jadalni. Gdzież indziej mogła stanąć?

W sypialni — nie. Za uroczysty mebel, — za poważny.

W salonie — nie. Dąb w stylu rokoko nie godziłby się z twoim empirowym mahoniem.

W pokoju chłopców? — Zniszczą w jednej chwili. Najlepiej więc w jadalni.

Naprzeciw kredensu.

Zatwierdziłeś to zdaniem, które podobało się twojej żonie i zostało poniekąd w twojej rodzinie, jako doskonałe, — murowane powiedzenie.

Powiedziałeś: — Kredens duchowy naprzeciw kredensu żołądkowego!

Jeszcze dziś, ile razy są goście i odsuwając krzesła od stołu uderzają o wypukły mezzanin bibljoteki, żona

twoja uśmiecha się i przecinkując słowa bystremi spojrzeniami, dorzuca lekko: Kredens duchowy — naprzeciw gastronomicznego.

Prawda! Podczas takiego przyjęcia młody twój asystent, chcąc specjalnie podziękować twojej żonie za jakąś potrawę, mimochodem zwalił ustawioną na mezzaninie sałatkę z pomidorów.

Kretyn.

Dzieląc się wieczorem wrażeniami przyjęcia, zacząłeś z uśmiechem: — Ten kretyn —

Żona nie dała ci skończyć. Uznała, że pan Stefan — ów właśnie twój asystent, — jest człowiekiem „na miejscu", i bardzo dla domu — oddanym. Uważała oddawna, że to ty raczej właśnie powinieneś bibljotekę przenieść do siebie, do gabinetu.

Niewiadomo dlaczego odpowiedziałeś nagle: — Za nic w świecie!

Mało obcowałeś z tą bibljoteką, przyznać jednak trzeba, że masz dzięki niej kilka pięknych wspomnień. Jedno z pierwszych, — gdy w parę miesięcy po śmierci ojca, postanowiłeś zrobić porządek z książkami.

Było to w czasie wiosennych wyścigów. Pierwsze dnie. Dziś już niepodobna sobie nawet wyobrazić, że mogło było u ciebie w domu zajść coś podobnego...

Niebywałe historje!

Twoja żona zaczęła bywać na wyścigach. Najspokojniej, najprzyzwoiciej w świecie, ze swemi braćmi (cymbały) i jeszcze kilku jakimiś znajomymi.

Przyszedłeś na dwa ostatnie biegi. Była w różowej sukni, rozprawiała z ożywieniem o totalizatorze i śmiała

się — pierwszy to raz widziałeś wtedy, — dla siebie, nie do ciebie...

Do nikogo, — w powietrze, — pierwszym swym narzeczeńskim uśmiechem.

Przyjechaliście potem do domu.

Nie chodziło tu bynajmniej o przegrane pieniądze. Już przedtem bolała cię głowa. Nie chodziło też wcale o przerwanie żałoby po niedawnej śmierci twojego ojca. Można było zaczekać z tą suknią. Ale — mniejsza już o to!

Poprostu — migrena.

Dla dystrakcji postanowiłeś wtedy właśnie na oszklonem górnem piętrze szafy doprowadzić książki do porządku.

Całe górne oszklone piętro — bagatela, — trzy godziny roboty.

Przez niziutką półkę najwyższą pojechał cały Kraszewski w wybladłem pomidorowem płócienku.

Za nim Kaczkowski.

Układając go rzekłeś: Albo naprzykład „Olbrachtowi Rycerze“ — świetna rzecz. Ale, czy to kogo obchodzi? Ludzie wolą marnować czas byle jak.

Kraszewski, Kaczkowski, Klementyna z Tańskich w tekturowym marmurku. Kremera odrzuciłeś do naukowych.

Klaczko.

Biorąc go do ręki, rzekłeś: Chyba też dział naukowy? Wieczory Florenckie. — A mówią, że to żyd?

Zamyśliłeś się; żona siedziała przy oknie, wpatrzona w roziskrzone na niebie gwiazdy.

Postanowiłeś jechać dalej Orzeszkową, Dygasińskim, Sienkiewiczem, Prusem, Konopnicką.

Pięćdziesiąt tomów Sienkiewicza.

Prusowi krzywda się stała, — niema co.

Gdzie tu wsadzić Sewera?

— Popatrzno, ojciec miał nawet Przybyszewskiego. — Wyspiański, — pierwsze wydania. I Staffa czytało ojczysko, czy co, — nic nie rozumiem...

Ułożywszy książki „raz na zawsze“, umywszy ręce w trzech wodach z tego kurzu, zacząłeś długie kazanie do żony. Rozprasza się, ma pod ręką takie skarby a tymczasem... Przecież nie samem ciałem żyje człowiek. Duszę też trzeba trochę rozwijać. Potem dzieci spytają o to, o tamto — i co?!

Objąwszy ją przy oknie, powiedziałeś wyraźnie, że jest głupia. Może nawet za głupia?!

Rozpłakała się, jej łzy tak pięknie błyszczały w księżycowem świetle.

Czyż nie miłe, nie cenne wspomnienia?

A inne, też dzięki bibljotece, po szkarlatynie malców.

Niechże biorą, co chcą, nie zależy ci na tych szpargałach, Bóg łaskaw, — wszystko tak szczęśliwie minęło.

Pomalowali całego Szekspira. Hamlet dostał czerwone spodnie, na falistą grzywę czarny cylinder i papierosa do ust, z dymem, zakręconym przez dwie stronice. Kaliban jest ogolony i siedzi przed Prosperem w pruskiej pikelhaubie. 50 tomów Sienkiewicza stoi, jako wigwamy indjan, naprzeciw w jubileuszowej, choć nieoprawnej ciągle jeszcze Orzeszkowej — mieszkają czarni zulusi.

Cieszysz się. Po stole, po kołdrach, poduszkach, wszę-

dzie walą się książki, furkocąc sypkiemi kartkami. Latają aż pod sufit, — a niech latają, — niema nad zdrowie w domu!

Rzecz prosta, — święta takie są rzadko. W dzień powszedni bibljoteka spełnia prace pokątne. Za fryzem pod dębową galeryjką chowacie klucz „od góry". Nie wolno go nikomu pożyczać, kuchty bowiem, jedna drugiej „przez złość" kradnie bieliznę — i szukaj potem wiatru w polu.

Chowacie tam też papier do pakowania, klucz od piwnicy i stare gazety.

W oszklonych pomieszczeniach pierwszego piętra, w rogach, pod ściankami stoją „główniе" stare leki. Szprycka do oka z kroplami, które ogromnie zmętniały. Zapomniana flaszeczka z jodyną. Jodyna dawno wyschła, ale przedtem nadżarła korek, który, nie wiedzieć jakim cudem, sam wpadł do środka butelki. Maść do wywabiania odcisków... Zapomniana zapałka z „nakręconą" watką do zęba. Czarne przepalone już żarówki — a wyrzucić nie można, bo jak huknie, to cały dom na nogi postawi! Kokardki kotyljona. Jakaś forma wycięta w żelatynowym papierze do tortu, czy na ubranie dla dziecka.

Na stryszkach, to jest między książkami a spodem wyższej kondygnacji — mamy akta wszelakie. Kwity za komorne. Stare weksle. Zapłacone rachunki. Sztywna okładka z gumką po biletach Kooka. Klucz od fortepianu. Zostawiona przez kogoś przed laty, czysta, zaprasowana chusteczka do nosa. Stary rulon z dziecinnemi powinszowaniami imienin.

Szeroki występ mezzaninu służy jako bufet. Mimo,

że jest kredens naprzeciw; lecz takich miejsc do stawiania, nigdy w żadnym domu dosyć. Mezzanin bibljoteki służy jako bufet i jako łącznik w całem życiu domowem.

Tu cisną chłopcy szkolne książki, gdy wrócą ze szkoły. Tu po drodze stawia służąca doniczki z kwiatami. Przy wszelkich sprzątaniach tu leży ścierka do kurzu i piórkowy czub do zmiatania obrazów. Tu zazwyczaj czekają gazety i listy. Tu pod ciężarkiem, — żeby przeciąg nie zwiał, — leżą telegramy i pasta do froterki.

Małoż to roboty ma bibljoteczka?! Tu w razie przyjęć stoi serwisik z wódeczką, wino, piwko. Nie trzeba uczonego, żeby poznał, — po odparzonych tonzurkach od kieliszków.

Tu przecie, gdy już wytrzymać nie możesz, — tak ciągle chcą od ciebie czegoś wszyscy, — zerwawszy się od stołu rzucasz pomiętą serwetę.

I wkońcu... Tu stała się ta rzecz potworna! Gdy stanąwszy przy mezzaninie zacząłeś swe kazanko do synów: — Że już dłużej nie możesz, — dosyć, — nie masz pieniędzy na takie błazeństwa!

Wskazałeś gestem Nelsona oszklone zielone firaneczki bibljoteki i krzyknąłeś: — Zamiast włóczyć się tak, wolałbyś jeden z drugim przeczytać coś kiedyś, trochę rozumu do głowy sobie włożyć!

Starszy syn warknął: Naprzykład?!...

— Jakto naprzykład?! — Szukasz w myślach, nie znajdujesz, rozdęła ci się pustka w całej głowie i nie zdążyłeś drzwi zamknąć, gdy twój starszy syn cisnął nożem w szyby bibljoteki. Stłukł, szkło bryznęło na podłogę, uciekł z krzykiem przez kuchnię.

Powróciłeś tu cicho, na palcach.

Poprzez rozdartą firankę nóż tkwi w ścianie bibljotecznej szafy, a zarazem, — jakoby w twojem sercu. I tylko nie wiesz, nie rozumiesz, pojąć nie możesz, dlaczego serce to jest jakby z starej, zielonej, wypłowiałej satyny?...

III

KSIĄŻKA—ULICZNICA.

Rodzi się, — jak pchła z piasku.

Z niczego, z mnóstwa, z mrowia, z jakiegoś bezustanku, z jakiejś wielości sypkiej, nieujętej. Z ciekawości, głupoty, z prostackiego marzenia, pospolitego kłamstwa, z asfaltu, z sinych woni gazoliny, mobil-oil, benzyny, tygodni białych, gwiazdkowych, wielkanocnych, wysprzedaży, rzymskiej łaźni, tureckiej, kroniki, przystanków tramwajowych, banków i klasycznej loterji, ze stadjonu, ze wszystkich piłek ręcznych, nożnych, rzucanych, z wyrobu gumowego, boksu, tennisa, z wystawy rękawiczek, napierśników, majtek, z telegramu, transakcyj, telefonu, z tygodnia lasek, krawatek, pyjam i z uroczystej defilady na Placu Odrodzenia!

Tłoczona jest na śmieciu, strzępach, gałganach, szmatach, pachnie chlorkiem, krochmalem, starą kawiarnią, młodym potem, poczekalnią fryzjera, piwem, barem, piżmem, toaletową wodą, mydliną.

Tłoczona jest na śmieciu, ulanym z wyrzuconych nieczystości, stronice rozdeptane posiada, krzywe, brudne, łamiące się rozgłośnie, jak kelnerskie półkoszulki.

Stronice na wieki przesiąknięte upiornem światłem gazu, pozszywane niedbale, we wszystkich zgięciach trzeszczące żałosnym niedowładem.

Na wierzchu nosi fular, ozdobę, coś jakby kolorowy szalik apaszowski, — okładkę kolorową ze straszliwem zabójstwem odzianem w koronkowe majtki; okładkę kolorową z miłością w generalskim mundurze,

okładkę kolorową z podróżą w brzuchu zastrzelonego słonia,

okładkę kolorową z haremem zgwałconych hrabin na Saharze,

okładkę kolorową z następcą tronu u stóp demonicznej brunetki,

okładkę kolorową z plecami krwawemi od kańczuga,

okładkę kolorową z angielskim kaskiem, czarną czapą czerkiesa, bokobrodami przewrotnego lorda, dwupłatowcem, który uwozi młodą parę z paszczęki krokodyla, z orangutanem, w którym zakochała się amerykańska miljarderka.

Okładkę pełną nieprzytomności naiwnej, rozbestwionej, spłakanej, szalejącej tumanami odętej bujdy od Leningradu, Irkucka, Charbina po Rio de Janeiro.

Od Rio de Janeiro przez wszystkie wody, góry, brzegi — aż pod poduszkę, gdzie właśnie uczniak ukrywa te książeczki.

Od Rio de Janeiro aż po krainę najtajniejszych ukradków, zakrytych zwierzchu botaniką, chrestomatją, logiką, — po tę krainę, którą przemierza się oczyma cielęcego zachwytu.

Rodzi się, jak pchła z piasku, — z niczego. Tłoczona

jest na śmieciu, ciało ma kruche, marne, odziana jest potwornie. Jest bezwstydna, przerosłe swoje kształty wywala z pod odzieży, pachnie kanałem.

Malowana jej gęba nie zamyka się ani na chwilę od najświętszych maksym, i taką właśnie, najtańszą, pospolitą, najgłupszą, — rozwożą, noszą, rozdzielają i obsyłają wszędzie, za witrynami, w koszach, na ladach, wózkach, na ramionach, pod pachą.

Nie wpuszczają do domów, do szkół, czy do bibljotek. Ma wszystkie drzwi zamknięte, lecz przeciska się progiem, szczeliną, szparą, rozrywana wzdłuż nierozciętych kartek pośpiesznemi palcami, składana wspak, łamana, pożyczana, dzielona na kawałki, przykryta, przysiedziana, zachowana jak stary pieski ochłap na później pod dywanem, zatajona pod hydrantem klozetu.

Najpodlejsza rzekomo — a przecie najdumniejsza. Nie istniejąca niby w żadnych spisach, lekturach a przecie oczywista, — gdyż najwięcej czytana!!

To ona właśnie żyje!

Ona nędznem swem ciałem obdziela wszystkich, ona swą szorstką ręką urabia serce pokolenia, ona szeroką gębą głosi najpowszechniejsze słowo!

Ona, — najpospolitsza rzecz, powszechna prawda, marzenie — w brudnej ścierce.

Tego uczyć się trzeba, panowie poeci, panowie pięknoduchy, panowie rarytasy: By się wizja waszmościów rodziła, jak pchła z piasku, z niczego. Z asfaltu, z mobiloil, z gazoliny, ze stadjonu, z wystawy rękawiczek, krawatek, czy z loterji.

Albowiem ta ulicznica niestrudzona, odbijana w ty-

siącach egzemlarzy jest właśnie tylko siostrą, młodszą i lepszą siostrą tamtej starszej, złocistej, wzniosłej, haftowanej, która na niebotycznym tronie przezacnych cnót zasiada i woła szklanym głosem świętości niedosiężnej:

Świat ma być dla wszystkich!!!

W WALCE Z KWADRYGĄ.

W dodatku literackim „Głosu Prawdy“ prowadzę (chociaż dla niepoznaki piszę tam zawsze przez „my“) rubrykę odpowiedzi od redakcji. Prowadzę ją już rok cały, kto wie czy nie lekkomyślnie? Wierzę bowiem w szczerość każdego otrzymanego listu, wszystkim „młodym“ wierszom przypisuję zgóry wiele dobrego. Zakładam a priori, że ludzie, którzy nadsyłają swe utwory — to może zapoznani poeci? Czy też poeci i pisarze dla których, na razie przynajmniej, zabrakło miejsca.

Czułostkowość?

Ależ nic podobnego! Pamiętam, jak sam swego czasu biegałem po Lwowie z rękopisem pierwszej swej powieści. Jak mnie przezacny redaktor Wysłouch, gdym z redakcji ustępował, za rękaw wyprowadził, a Kasprowicz wygnał rubasznym śmiechem (działo się w pelerynie, w wykrzywionych buciskach i podartym kapeluszu) a redaktor Laskownicki, nawet po halerzu od wiersza, nawet za darmo powieści mojej drukować nie chciał.

Chorowałem wtedy z rozpaczy i oto teraz, gdy mam okazję, gdy rządzę miejscem całych dwóch kolumn druku, pragnę, by znachodzili tu swą kartę przedewszystkiem młodzi.

Drukowali tu i poeci i prozatorzy nieznani, drukują

dalej. Jak przystało jednak na młodych, rok moich „odpowiedzi“ odczekawszy, w drugim numerze swej Kwadrygi występują już z zarzutami przeciw mnie. Za nich wszystkich czyni to p. Stanisław Ryszard Dobrowolski (też przecie pisze przez „my“) w pięknym swym artykule p. t. Rzemiosło czy Objawienie.

Uczysz nas, nauczycielu, — wołają najmłodsi pisarze głosem swego kolegi, — ręce nam obcinając i nogi. Skrzydła nam podwiązując. Gdy tylko z pod sznureczka twej miary ktoś się wyżej wychyli, ty z heblem twej nauki wypadasz i heblujesz do jednego poziomu. A tymczasem, — poezja to las przecie, bujny i rozrośnięty. Chcemy żyć wolno i swobodnie, ty z nas szpalery przycinasz dla demokratycznej Polski.

Spór o ducha i rzemiosło. Oni bowiem z natchnienia wywodzić się pragną, gdy ja wciąż do rzemiosła naganiam.

Już stajemy na mecie.

Jeszcze słowo: Z jak ogromną odpowiadam Wam, Panowie, radością. Radość moja wynika z zaszczytu, który wyświadczyliście mi tak szczodrze, belferkę moją poetycką za przedmiot swych rozważań biorąc. Wam bowiem pierwsze miejsce wypada, mnie drugie: Starszy pisarz pojął już przecie z życia wszystko. Jeżeli nawet nieźle owocuje, — każdym owocem sztuki zbliża się do jej kresu. Im dłuższe są promienie, tem zachód pono bliższy.

Podczas gdy Wy prace fermentu rozpoczynacie dopiero, w kwiatach w pąkach dopiero stoicie. Droga przed Wami otworem i najcenniejsze światło wymarzonej przyszłości.

Jeżeli pragnąłem Was uczyć czegoś, tom właśnie o ową przyszłość zabiegał, nie moją przecie już, lecz Waszą. Jeżelim pragnął dzielić się doświadczeniem, nie pomówicie mnie chyba o sknerstwo.

Ale, wołacie: Rzemieślnikami nam każesz być, pracować nad poezją radzisz, jak nad szewstwem, stolarką, czy inną mechaniką. A z drugiej strony doradzasz: Nie fryzować wierszy, poezja to jednak natchnienie...

I dodajecie: Skąd, u kaduka, taka niekonsekwencja?!

W poradach moich widzę znaczną konsekwencję. Prawdopodobnie „korespondent", którego bronicie, przysłał jakiś wiersz natchniony, lecz łabaty. Rozlazły. Niezebrany, niestworzony. Potem w myśl porad zabrał się ów poeta do przeróbki. W przeróbce tej nie dotarł jeszcze do istoty swego wiersza i zostawił na wierzchu wszystkie szwy napoczętego rzemiosła.

Sądzę, że dzieje się tu, jak się dzieje w prozie: Dajemy czasem „gotowe" fragmenty, jednym zamachem rzucone na papier. I mówimy: Napisałem w natchnieniu.

Zapominamy przytem, o ogromnej, podświadomej pracy, która kawałek ów toczyła od tygodni, miesięcy, może lat?

Twórcy, świadomi owej utajonej pracy, wiedzą o jej zbawiennych procesach. Twórcy młodzi, nie posiadający jeszcze tych zapasów podświadomego, męczą się „żywcem" na papierze. Najistotniejszą myśl rzucają na stronice, lecz prócz natchnienia ślepego nie masz tam więcej nic.

Brakuje formy.

Mówicie Panowie, że to szewska metoda w owych

chwilach, czy też przy owych okazjach ratować się rzemiosłem.

Nie obrażajcie szewskiego zawodu. Pracując kiedyś nad Zawodami, cały miesiąc uczyłem się u szewca. Wierzcie mi, — że bywają buciki — natchnione. Tak tu jest wszystko wyraszpilowane, tak skręcona dratwa, tak przyszwa czule przystaje do podeszwy. Widziałem, jak przy takiej natchnionej robocie rzemiosło służy, śpieszy i pomaga natchnieniu.

Czyście słyszeli, aby dobremu skrzypkowi ciężył smyczek, dobremu fortepianiście za dużo było klawiszy, wielkiemu malarzowi, by przeszkadzało płótno? Co też to za natchnienie, Panowie, drodzy, które boi się twardych rygorów miary i rzemiosła?!

Nie bójmy się o nasze natchnienie! Nie mówmy o niem, — bo to ogień straszliwy, który, gdy pali, drżysz i kiedy łaskę jego srogą czujesz, — milczysz.

Sądzę jednak, że ogień ów buchał z naszej poezji i prozy nazbyt bujnem wielosłowiem. Składała się na to krzywda historyczna i zbyt ciężkie pohańbienie w wielkim starcie narodów. Wszyscy to wiemy i wiemy, ile z tego wynikło uszczerbków dla formy polskiego słowa.

Czasy owe minęły, z karabinem w ręku przemogliśmy nasze nieszczęścia. Czyż nie czas, by Sztukę wprowadzić do jej własnego domu, domu jedynej wolności, którą jest zawsze, — najczystsza i najlepsza forma?

Nie ta i nie inna, lecz każdego z nas najlepsza. To jest lepsza od tej, którą za dobrą uważaliśmy, to jest ta, która leży i rozściela się — dopiero poza granicami opanowanego zwycięsko rzemiosła?!

Cóż więc dziwnego, że co tydzień wzywałem was, brutalnie może nawet, do pracy? Że może nawet starałem się wprowadzić pewne schematy i stopniowania, gdy była mowa o wyborze tematu i stosownych do tematu środków? Cóż dziwnego, że, niejednokrotnie, płonkę widząc niepewną, mroziłem ją, — a niechże ginie, gdy płonką tylko miała być żałosną.

W sporach naszych o pracę i jej dokładność nie wymawiajmy się natchnieniem. Zapewniam Was, iż ten, który jest pośród Was przeznaczony na wielkiego architektę, kocha wszystkie sposoby koniecznej murarki, jej porządki uznaje z lubością, widzi w nich bowiem ład dnia powszedniego.

A cóż jest, drodzy Panowie, w wielkiej poezji świata groźniejsze i wspanialsze, od powszedniego dnia? Któreż to święto przed dniem powszednim pójdzie?!

Jeżeli nawet idzie, to w sztuce tylko wtedy, gdy praca powszedniego dnia poety stanie się świętem Narodu.

WYWIAD, KTÓREGO NIE BYŁO.

[Jubileuszowy rok Sieroszewskiego.]

Prosił mnie pan Grydzewski, redaktor „Wiadomości Literackich“, bym sporządził interwiew z Wacławem Sieroszewskim; zgodziłem się najchętniej, umówiliśmy dzień i godzinę; dziś właśnie rozmawiamy: Sieroszewski siedzi za stołem, ja obok nad rzekomemi notatkami.

Czyto ludzie wiedzą, poco trzyma się pod ręką takie notatki? Trzyma się je pod ręką, by nie notować właśnie! By nad ćwiartką papieru szła rozpędem własnym jakowaś lepsza pamięć, która nie pisze, nie notuje, a tylko stapia elementy odczucia i doznania w związek wyższego rzędu: W związek, którego wzorów najczulszych znów później nie można utrwalić na papierze.

Nie piszę, nie notuję, — patrzę: Sieroszewski złożył ręce na oparciu i czeka. Jest tak mały, drobny, zebrany w sobie, ścisły i twardy, — jakby wyrznięty z jednego spoistego sęka. A za chwilę, gdy się porusza (podaje popielniczkę), — jak gdyby odrazu w jednym geście przetworzył się: — złagodniał, zmiękł.

Porusza się kulisto, półokrągłym zakosem, cicho, płynnie, ostrożnie. Ruchy jego cechuje dziwna, elementarna, rzekłbym, przyrodnicza oględność.

Teraz przechylił głowę ku lewemu ramieniu.

Głowa tego pisarza jest pomierna, w kształcie nieosobliwa, w ogólnym charakterze raczej przydatna, niż piękna, u nasady karku podcięta grubemi bliznami. Czoło wysokie, białe, częstotliwie zbrużdżone zmarszczkami. Po bokach czoła, nad skroniami siwe smugi światła. Skronie mocno pożyłowane, i tak to już wygląda, — jakby w tych natężonych żyłach ugrzązł jakiś nadmierny wysiłek.

Na przenikliwych szarych oczach duże szkła.

Nos mały zadarty, nozdrza prążkowane artretyczną czerwienią oddychają pilnie, skwapliwie, rzekłbyś z łapczywą lubością.

Miło słuchać oddechu, tak skwapliwie gospodarującego powietrzem.

Usta osrebrzone siwym strzyżonym wąsem, — więcej widać wąsa, niż ust. Dopiero gdy Sieroszewski mówi, widać, że te usta są wciąż jeszcze czerwone, świeże i dziecinne.

Taka to twarz: Znana, nieosobliwa, spotykana dawniej tylekroć, — oblicze potocznej zacności, powstałe z chudej ziemi, pośród ludzi przeciętnych, — pod niebem szarem.

Widywało się dawniej takich starszych panów dość często. Myśmy wtedy chodzili w pelerynach jako natchnione cudusie długowłose, a oni tkwili w jakichś ważnych robotach ojczystych.

Roboty żmudne były i nazbyt może już tradycjonalne?

Owi starsi panowie: — Może inżynier kolejowy na drodze warszawsko-wiedeńskiej, czy też jakiś tam posie-

dziciel nieznaczny z pod Siedlec, czy z pod Brześcia, czy też może profesor pokątny, społecznik, moralista, zatrąca jeszcze tradycją Szkoły Głównej, powraca myślą wtył, gdy my naprzód idziemy; i taki szary będzie w myślach swoich pospolity, prawie pozytywista, aż potem w najtrudniejszej chwili z takiego przydrożnego człowieka wybuchnie nagle światłość niewiarogodnej cnoty, ofiary, siły!

Sieroszewski pochyla się ku mnie i z łagodnym wyrzutem pyta, jakiego to chcę interwiewu? Znamy się przecież dawno, więc cóż będziemy obcym ludziom opowiadali?

I uśmiecha się do mnie.

Uśmiech ten dziwnie pana Wacława przeistacza. W bystrem twardem spojrzeniu lęgnie się światło, usta oplata łuk najmilszej życzliwości; z całego zaś oblicza tchnie jasną łuną wiara tkliwa, zupełna, zawstydzająca. Jest jej doprawdy stokroć więcej, niż trzeba dla okazania naszych wzajemnych uczuć; więcej, niż mogłaby wymagać bieżąca chwila. Jest tak wiele owej wiary, że się zdaje, iż możnaby marnować ją i na próby wystawiać i tracić niepotrzebnie, — a tyle jeszcze zawsze pozostanie!

Czy nie na tem polega najistotniejszy wdzięk Sieroszewskiego? Trudnościom i zmaganiom, cierpieniom i wszelkim zawodom przeciwstawić się zawsze ponad miarę najcięższych możliwości; dawać z siebie więcej, niż trzeba, — to zwyciężać wszelki przypadek, przewyższać każde obliczenie, docierać może już ku ostatecznym granicom czasu w pogodzie czystego sumienia!

Zapada mrok.

Meble salonu nikną snadnie w cieniu, portjery wtapiają się w ścianę, blask dnia drży tylko jeszcze pod lustrem w wazach chińskich, przy oknie na japońskim hafcie i na stole, wzdłuż ramion rzeźbionego Buddy.

Jakby pospołu z zmierzchem wstępowała między te ściany inna, daleka dusza wschodu, tak nam obca, a temu człowiekowi kiedyś bliska, połyskująca tutaj obcym znakiem i symbolem.

Z iloma to duszami, jak dalekiej przestrzeni spotykał się ów człowiek, szary człowiek z nad naszej siwej Wisły, miłością piasków rodzinnych natchniony?...

Jakże się ostał z tą pokorną miłością, kuszony najwymyślniejszą prawdą tajemnych symbolów?

Wiem, że zebrane tutaj rzeźby, tkaniny, hafty — to resztki zbiorów, w części zaginionych po drodze, w części zaś darowanych różnym muzeom.

Człowiek ten wiele razy gromadził dobro, piękno i mądrość dalekich ziem, ludów, mórz i części świata. Obdarzał tem swój własny kraj, oraz inne dalekie narody — i szedł dalej, ku nowemu życiu.

Ku nowemu życiu! Ludzie mojego pokolenia znają doskonale mieszkanie Sieroszewskich i ten właśnie salon, w którym tajemnicze ibisy, hafty, znaki i figury, niby jakowaś straż sceptyczna, — tylu zmianom nieustannej nowości przyglądać się musiały.

Między te wschodnie dziwadła przybiegaliśmy tu z legjonowych frontów i tu nas budował swem buntowniczem słowem wachmistrz Sieroszewski. Gdy trwał na froncie, któryż peowiak nie pamięta pani Sieroszewskiej,

jej najzacniejszej dobroci i nieugiętej wiary w zwycięstwo? Pamiętam, jak z tego pokoju, z pomiędzy owych ibisów, magów, djabłów wschodu i mogołów, wybierał się pan Wacław w biednych szarych łachudrach emisarjusza burzyć obie cesarskie okupacje.

Widziałem, jak w roku 1920 synowie jego szli na front. Z hukiem, trzaskiem, synowie i jacyś jeszcze kuzyni, cała gromada żołnierskiego chłopa.

Trudność pisania tych oto słów na tem polega, że dzieło tego pisarza i dom szlachetny wrosły w serca całego pokolenia. Że dzieło artysty przemieszane jest z życiem doskonale i stanowi, — nawet w dziejach naszej bohaterskiej literatury, — niebywały przykład zgody czynu z myślą.

Wyznaję, że nie chodzi mi tu specjalnie o literaturę Sieroszewskiego.

Nie pamiętam, kiedy ją pierwszy raz w swem życiu spotkałem. Trwa ona w czytelnictwie mego pokolenia i następnych, — jak dzień pięknej pogody. Jej świt i poranek, jej doba ciągnie się równem, niezachwianem światłem i nie pamiętamy, kiedy się zaczęła, — jak o wszystkiem dobrem nie wiemy, kiedyśmy doświadczać zaczęli.

Czem to było dla nas wtedy, czem będzie znów kiedyś po latach, gdy się przegrody okresów zmniejszą w oczach naszych następców?! Dla owoczesnego czasu Polski i dla mojego pokolenia literatura Sirki była cudem! Manną z nieba, kroplą ożywczą, dźwignią radosną i pewną, śpiewem nadziei w ciemnościach nieprzebranych.

Pisarz ten, — rzecby można, — za wszystkie pokolenia wygnańców zwyciężył Sybir. Nie jakieś tęcze prorocze, nie anielstwo lotne, — lecz z ogromów nocy i mrozu wyprządł słowa wiary i siły. Z pod północnego bieguna olśniewał kraj światłem swego ducha, z bezmiernego chłodu krzesał ciepło radosne. Legendę beznadziei, która wisiała nad współczesnemi, przemieniał w epos zwycięskiej przedsiębiorczości.

Któż z nas dla tych dzieł Sirki świeżych, jak pierwiosnki a mocnych, jak światło, nie odsuwał na bok greki, łaciny, logarytmów i wszelakich wypisów, któż z nas nad temi książkami w ciszy łez gorących nie zaprzysiągł Ojczyźnie całego swego życia?!

Owe przysięgi wzniosłe i tajemne, owe gniewy buntownicze, owe radości świeżej młodzieńczej duszy owionęły mnie znowu szalonym urokiem, kiedy po raz pierwszy w życiu ujrzałem tego pisarza.

Było to podczas lelewelowskiej rocznicy, gdy jako delegat młodzieży polskiej z Brukseli przybyłem, aby złożyć wieniec na cmentarzu Montmartre na wspólnym grobie żołnierzy 1831 roku, właśnie odnowionym, a w którym pospołu z oficerami i szeregowcami spoczywał wielki historyk.

Dzień był słoneczny. Po alei cmentarnej, żebrowanej cieniem gałęzi, przechadzali się wybitniejsi członkowie ówczesnej kolonji: Władysław Mickiewicz w aureoli siwych włosów, zawsze wzburzony i milczący Żeromski i wielu innych, bardzo zapewne ważnych, natchnionych, lecz już jakgdyby w najboleśniejszej głębinie duszy, — zniecierpliwionych.

Patrzyłem wtedy na nich, na siebie, na nas wszystkich, z żałością i bezradą. Zdaje mi się bowiem, że był w nas wtedy jeszcze upór uczucia, wciąż wznawiający święte rocznice, lecz była już bezsiła wobec nowości bieżącego życia. Była wola najlepsza a zarazem coś beznadziejnego, — jakgdyby już fachowość jakaś w tych obrzędach.

Więc staliśmy nad grobem pół wzniośli, pół zwarzeni. Dopiero gdy przybył Sieroszewski, życie w całą sprawę wstąpiło. Przyszedł na czele swych trzech synów, złotowłosych malców, zwykły, prawdziwy, mądry, bez cienia pozy, afektacji, bez sekundy sztucznego natchnienia. On jeden umiał tu właściwego rezonu nie tracić, oddać miejscu spojrzenie należne a potem w czasie natchnionych przemówień patrzeć ciętem, bystrem spojrzeniem po niebie, ludziach i mówcy, — w czem było więcej prawdy, niż we wszystkich gwałtownych oracjach.

Poczem pierwszy ze swymi budrysami pobiegł zpowrotem. Żwir cmentarnej alei pryskał im z pod butów, Sirek rwał pierwszy naprzód, jakgdyby właśnie razem z tymi chłopcami — ku nowemu życiu.

Pamiętam później pana Wacława w Krakowie. Nie wiem, ile razy starałem się tę chwilę przekazać potomności. Nigdy zapewne nie potrafię, choć już pisałem o tem i jeszcze pisać będę i synom moim powtórzę tę historję:

Jak słonecznego przedpołudnia szedł Florjańską ulicą przez tłum żołnierzy, chłopków wzburzonych wieścią wojny, w strzeleckim mundurze z Manlicherem na ramieniu. Nie był to krok pośpiechu, czy troski, czy dumy, — lecz rzekłbym, — krok zadośćuczynienia.

Sieroszewski szedł w głębokiej ciszy wewnętrznej, z twarzą nieruchomą, jakby w coś oddawna słyszanego teraz dopiero całą mocą swego istnienia zasłuchany.

Ludzie wołali po drodze: — Widzieliście Sieroszewskiego z karabinem! Widzieliście, przystał do Strzelca?! Widzieliście Sieroszewskiego z karabinem!

Otóż tak, był to Strzelec żywy, rzeczywisty, realny, a zarazem jakoby zgoła urojony. Tu w czasie i przestrzeni Florjańską ulicą kroczący a zarazem z najdalszych tajg i lasów i w symbolu wszystkiego marzenia nieszczęśliwych zesłańców objawiony.

Więc na ulicy miasta — a już pospołu brzegiem nieśmiertelnym kroczący.

— Widzieliście Sieroszewskiego z karabinem?!...

Nie słyszał wołań owych, oddany chyba temu wielkiemu rachunkowi, który, jak w żadnym z innych pisarzy polskich, dokonywał się w nim najskrupulatniej, od wyroków śmierci, jakiemi była pieczętowana młodość jego, — aż do tej właśnie chwili.

Przy pracy zetknęliśmy się pierwszy raz w Parku Krakowskim za odwachem Strzelca, gdy trzeba było pisać odezwę do narodu kieleckiego, uwolnionego orężem Kadrówki z więzów rosyjskich.

Wywołał mnie wtedy Sieroszewski i razem z Daniłowskim poszliśmy za odwach kleić co żywo tę pisaninę. Działo się pośród jakichś długich desek, pisaliśmy na pustej beczce po wapnie, brzozy szumiały nad nami, a od murawy dolatał głos komendy.

Jakże byłem szczęśliwy w tej chwili, że pióro moje mogło biec torem tym samym przy pisarzach, którzy młodość naszą formowali.

Czas wojny, to jeden, najwyższej pełen poezji rapsod rycerski w działalności Sieroszewskiego.

Łagodny, koleżeński, wesoły wobec towarzyszy frontowych, w obliczu nieprzyjaciela, — niepodobna inaczej powiedzieć, jak tylko, — lew nieustraszony, ciurom niechętny, wobec Niemców i Austrjaków jeż w ręce ująć się nie dający, działacz, kaznodzieja, pisarz, reformator opieszałej opinji, kwestarz niezmordowany, spiskowiec najśmielszy, emisarjusz żadnych trudów niepomny, pierwszy przy rozpadaniu się centralnych państw insurgent i wreszcie jeden z pierwszych organizatorów polskiej władzy państwowej.

— Już wiem, — mówię to nagle w mrok pokoju, — że z interwiewu nic nie będzie. Zamiast tego wszystkiego proszę o kilka dat. Kilka zasadniczych dat.

Oto pierwsze kroki młodości, rok 1878-my, aresztowanie, X-ty pawilon, pierwszy bunt więźniów 1879-go roku. Sąd wojenny, groźba kary śmierci, wieczne osiedlenie na Syberji. Droga etapem, rok 1880-ty pobyt w najgłuchszym chyba miasteczku świata: Wierchojańsku.

Znajomości z osiadłemi tu rozbitkami powstań i rozbitkami wypraw biegunowych. Ciężkie prace. Twarda walka o byt, budowa zbawczej łodzi, dwukrotna próba ucieczki i zsyłka jeszcze dalsza, na kresy lasów, — trzysta wiorst od gościńca, trzysta wiorst od rzeki, trzysta wiorst od osiedla, w okręgu kołymskim, do ludzi żyjących jeszcze bez ognia, posługujących się kamiennemi siekierami, którzy jeszcze uprawy roli nie znali, przekonani, że się mąkę kopie w górach, — jak kredę.

Trzeba słyszeć, jak o tej ziemi mówi Sieroszewski,

o słońcu, które 40-ci dni nie zachodzi i 40-ci dni nie wstaje, lecz krąży nie górą a tylko dokoła horyzontu. Tu był rybakiem, rolnikiem, górnikiem, cieślą, myśliwym, kowalem, ślusarzem, pionierem i wynalazcą. Tu zdobywał dziki świat czarami rzemiosła, które wśród dzikusów tamecznych miały wartość moralną czynów Wulkana, czy też Nibelungów.

Tu dokonywał cudów prostych a olbrzymich, jak sporządzenie pługa, lutowanie żelaza, złota i srebra, jak uprawa roli. Tu zdobywał szacunek wśród wodzów plemion tajemniczych, stając się przedmiotem spisków zawiłych, mocą których jedno plemię chciało go ukraść drugiemu.

Jeszcze dziś słychać w pogodnem opowiadaniu Sieroszewskiego nadludzki trud i wysiłek owych czasów. Najcięższe bytowanie wojenne zda się chyba wobec tego okresu życiem, pełnem wygód anielskich: Wobec lat, spędzonych w straszliwym mrozie i nocy, które ogląda człowiek przez szyby z lodu.

Tu na białych okrawkach gazet wolnych od druku, atramentem sporządzonym z palonej kory wierzbowej, mięszanej umiejętnie z sadzą, zaczynał wielką swą autorską działalność, korzystając z kusego dnia lub płonącego ogniska.

Los tych pism był nader niepewny. Listy ze świata szły tu przeszło pół roku. Przesyłka poczty stąd do Europy ze względu na surowe zakazy była bardzo uciążliwa. Całe zbiory prac wysłanych do Polski, przewożonych pod podszewką odzieży przez rozmaite tajne okazje, — zaginęły Sieroszewskiemu. Pierwszy ocalał „Chaj-

łak", takim właśnie atramentem z sadzy pisany w puszczy kołymskiej. Stworzony w roku 1881-szym jechał trzy lata do Warszawy, gdzie go dopiero w 1884-tym drukował „Głos Warszawski".

Jak można było wytrzymać w tak straszliwych warunkach?

Były lata, — twierdzi Sieroszewski, — w których obawiałem się — „zawalenia się mej świadomości w przepaść".

Dotknąłem jego ręki.

Popatrzył na mnie, — lecz jakby jeszcze mnie nie widział. Chyba znowu przed wzrokiem pamięci tego człowieka rozwarła się owa straszliwa przepaść.

Twarz Sieroszewskiego zdała mi się w tej chwili małą, drobną i białą, jak opłatek; niby ściśnięta mrozem, pusta, — zdała się nieruchomo błyszczeć w próżni.

Ratowała go ustawiczna praca nad sobą i naukowa obserwacja przyrody, środowiska. Jakiejż jednak siły trzeba było, by tworzyć, — tak niepewnej poczcie oddając swe dzieła? By zbierać materjały naukowe — bez najmniejszej nadziei oddania ich kiedyś komukolwiek?

Dzięki tej właśnie pracy ocalił się. Olbrzymie dzieło p. t. Jakuci oddał ostatecznie do druku Rosyjskiemu Towarzystwu Geograficznemu za obietnicę powrotu do kraju. Nie chciano tej obietnicy dotrzymać. Dawano mu „generalski czyn", stanowisko generalnego inspektora zabytków archeologicznych w Turkiestanie.

Sieroszewski nastawał wciąż na dane słowo, prezes Towarzystwa, Konstanty Konstantynowicz książę Romanow nie mógł nie dotrzymać.

Po tylu latach, po tylu pracach, po tylu czynach, po tylu dokonanych dziełach teraz, — dość wszelkiego ryzyka! Zdawałoby się, powrócił.

Nigdy jednak nie miał dość ten człowiek na drodze swojej prawdy. Zamieszany w proces o manifestacje przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza znów się dostaje do X-go pawilonu, znów ma wracać na Sybir. Ratuje go Towarzystwo Geograficzne, powierzając kierownictwo ekspedycji do badania plemion pierwotnych oraz Mandżurji, Chin, Korei, Sachalinu i Japonji.

Nigdy dość! W roku 1905-tym bierze udział w rewolucji, dwa razy aresztowany, ostatni raz ocalony wielkim odruchem ludu, maszerującego już na Cytadelę, w celu uwolnienia więźnia.

Rzecz prosta, w ogromie życia i czynu twórczość literacka jest jedną ze stron, — twórczość wspaniała, pachnąca grozą żywiołu, w napięciu duszy ludzkiej najprawdziwsza, spokojna wielkością słów najprostszych.

My już dziś nie potrzebujemy tyle oddawać z siebie. I może dzięki temu właśnie stać nas będzie na to, że każdy własne swoje szaleństwo, czyli swą sztukę, styl, swą własną wizję i wolny rodzaj słowa, zdania, piękna, — dosadniej rozwinie.

Mocny Boże: My, dawne długowłose cudusie, dzięki tamtym strudzonym starszym panom, działaczom fanatycznym, prorokom i żołnierzom w najbiedniejszych łachudrach, — dochodzimy łatwo dziś do głosu w rozpostartej szeroko ojczyźnie.

— No więc widzisz Sireczku, — powiadam, tłumiąc najgłębsze wzruszenie, — z tego interwiewu nic nie będzie.

Sieroszewski śmieje się, ucieszony. Wstał, chce zapalić światło, przełączniki są przy drzwiach, po drugiej stronie.

Wstał, po drodze zatrzymał się przy oknie, nim je zamknął, wychylił się jeszcze, by zobaczyć na jutro pogodę. I tak go widzieć będę zawsze: Tak go zawsze widzieć będę, wychylonego w mroku z oprawy okiennej ku rozmiarom ciemnego nieba.

Jakgdyby to sam czas najboleśniejszy mej Ojczyzny po tak straszliwych przejściach — zamieszkał bogobojnie w ciszy dnia powszedniego i wypatrywał teraz z okna lepszej pogody jutrzejszej.

Czas walki ostatecznej — zawarty w Sieroszewskim bez reszty.

DZIEŃ WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO.

[12. II. 1927 r.]

Siedzimy przy tym stole, Szanowne Panie, Panowie i Koledzy nader ciasno, łokieć o łokieć, ramię przy ramieniu. Zsunęliśmy najbliżej nakrycia, tłumno tu a i tak przecie wszyscy czujemy, iż nie dość nas tu jeszcze przybyło... Że w tej chwalebnej ciasnocie przedstawicieli najwyższych urzędów, największych prac i świetnych nazwisk pisarskich Rzeczypospolitej jesteśmy, — ze względu na powagę chwili, — ani w dostatecznej liczbie, — ani w składzie zupełnym.

Nie przesadzę bowiem chyba, gdy stwierdzę: Zupełną liczbę uczestników tej uroczystości stanowiłaby dopiero cała praca, walka, cierpienie i chwała Polski ostatnich lat kilkudziesięciu, — od człowieka w przepoconej bluzie robotniczej aż do najwspanialszego munduru, okrytego gwiazdami zwycięstwa.

Gdybyśmy mogli, rozsunęlibyśmy zaiste ściany tej sali, miejscem święta obierając inną salę naszą, ukochaną, szumiącą życiem, rozciągniętą od Zbrucza po Gdynię i od Rybnika aż za Poleskie obszary:

Z racji święta wielkiego pisarza i wielkiego Bojownika Polski Niepodległej, wachmistrza I-go pułku Szwoleżerów, kawalera orderów Virtuti Militari i Krzyża Walecznych Wacława Sieroszewskiego.

Słowa moje, mimo, iż słowa przecie są mem najdroższem rzemiosłem i w używaniu ich winienem posiadać jaką taką obrotność, — słowa moje, Szanowne Panie, Panowie i Koledzy, — w żadnym sensie nie wyczerpią tej chwili. Rozbić się one muszą u stromych brzegów zasługi wyjątkowej, — przykładu bowiem podobnej cnoty napróżno szukalibyśmy w naszym zawodzie pisarskim.

Zważcie panowie ministrowie i Wy, świetni żołnierze, którzy zdobicie dziś zebranie nasze, iż gdy Wam, ludziom czynu, w twardem ciele życia tworzyć wypada, nam ludziom pióra zastępuje zawsze drogę marzenie twórcze. Marzenie owo, gdy udatnie i skrzętnie chwycone, po śmierci naszej trwa, kształtuje ludzi i wzmacnia, — lecz nam samym jakże często myli drogi przeznaczeń?!

Dziesięć i sto i tysiąc masek przywdziewamy nad kartą pustego papieru, by kształt przemijania utrwalić, — a tu patrzcie! Przez wszystkie maski, z dna nędzy aż ku chwale Legendy, — to samo nieugięte oblicze! Ta sama moc, ta sama czystość przebłyska!

Wypada nam tu czcić duszę pełną wyjątkowej światłości i szczególniejszej potęgi. Duszę, która tworząc marzenie, tworzyła równocześnie rzeczywistość najtrudniejszych czynów!

Jakże się stało, Mistrzu, żeś w robotniczej bluzie żelazo obrabiał, potem kajdany dźwigał, potem pielgrzymem był, potem orężem walczył, niepodległości Ojczyzny apostołując zawsze... Żeś udźwignął wszystkie pierwsze, najcięższe role w historycznem widowisku oswobodzenia Ojczyzny a zarazem, żeś umiał ani na chwilę nie porzucić, żeś potrafił tak wysoko utrzymać w sile

słowa, w krasie obrazu, w uroku myśli, w miłości serca przepiękną drogę pisarza?!

Oto, Szanowni Zebrani, — wielki cud życia człowieczego i zaprawdę, jakże go tu ogarnąć wymową?!

Słowa Sieroszewskiego zapalają pierwsze ognie walki. Jego słowa, atramentem z kory drzew podbiegunowych pisane, przełamują — niedolę Syberji. To one, one z krajów wiecznej zimy i straszliwej udręki ślą do Ojczyzny wiosnę najpiękniejszych nadziei.

Jeszcze Twe zdania i obrazy zakwitnąć nie zdążyły i przez młode pokolenia się przesiać, gdyś już był między nami, gdyś pierwszy na emigracji szedł w strzeleckich czwórkach, brat czynu Piłsudskiego, pierwszy wśród wszystkich szeregowiec, a w dniach próby znów zaraz pierwszy pośród najlepszych kwestarz oswobodzenia Ojczyzny.

Zaprawdę ta droga wspaniała prowadzi Mistrza do miejsca, na którem w Polsce mało ludzi stanąć może...

Prowadzi Mistrza do onego progu, na który, od stu pięćdziesięciu lat niewoli naszej, przychodziło do żywych Polaków po prośbie ich nieziszczone marzenie wolności...

Gdyby dziś do nas tu przyszło, we wrota tej sali: Gdyby tu przyszły owe Dziady polskie, — potłuczone daremnie, Żołnierze, rozdarte rodziny, działacze przez los srogi niewysłuchani wcale, gdyby tu do nas przyszły nędza i hańba, godność i śmierć, płomieniem Sławy objęta!...

Gdyby z tych oto drzwi wyciągnęła się ku nam dłoń wygnanej Ojczyzny, jak przez lat sto wyciągała się przecie po prośbie do każdego pokolenia Polaków?...

Sieroszewski może z najczystszem sercem ku tej rzeszy świętych cieniów wystąpić, on pierwszy może rękę wyciągniętą ująć i zawołać ogromnym głosem życia swego: — Zwyciężyliśmy, Matko najdroższa! Rozprostuj strudzone ramiona!

Dlatego Szanowni Zebrani, gdy na polach naszych rozpraw wojennych roznosi się okrzyk zwycięstwa, gdy przy pracach usilnych krzepi się wspólna sprawa, gdy dniem każdym i każdym uczynkiem świadczymy — by jak najświetniej żyło wielkie potężne Państwo polskie: W wojnie naszej i pracy na tej ziemi, w każdym triumfie cnoty, w każdej zasłudze cierpienia, we wszystkiej chwale najlepszych wysiłków brzmi zarazem niezłomna cześć, wspaniała wola prac, cierpień i walk Wacława Sieroszewskiego.

Mistrz prozy polskiej, Mistrz polskiego czynu Wacław Sieroszewski niech żyje!!!

ALEKSANDER MICHAŁOWSKI PRZY FORTEPIANIE

Opowiadają sobie teraz pianiści w Warszawie, że Aleksander Michałowski, odrobiwszy wszystkie lekcje i zajęcia szkolne, codzień wieczorem około godziny jedenastej zaczyna pracę dla siebie: To jest, że jeszcze raz szlifuje, udoskonala, ulepsza wykonanie obu koncertów Chopin'a (e-moll i f-moll), z któremi ma wystąpić na swym jubileuszowym koncercie.

Niejeden laik, czy młody adept sztuki fortepianowej sądzi zapewne, iż pilność taka ze strony doświadczonego mistrza trąci już może dziwactwem.

W istocie, — czegoż nowego może pragnąć Michałowski od tych koncertów, oraz od sposobu, w jaki wykonywał je tyle już razy przez tyle lat? Więcej, niż przed pół wiekiem, — wykonaniem koncertów tych olśniewał na estradzie, a przecież, jako młoda sława wschodził w warunkach nader trudnych, pośród konstelacji prześwietnych ówczesnych pianistów, tak bliskich jeszcze niezapomnianego chyba nigdy uroku pianistowskiego Chopin'a, Liszta i Mendelsohna.

Przez lat sześćdziesiąt — sądzić tak będzie niedoświadczony uczeń, — miał chyba Michałowski dosyć czasu, by poznać wszystkie tajniki obu tych kompozycyj. Jeżeli więc tu i ówdzie zatarł się jakiś trel, czy przybladł

bieglik, czy też rozluźniła się spoistość tej lub owej figury, — to cóż wielkiego? Mistrz weźmie na swój warsztat owe trele, biegliki i po niewielkiej pracy znów cała kompozycja błyszczeć będzie dawnym blaskiem wykonania.

Kto jednak poznał głębiej istotę sztuki odtwórczej, rozumie, iż nie byłoby w tem żadnej przesady, gdyby istotnie po sześćdziesięciu latach pracy, teraz znów od początku niejako przygotowywał się mistrz do nowego występu. Bo przecież żaden występ nie jest powtórzeniem poprzedniego, lecz zawsze krokiem dalszym, czynionym naprzód, z dziedziny jednej doskonałości ku nowej, jeszcze dalszej. Wszystko więc jedno, czy po czterdziestu, czy po czterech tysiącach występów: Sam rozwój rzeczy prowadzi naprzód człowieka, narzucając mu wciąż nowe pęta coraz delikatniejszej i wyższej doskonałości.

Cóż zatem dziwnego, że sędziwy mistrz, uporawszy się z wszystkiemi zajęciami dnia, późnym wieczorem zasiada do pracy nad sobą? Czyż nie powinien sprawdzić szczegółowo całego mechanizmu palców? Palce te nie straciły nic jeszcze ze swej biegłości. Są wyrównane w gamach, ścisłe w legatach, — a jak wiadomo legato fortepianowe ma swoją filozofję, odmienną zgoła od innych instrumentów.

Tak samo sprawdzać trzeba mechanizm przegubów, technikę podwójnych tonów, wreszcie rzut ręki w akordzie, rzut, który wydobyć ma z instrumentu całe brzmienie, nie dając jednak przytem żadnego tarcia, t. j. odgłosu irchy płaszczącej się zbyt nagle na metalowych strunach.

Praca nad aparatem tym wymaga niebywałej dokładności: Zagłębienie rzutu akordowego o setną czy tysiączną sekundy wcześniejsze, lub powolniejsze zmieni przecie całą barwę akordu. Płaszczenie się poduszki palca na trąconym klawiszu śpieszniejsze, czy też powolniejsze zgęści, lub też rozrzedzi ton, przerywając właściwy rysunek melodji.

Więc praca wirtuoza zawsze ta sama, poświęcona tym samym celom mechaniki?

Nic podobnego! Praca ciągle odmienna, od poprzedniej różna: Czego innego bowiem szukał na klawiaturze trzydziestoletni Michałowski, a czego innego szuka dziś mistrz sędziwy. Musi więc technikę swą zgrywać ustawicznie, temperować, dostrajać, by była właściwym wyrazem ostatnich jego celów duchowych. Musi więc technikę ową wciąż reformować.

Pamiętać przytem musi mistrz Michałowski, po sześćdziesięciu latach na nowo opracowujący w swym pokoju muzycznym oba koncerty Chopina, iż pewna suma wirtuozowskiej gotowości strąci się niejako, odejdzie na rachunek wzruszenia, — w obliczu tłumu.

Ów tłum, — choćby to byli najżyczliwsi słuchacze, — stanowi jakoby zbiorowe oblicze nieodwołalnego przeznaczenia. Albowiem wszyscy ci sami ludzie nie zejdą się już nigdy po raz drugi w tem właśnie usposobieniu i czasie.

Czyli, — i tu może dotykamy istoty sztuki wirtuozowskiej, — cała sprawa tego spotkania jest jedyna, niepowrotna, niepowtarzalna! Artyści innych fachów, pisarze, malarze, kompozytorzy mogą zatrzymać, powtó-

rzyć, czy też odwrócić czas swego tworzenia. Wirtuoz zapisuje niepowrotnie wstęgę owego czasu w momencie, gdy się ona przesuwa. Wyznaczone rytmy kompozycji nie mogą doznać żadnej przerwy: One to właśnie przecie, ich miara nieodwołalna stanowi o stworzeniu najpiękniejszej iluzji: *Iluzji absolutnego trwania w rozpoczętem i do właściwych końców prowadzonem przemijaniu granego utworu.*

Tak więc gra wirtuoza obliczona być musi na, — że się tak wyrazimy, — nieodwołalną wieczność utworu, z którego ani jedno drgnienie nie może już powtórzyć się, czy jeszcze raz zawrócić — w przepływ „zwykłego" czasu.

Jakże wielki wysiłek, — i cóż z niego zostaje? Nie słyszy go wirtuoz sam, skupiony nad klawiaturą, tworzący właściwą harmonję daleko od siebie samego, niejako na przecięciu akustycznych linij pośród rozległej sali. Z twórczości tej nie zostaje grającemu nic prawie i wszystko bez reszty zabierają słuchacze.

Gdy Michałowski dziś, po tylu latach pracuje znów odnowa nad koncertami Chopin'a, które grał całe życie... gdy dziś znowu z czarno białych klawiszów nieci kurzawę tego piękna, — ileż wspomina chwil, okazyj, miast i sal różnych i jakież niezliczone tłumy ludzi, które słuchały go kiedyś.

Gdzież dzisiaj są ci ludzie, owe chwile i jakże to rozprzędły się już owe dawne wzruszenia?

Zdawałoby się, iż tu właśnie dotykamy tragizmu wokacji wirtuoza: Na daną chwilę zgromadzić, wydać z siebie wszystko — i bez śladu niejako utracić.

Sądzić tak może, kto przecenia wagę zapisanej stronicy, trwałość malowanego płótna, czy też żywotność kształtu oddanego ręką ludzką w kamieniu.

Kto jednak raz zobaczył, ile wdzięku ulata zawsze ze stron, gdy miną pokolenia, wśród których stronice owe powstawały, ten rozumie, iż twórczość wirtuoza mniej może od innych zostawia po sobie dowodów, — lecz więcej entuzjazmu. Przenosi się ona z pokolenia na pokolenie, tworząc legendę doskonałości, niepowrotnej, nieodwołalnej i przez to właśnie bardziej jeszcze czarującej.

Nasze słowa pisane, czy barwy wyprowadzone pendzlem, czy kształt w kamieniu kuty, stracą też swoją prawdę wraz z wygaśnięciem kategorji społecznej, wśród której powstawały.

Niestety, — jest to tylko sprawą czasu. Nie o to zatem chodzi, by dziełem ubezpieczać swe imię w ziemnym przepływie czasu.

Zadanie i wysiłek równie szczytny, — by jednej chwili przemijania oddać się niepodzielnie. Mocą talentu sprawić, by zniknął czas, a w sercu słuchaczów rozprzędło się znikome, lecz w doskonałości swej wieczne zda się, — przemijanie utworu.

Wszyscy razem ku temu samemu zdążamy w tej dziedzinie: By zwyciężyć materję: Materję barw, kształtów, wyobrażeń, kamienia, wierzeń... By przezwyciężać materję na wieki, czy też przez kilka sekund, — co w straszliwym przeciągu niewyczerpanych czasów na jedno chyba wyjdzie.

W tej oto wielkiej sztuce iluzji, w sztuce absolutnego przemijania utworu, w sztuce wirtuozowskiej trwa Mi-

chałowski tak wielkim czarem najskromniejszej prostoty i zbytku wytwornego i energji, wdzięku i mocy, — iż tylko wielkość pracę taką wywodzić z siebie może... Tylko najszlachetniejsza sztuka w blaskach takiej skromności do czynu się sposobi.

PIERWSI WRÓŻKOWIE.

W miarę sił naszych i środków, lecz przecie wszyscy chyba krzątać się będziemy tego wieczora, oraz przez dzień następny około jednej i tej samej sprawy.

We wszystkich domach wszystkim nam cieplej będzie i jaśniej a czy o dwie, trzy, cztery, czy o trzydzieści świeczek jaśniej, — to już niewiele znaczy!

Znaczy to już niewiele wobec radości ogromnej, aż spłoszonej, którą wprowadzić chcemy do naszych domów na te chwile. Wobec radości, której nigdy do syta udzielić nie zdołamy, albowiem najgorętszemu zamierzeniu nie potrafi tu nigdy sprostać dostateczne spełnienie.

Krzątamy się około tego samego, poniechawszy wszystkich naszych rzekomo najważniejszych robót.

Wieczora tego zapomną chyba nawet najpotężniejsi o groźnej swej i odpowiedzialnej ważności. Sądzę, że nawet ten, który po tej ziemi stąpał wielekroć w dźwiękach broni, któremu cały nasz los i dzieci naszych składaliśmy, by rządził tem, ratował, czy wspomagał, że nawet on wieczora tego o nas wszystkich, trzydziestu miljonach ludzi zapomni — i może będzie białego Mikołaja zawieszał na choince, lub szukać będzie miejsca pośród kłujących gałęzi, gdzie ma być zawieszony orzech złocisty, czy też srebrzona rybka?

Tak samo sędzia, adwokat, to samo lekarz i panowie ministrowie i najprzeróżniejsi panowie dyrektorzy i wszyscy chyba ludzie wszystkich słusznych zawodów, czy parają się piórem, szablą, lancetem, kodeksem, czy też ci, co na plecach kosze węgla wynoszą, przy piecach stoją, lub ciasto wyrabiają, śnieg rozgartują, lub może u wrót skrajnego ubóstwa trwający.

Którzy zaś są samotni, niechże śpieszą, by stworzyć dom, tego wieczora bowiem wyraźniej, niżeli pośród wszystkich innych uczują, jak bardzo brzemię samotności ugniata, naodwrót zaś, — ile dodaje i przynosi wesela dom własny tworzyć i kroku drobnych dzieci nasłuchiwać.

Zatrzymujemy wszelakie prace nasze, pojawia się ta przerwa tak dziwna a zarazem głęboka, którą po brzegi równamy i wyżej brzegów zasypujemy — naszą tkliwą radością.

Bezgraniczną radością z życia i wzrostu dzieci naszych, owych najukochańszych ludzi malutkich, którzy mają z rąk starych odebrać wszystko i jeszcze sprawniej nadal poprowadzić.

W imieniu tych nadziei w imieniu tych najpoważniejszych spraw rozwoju ludzkiego na świecie, — jakież to niezmierzone szczęście, — że wieczora tego minister z córeczką swoją na blaszanej kuchence będzie gotował obiad dla lalki, świetny obiad z orzechów, bibułek, i owoców galaretki. A jakiś ważny poseł, najgorliwszy może z pacyfistów całej Europy, z króciutką szablą w szturmowym kasku defilować będzie przed swym synem. A jakiś prawnik znakomity zamieni się w wiel-

błąda, poganianego dźwiękiem metalowych dzwoneczków swego syna, czy wnuka.

Wieczora tego wypełniamy szczęściem głęboki tor naszych trosk teraźniejszych. Wznosimy kopiec zwiewny, lecz najmocniejszy z wszystkich naszych nadziei:

Próbujemy w obliczu dzieci naszych spełnienia wszystkich marzeń!

Święta Bożego Narodzenia, rzekomo święta dzieci, są przecie wielką, piękną improwizacją haseł lepszej przyszłości. Zapamiętają ją malutcy na zawsze i znów niosą później ku swoim dzieciom, — gdy nas już dawno nie ma na tej ziemi.

Posuwa się ta sprawa z ojca na syna, od mroków ognistej przeszłości, przez zwidy i przesądy coraz dalej, ku brzegom jasności, aż nakoniec, — któż powie, że nie wierzy, — po wszystkich trudach, doświadczeniach, ta właśnie chwila nasza, owa radość z wojłokowego misia i z blaszanej kuchenki, po wiekach, wiekach, wiekach, — drżeć będzie w blasku źrenic przyszłego człowieka spełnieniem zapowiedzi.

Strzyżony miś, krokodyl szklany, lalka zamykająca oczy, kolej warcząca na łokciowych szynach niech biegną naprzód, niech się zjawiają we wszystkich domach pierwsi, — najukochańsi wróżkowie wszystkich możliwości szczęścia.

PRZED NOWYM ROKIEM.

(WYTŁUMACZENIE NOWEGO ROKU)

Myślę o Nowym Roku, że teraz, podczas świąt, zbliża się do nas coraz prędzej. Czas coraz szybciej ucieka, godzin ubywa, ubywa, na minuty nie warto zwracać osobliwszej uwagi, — a sekundy?...

Cóż tam mówić o biednych sekundach!

Sekundy wcale się już nie liczą. O, tak, niema już na to żadnej rady. Po Bożem Narodzeniu, po drzewku, po tylu światłach, podarunkach i przyjemnościach musi nadejść Rok Nowy.

Jest to tak pewne, iż Nowy Rok wydaje się nam nie jakimś tam czasem nowym, ani nawet nową liczbą, lecz poprostu jakąś nową osobą, osobą ważną, młodą, miłą i kochaną.

Gdzież jesteś nowa, ważna, nieznana osobo, — skąd przyjdziesz, od którego końca kroczyć zaczniesz?

Przyjdziesz, przyjdziesz, nastanie dnia pewnego długi, biały ranek. Wtedy właśnie, odświętnie ubrani, pobiegniemy do pokoju rodziców, zarzucimy im ręce na szyje i ściskać ich będziemy, wołając:

— Szczęśliwego nowego roku życzymy mamie!

— Szczęśliwego nowego roku życzymy tatusiowi!

Wszystko zmieniło się teraz: Powiedzcie tylko, moi

drodzy, jak prędko potrafiło się to wszystko zmienić. Jakże ten czas przegania jedne roki za drugiemi!

Jeszcze niedawno nosiłem krótkie spodnie, bufiastą bluzę marynarską z kotwicą.

Dziś — jestem już dorosły. Marzyłem, ażeby zostać dorosłym — i już jestem. Noszę długie spodnie, golę się, jak mój ojciec, w miseczce co rano urabiam sobie mydło do golenia. I jak mój ojciec nam, — nie pozwalam moim chłopcom używać tej miseczki do puszczania baniek.

Wszystko się zmieniło! Teraz ja siedzę przy oknie, o mnie teraz dbają wszyscy na naczelnem miejscu, teraz ja odbieram listy i gazety od listonosza. Okazuje się też, że nie mam do kogo „lecieć“ z życzeniami, moi synowie zato przybiegają do mnie i obejmują mnie za szyję.

— Czy wiecie, chłopcy? — pytam tak samo, jak kiedyś mój ojciec mnie pytał — coto znaczy Nowy Rok?

Siadają przy mojem biurku, spychają się z szerokiego krzesła, wymachują nową gazetą i czekają, ażebym o tej całej sprawie opowiedział.

Czem może być rok?

Opowiadanie nie jest takie proste, jakby się zdawało. Wielu ważnych i dokładnych rzeczy albo już nie pamiętam, albo ich nigdy o tej sprawie nie wiedziałem.

— Jak wszystko na świecie — zaczynam, tak samo i rok może mieć różne znaczenia. Rok, to oczywiście przedewszystkiem 365 dni. Umiecie liczyć do tysiąca, cóż wielkiego wyliczyć 365!

Rok, to też, mimo woli, ta cała sprawa, jaka wyczy-

nia się na niebie, mianowicie, że ziemia i słońce kręcą się po przestrzeni. Powstało nawet z tego napewno owych 365 dni. Nie znam się na tem dokładnie, jeżeli się jednak tych spraw nie rozumie, — można sobie to zawsze wyobrazić jakoś po swojemu.

Ziemia, lecąc dokoła słońca, rozmaicie obraca się i z tego powodu jest ciepło, coraz cieplej, wreszcie — bardzo! Potem zaś zimno, coraz zimniej i znów — bardzo!

Z tych wszystkich powodów wynikają cztery pory roku. Najzwyczajniej w świecie — zima, wiosna, lato, jesień i znów zima.

A pocóż te pory?

Jakto, po co? Najprzód dlatego, że tak jest przecie, a nieinaczej, powtóre dlatego, żeby się nam nie nudziło. Żebyśmy sobie na różne sprawy patrzyli. Jak coś urasta, rozkwita i znów ginie. Rzecz bardzo ważna. Kto taką sprawę zrozumie, ten już wszystko rozumie. Ten jest na świecie mądry. Mądry, wesoły, — spokojny.

Żeby to wszystko stwierdzić, weźmy cokolwiek bądź pod rozwagę, naprzykład krzaczek bzu. Jakaż to biedota w marcu, a nawet w pierwszych dniach kwietnia! Kilka szarych, zmarzniętych gałązek, kilka popękanych sęczków.

A teraz, nagle — wiosna przychodzi, przylatuje na ciepłych podmuchach. Patrzcie na ten sam marny krzak bzu! Wygląda, jakby się nim samo słońce nacieszyć nie mogło: Łodygi giętkie, pełne chłodnego soku, liście, niczem płaskie, gładkie, czyściutkie serca zielone.

A kwiaty?! Kwiaty, każdy z osobna, niczem mały, najpiękniejszy kościołek, pełen ożywczej wonności.

Macie wiosnę.

Bierzmy teraz lato. No więc — lato. No więc — co?

Co?

Przypomnij sobie tylko łan zboża. Ile to szumu żywego, aż się przelewa, przelewa, jakby tajemna woda: sucha, przedziwna, — dzwoniąca, a tak cicha!

Przypomnij sobie długie, śmigłe kłosy, które wyrosły z małego bezbronnego ziarnka.

Ależ tak, bezbronnego! Tyle wron tędy chodziło, tyle myszy latało dokoła, a ziarnko to bezbronne, ziemią trochę nakryte, wytrwało i jest teraz długim, mocnym kłosem, mieszczącym w złotych, wygodnych komórkach kilkadziesiąt nowych, dojrzewających ziarnek!

Czyż można sobie wyobrazić coś piękniejszego od łanu zboża (nie chciej być bławatkiem, ani makiem, ani jakimś kąkolem, chciej być zwykłym, prostym kłosem), czyż źle tutaj powiedziałem o lecie?!

Idzie jesień.

Soki, które płynęły w drzewie, powracają znów na dół, do korzeni, okwitliśmy już dawno, wydaliśmy owoce, rozsypał się szeroko proch roślin, oraz drzew. Muszą tedy przeleżeć w ziemi, spocząć, muszą się namyślić, wszystko, wszystko porządnie rozważyć, spamiętać sobie i powtórzyć pod ciężkim, białym śniegiem.

To właśnie będzie zima. Któż jej nie zna?

Czy wiesz teraz, po co jest na świecie rok i jego pory rozmaite? Abyśmy kwitli, dojrzewali, owoce pracy naszej wydawali, i czekali pod śniegiem siwizny naszej,

czyli starości, — na nowych, młodszych następców i kolegów.

Na nasze dzieci.

Czy może być coś piękniejszego?!

Sądzę, że nie.

Dlatego, gdy dwaj synowie moi, mali chłopcy, przybiegną do mnie po śniadaniu, życzyć nam „wszystkim razem“ nowego roku, choć już jestem dorosłym człowiekiem, choć już dawno muszę golić się codziennie, wydawać pieniądze i nie pozwalać, aby mi zabierano miseczkę do golenia dla puszczania baniek, — zerwałem się z fotelu, wzięliśmy się za ręce i zaczęliśmy tańczyć po pokoju.

Jest to wyborny taniec:

Ja podskakuję trochę ciężko, jak stary koń. Pawełek drepce w miejscu, jak panienka. Jędruś zaś tupie nogami srogo, jak jego kum, generał.

NASZA FREBLÓWKA LITERACKA.

„Ruch Literacki“ z listopada 1928 roku przynosi między innemi nader ciekawy list J. Kasprowicza do J. I. Kraszewskiego, który poniżej drukujemy.

Czcigodny Panie!

Niech mi będzie wolno najszczerszą wyrazić podziękę za to szczęście, jakie mnie wskutek starań Czcigodnego Pana spotkało. Odebrałem bowiem list — wczoraj od p. Lewentala, w którym mi donosi, że w numerze 881 „Kłosów“ drukowano coś z moich poezyj. Nie miałem jeszcze tego numeru w ręku, bo tu w Raciborzu niema Polaków, coby „Kłosy“ abonowali, to też nie wiem które Czcigodny Pan do druku był łaskaw polecić, w każdym razie może się jeszcze o „Kłosy“ postaram.

Już sposób, w jaki się Czcigodny Pan o tych kilku drobnych próbkach wyraził był i jest powodem wielkiej radości, tem bardziej cieszę się dziś, że za wstawieniem się Czcigodnego Pana mogę je oddać w ręce publiczności. Nie wiem wprawdzie jak często Szan. Red. „Kłosów“ zechce drukować moje wiersze, ale zamierzam do niej w tej mierze kilka słów napisać.

Odżyłem prawie na nowo, mam znowu więcej nadziei, a to winienem dzisiaj Czcigodnemu Panu, niech mi więc będzie wolno raz jeszcze złożyć ze serca płynące podziękowanie i dołączyć zarazem zapewnienie o najgłębszej czci, którą razem z całą Polską czuję.

J. Kasprowicz.

Drukować nadal zamierzam pod pseudonimem *Goplanicza.*

Racibórz — Kohlenstr. 8. d. 23. V. 82.

„Odżyłem prawie na nowo, mam znowu więcej nadziei“,— pisał ośmnastoletni Kasprowicz, przyszły wielki

poeta, uszczęśliwiony powodzeniem, jakiego doznał u Kraszewskiego.

List powyższy przytaczam w całości, sądzę bowiem, że słowa Kasprowicza wyjaśnią lepiej, niż potrafiłbym to uczynić w długim wywodzie, stanowisko „Literackiego Głosu Prawdy“ w stosunku do młodych, względnie najmłodszych poetów i prozatorów.

Ten właśnie dział redakcyjnej pracy „Literackiego Głosu Prawdy“, dział odpowiedzi od redakcji i związana z nim freblówka młodych poetów i prozatorów ściąga na siebie najostrzejsze ataki, powoduje niejednokrotnie najgwałtowniejsze burze pośród braci literackiej. A to,— że udziela się miejsca grafomanom, a to, — że popiera się ich, a to, — że rozzuchwala się przedwcześnie piszącą młodzież, a to wreszcie, — że ułatwia się początki, podczas gdy początki winny być nieodmiennie trudne, ciężkie i bolesne, jak za dawnych dobrych czasów. (Kapralowi dawali dziką szkołę, gdy był szeregowcem, teraz kapral będzie dawał dziką szkołę!)

Przyjaciele naszych metod, bronią nas też niezawsze tak właśnie, jakbyśmy tego pragnęli, twierdzą bowiem,— że dobrze tu czynimy, sprowadzając sprawę sztuki do sprawy rzemiosła.

Nie przystoi chyba wywalać otwartych drzwi i dowodzić, że tak samo, jak trzeba pewnej wprawy do trzymania obsadki i składania liter, tak samo trzeba też pewnej wprawy do panowania nad wyobraźnią, do normowania jej pędu, do wyboru obrazów i środków ze wszystkiego, co nam nasza fantazja przynosi. Od sposobów tych do właściwej sztuki bardzo jeszcze daleko.

Sprawy rzemiosła niema co bronić, ani atakować, każdy bowiem z piszących wie sam, na ile słuszna jest, oraz konieczna.

Czemuż zatem „Głos Prawdy Literacki“ stara się ułatwić pierwsze kroki poetom i prozatorom?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta: W prowadzonej skrzętnie rubryce Odpowiedzi, oraz udzielając jaknajwięcej miejsca młodym, — ułatwiamy ich pierwsze kroki, wydaje się nam bowiem, że niema drugiego tak odpowiedzialnego, tak ważnego zawodu, w którego dziedzinie pierwsze kroki i całe przygotowanie do zawodu byłyby równie trudne i wszelkiej opieki pozbawione.

Sędzia, doktór, adwokat, akuszer, muzyk grający w kinie, ba, — ślepy taper; konduktor, palacz, cieśla, każdy człowiek mający spełniać jakąś pracę w społeczeństwie odbiera najmniejszy bodaj zapas fachowych wiadomości w zakresie swego zawodu.

Pisarz, od którego wymagać będziemy wielkich, niejednokrotnie proroczych syntez, nowych form, nowych rytmów języka, wstępuje w szranki swego zawodu, — jakgdyby na o-la-Boga.

Tak zwany talent, czyli nowa wizja rzeczywistości, potrzeba wyładowania tej wizji pcha młodego adepta do pióra. Podczas gdy każdemu człowiekowi w każdym innym zawodzie społeczeństwo poczuwa się do obowiązku udzielić ścisłego zakresu fachowych wiadomości, podczas gdy, nawet w zakresie innych lotniejszych, mniej „społecznych“ od pisarstwa sztuk, — w muzyce, rzeźbie, malarstwie, architekturze, starsi dzielą się doświadczeniem

swem z młodszymi: W sztuce pisania każde pokolenie musi zaczynać niejako od początku.

Nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że Sienkiewicz musiał był mieć cały szereg sobie tylko właściwych i wiadomych sposobów kompozycji. Sposobów brania się do pracy. Sposobów wewnętrznego treningu. Sposobów lektury i odpowiedniego ustawiania, korzystania z owoców tej lektury.

Nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że odmiennie a jednak na swój sposób systematycznie i celowo układał swą wizję powieściową Żeromski. Oczywiście, — inaczej od Żeromskiego Reymont. Wiemy dobrze, że krytyka naukowa podejdzie kiedyś do owych sposobów i zracjonalizuje je. Stanie się to jednak wtedy, gdy sztuka żywa zmagać się już będzie z całkiem nowemi zadaniami, tak, że sposób rozwiązywania dawnych zadań i zagadnień nie będzie już miał dla młodych pisarzy praktycznego znaczenia.

O ileż więcej wiedzielibyśmy o Sienkiewiczu, o Żeromskim, Reymoncie, gdyby pisarze ci wzorem wielkich malarzy, wielkich kompozytorów, wielkich instrumentalistów (szkoła gry Liszta, Chopin'a, czy Wieniawskiego, szkoła kompozycji Brahmsa, czy Czajkowskiego, Beethovena, czy Wagnera) mówili o swych metodach, gdyby mogli byli doświadczeniem nabytem wspierać nowych po sobie następujących artystów słowa!

To pierwszy najważniejszy argument, którym „Głos Prawdy Literacki" broni swych pozycyj przeciw atakom, — że freblówkę pisarską tu prowadzimy, rozpieszczamy, rozzuchwalamy młodych.

Argument drugi, wedle naszego mniemania ważny, — to sprawa techniczna raczej, niż ideowa: Młody początkujący pisarz pała żądzą druku. Rzecz całkowicie zrozumiała. Ma on poczucie istotności tego sprawdzianu, jakim jest dziś dla słowa ludzkiego forma druku. Idzie więc taki młody adept do wydawcy, lub do którejś z redakcyj. Tu nikt nie ma czasu „bawić się“. Utwór jest albo dobry albo zły. Albo nadaje się do druku, albo nie nadaje się.

Zapadają więc rozstrzygnięcia, najczęściej niesłuszne, a bynajmniej nie posuwające młodego adepta naprzód. Nowela może otrzymać etykietę, — „nie nadaje się“, — mimo, że jest bardzo dobrze przeprowadzona, brakuje jej jednak końca, względnie koniec ma „puszczony“, nie postawiony, źle rozegrany. Wiersz może być świetny w czterech zwrotkach, lecz dwie ostatnie są już nie wytrzymane.

We wszystkich innych dziedzinach sztuki są to rzeczy wiadome i mistrze dojrzali umieją doskonale słabe strony swych uczniów, młodszych artystów, polepszać. Jeden z pianistów, cieszących się światową sławą, dawny kolega piszącego te słowa, szukał po całej nieomal Europie mistrza, któryby mu poprawił trele i oktawy. Gdy spotkał ostatecznie właściwego artystę, wystarczyło paru tygodni pracy dla usprawnienia tego, co zdało się nieosiągalnem mimo długich lat mozołu.

Dlaczegoż we wszystkich innych dziedzinach sztuki i nauki mogą ludzie korzystać wzajemnie ze swych doświadczeń, a tylko w dziedzinie uczuciowego władania słowem miałoby to być niemożliwe?!

Utwór słowa, pisana kompozycja jest taką samą kompozycją z punktu widzenia sztuki, jaką jest obraz, jaką jest symfonja, czy prowadzenie symfonji, czy wykonanie sonaty. Wszystko zależy tu w pierwszej linji od talentu. Talentowi temu jednak można pomóc. Można usprawnić trele, czy oktawy, można uświadomić proporcje całości, można wyćwiczyć, wytrenować właściwe zbiegi skojarzeń i obrazów, można pokazać i zaprawić w doświadczeniu wykrywania ślepych torów pracy kompozycyjnej.

Nie zabije to sztuki, ani nie zabije indywidualności. Przeciwnie, — wyzwala je z pod naporu trudów technicznych, a tem samem daje im szerszy lot i większe możności twórcze.

Wracam zawsze do tego samego porównania: Pisarz tworzący jest jak wódz w czasie wojny. Musi operować szybko i sprawnie wielkiemi jednostkami bojowemi; jednostki te muszą być zorganizowane nader celowo, wyekwipowane technicznie, połączone jaknajpraktyczniej sieciami dróg kolejowych. Wtedy plan wojenny tego wodza powieściowego, posiadając zwartość wewnętrzną, będzie mógł obfitować w niebywałe niespodzianki świetnych masowych uderzeń. Wtedy obrona, względnie łamanie uciążliwych pozycyj powieściowych przeprowadzone będą z niewstrzymaną konsekwencją celowo przygotowanej masy słowa.

A cóż powiemy o wodzu, który w ostatniej dopiero chwili nacisku nieprzyjaciela (nieprzyjaciel, to chaos elementu powieściowego, który trzeba sobie uświadomić i w sobie przezwyciężyć) wyszarpywać zacznie poszcze-

gólne jednostki bojowe, i rzucać je w pośpiechu na front bez ładu, bez połączeń, bez rezerw?

Wielka strategja tworzenia w słowie, — wymaga olbrzymiej techniki i świetnie wytrenowanych nerwów. „Głos Prawdy Literacki“ w szczupłym zakresie swych danych, — mimo ataków ze stron wielu, — prowadzić będzie dalej swą freblówkę literacką w szczerej nadziei, że freblówka ta przyda się dziś, przy stawianiu pierwszych kroków, — przyszłemu mistrzowi.

MAŁOŚĆ, KTÓRA NIE ZASŁUŻY NAWET NA POGARDĘ.

Mowa wygłoszona 9 listopada 1930 r. na posiedzeniu Rady miejskiej w Warszawie o przemianowanie placu Saskiego na plac Piłsudskiego.

Dajemy Polsce żałosne, groteskowe widowisko: Boć przecie wielka rzecz dokonała się między nami pośród tych lat dziesięciu i sama się rzecz owa nie stała, lecz dokonali jej ludzie. A oto tutaj z wątku obrad wynikałoby, iż nie wiemy, jacy to byli ludzie, którzy owej wielkiej rzeczy dokonali. Więc nie było ich wcale? Czy też tylko my nie znamy najlepszych pośród nas?

Rzecz została dokonana a my nie wiemy, kto jej dokonał? A więc nie znamy chyba ostatniej i tak żywej jeszcze historji naszej? Nie znając, — nie cenimy?

Czy też może świadomie o naszej własnej historji, o tem, co było w niej najważniejszego, pomyśleć nie chcemy?

Tak możnaby było sądzić z przemówień przedstawicieli dwóch klubów, przemówień, wygłoszonych tu przez przedstawiciela klubu Narodowej Demokracji, radnego Wilczyńskiego i przedstawiciela klubu socjalistów (odłam C. K. W.), Arciszewskiego.

Przewodniczący obu tych klubów wystąpili, z racji uczczenia dziesięciolecia niepodległości Polski, z wnio-

skami milczenia. Przemilczeć ludzi w tym dniu właśnie,— doradzają, — nie wiedzieć, kto zacz byli!! Niech dopiero historja osądzi, my się wstrzymujemy bogobojnie, — gdyż nie wiemy o istotnej wartości tych mężów.

Leaderzy innych klubów postawili tu z racji uczczenia niepodległości wnioski natury socjalnej. Sformułowali je atoli tak bombastycznie, iż z wnioskami temi ani walczyć nie trzeba, ani ich popierać nie można.

Sformułowali je bowiem ani dla rzeczy samej, ani nawet dla swych kolegów partyjnych, — lecz poprostu dla błahego poklasku ulicy.

Panowie ci żądają w rocznicę niepodległości, — szczęścia dla wszystkich obywateli. Wiedzą dobrze, iż gdyby nawet w ich ręku spoczywały rządy miasta, nie potrafiliby ani jednego z ogłoszonych tu przez siebie postulatów urzeczywistnić.

Uprawiają tedy demagogję — kosztem uroczystego święta niepodległości Ojczyzny.

A zatem, jeżeli pominiemy głos taniej demagogji, znajdziemy się tu dzisiaj, na tej Radzie miejskiej w obliczu niebywałego zaprawdę wydarzenia: Wobec groteski niebywałej, stwierdzającej, iż nie wiemy, rzekomo, dzięki komu i czemu przychodzi tu nam rozważać sposoby uczczenia wielkiej rocznicy odrodzenia naszej Ojczyzny.

Widowisko, zaiste bolesne!

Skoro panowie nie wiedzą — pozwolę sobie panom przypomnieć i wytłumaczyć, o co tu nam chodzi w dniu dzisiejszym. I wcale nie martwię się, iż ta nasza, zaiste tak groteskowa pogwarka radziecka, tyle tu wywołuje sprzeciwów, a tak mało jednomyślności. Dla mnie bo-

wiem, moment tej dyskusji jest dalszym ciągiem wielkiej i wspaniałej walki o Polskę wewnątrz Polski samej, — walki, która toczy się już oddawna, to jest od roku 1905.

Rzeczy pozornie trudne stają się łatwe, gdy padnie na nie jasność prawdy: Panowie zapomnieliście tu w Radzie Miejskiej o głównym autorze uroczystości, którą za kilkanaście godzin czcić będzie cała Polska. O fundatorze, bez którego ofiarnej pomocy, energji, wytrwania i bohaterskiej krwi — nie moglibyście siedzieć tutaj i radzić spokojnie.

Zapomnieliście o tym prostym i wielkim człowieku, który ma w sobie wieszczy instynkt czynu, podczas gdy wami, panowie, powoduje mętny instynkt pieniactwa i rady nieskładnej.

Zapomnieliście o waszym dobrodzieju, — o panu dobrodzieju żołnierzu polskim, dzięki któremu siedzicie tu spokojnie w tej sali i takie oto żałosne dajecie widowisko narodowi w tej chwili!

Panowie: Żołnierz polski, to nie prawica i lewica, to nie radny Wilczyński, czy radny Arciszewski i ci, lub tamci, lecz cały, wielki naród, skupiony w najwspanialszej woli czynu.

Żołnierz ten mówi do was złożonym tu przez radnego Kościałkowskiego listem, który podpisały wszystkie organizacje byłych waszych oswobodzicieli, organizacje piłsudczyków, hallerczyków i dowborczyków, — iż na wieczną rzeczy pamiątkę organizacje te życzą sobie, by plac Saski nazwany został z racji uczczenia dziesięciolecia Ojczyzny imieniem Wodza.

I oto w tej radzie mężów, rzekomo dojrzałych, pa-

trzymy na dziwaczne widowisko: Podczas gdy żołnierz wie, o co mu chodzi, podczas gdy rozumie doniosłość chwili, — nie rozumie jej Rada Miejska.

Cząc dziesięciolecie, wiedzieć chyba powinniśmy, iż z pośród tych lat dziesięciu nie będziemy wybierali zdarzeń drugo, czy trzeciorzędnych, lecz przeciwnie — największe, to jest te, które przybrały w życiu istotny kształt spełnienia. Nie to chyba będzie dla nas ważne, iż ten i ów z kolegów radnych przejechał się dorożką po mieście i nawet nie to, żeśmy szkołę wybudowali i nawet nie to, że biedni mieszkańcy stolicy mogą lub trzeba już, by mogli jeść lepiej dziś, niż dziesięć lat temu.

W tak uroczystej chwili wyszukać musimy moment najważniejszy, któryby streszczał wysiłki nas wszystkich, wysiłki najszlachetniejsze, będące glorją naszą wobec naszego przemijania. Musimy znaleźć moment, który jest szczytem naszego życiowego rozmachu. Szukać powinniśmy w tem dziesięcioleciu tego, co udało się nam z chwałą w tej Ojczyźnie rozpocząć — przeprowadzić — i zakończyć.

Panowie, usuwając z tego okresu zasługę żywych, twierdzicie tem samem, iż nie wiecie, że taka rzecz doniosła zdarzyła się i zdobyta została w Polsce, rzecz wielka — przeprowadzona, — i zakończona wspaniale.

Panowie bowiem zapominacie o dobrodzieju swym — o panu dobrodzieju żołnierzu polskim.

Radny Arciszewski mówił tu o tem, jak w r. 1905 lud roboczy walczył pod wodzą Piłsudskiego. Idźmyż śladami tych walk dalej. Żołnierz polski — to młodzież ze Związku Walki Czynnej i jeszcze dalej, — Żołnierze Strzelca.

Żołnierz polski, to wasi oswobodziciele w 1914 roku, maszerujący na Kielce.

To straszne, w gorzkim zamęcie wszelakich orjentacyj toczone walki Legjonów.

Panowie nie umiecie znaleźć oblicza dla tej rocznicy? Ale wszyscy wyciągaliście łapczywie ręce i jako swoje braliście cierpienie człowieka, jako swoje obnosiliście przed całym światem — gdy ów człowiek, wódz Legjonów, znalazł się w fortecy magdeburskiej.

Gdy Europę zelektryzowały depesze, iż Józef Piłsudski uwięziony jest w Magdeburgu, gdy świat cały krzyknął, iż wraz z Piłsudskim Polska cała zamknięta jest w tej fortecy, — wtedy wszyscy żyliście dumą i łaską tego zamknięcia i cierpienia.

Żołnierz polski, panowie — idźmyż jego śladami — to rok 1918!

Jeżeli w owym roku nie załamał się w Polsce cały porządek rzeczy, — macie to do zawdzięczenia tylko ochotniczym formacjom żołnierza polskiego, formacjom, które stworzył Józef Piłsudski.

Był to przecie czas w Ojczyźnie naszej radosny, a zarazem tragiczny: Dawni żołnierze armji zaborczych, Polacy, wyrywali się i śpieszyli ze swych dawnych oddziałów do domu. Ofcerowie tych armij tworzyli drużyny rycerskie z pośród samych siebie. Jedynym człowiekiem, który rozporządzał wówczas siłą szeregowca był Piłsudski, przy jego bowiem oficerach pozostali i wiernie przetrwali żołnierze.

Nie będę tu szedł dalej śladami historji żołnierzy polskich. Żołnierz, to jedyny w Polsce sprawca rzeczy

wielkiej, o doniosłości światowej, — sprawca dokonanego w tych latach dziesięciu olbrzymiego zwycięstwa i utrwalenia granic.

Żołnierz daje Ojczyźnie życie i krew. Odpowiedzialność za zwycięstwo, lub straszliwą tragedję klęski ponosi Wódz. Dźwiga on najcięższą odpowiedzialność, jaką człowiek dźwigać może. Albowiem, proszę panów, — jeżeli żołnierz ginie — śmiercią fizyczną opromienia sławę pamięci swej. Jeżeli jednak przegrywa wódz — na życie swoje ściąga wieczysty cień klęski. Dlatego to, panowie, ze względu na nadludzki ciężar odpowiedzialności, a nietylko ze względów hierarchji, wódz jest wcieleniem całego wojska i wszystkich żołnierzy.

Nie rozumiejąc tego, nie umiejąc tej sprawy uczcić, odmawiając nazwy Wodza miejscu, na którem pracował wojennie, z którego wiódł ku zwycięstwu, — dalibyście panowie dowód małości myśli, małości, która nie zasłuży nawet na pogardę w pamięci potomnych, — nie zasłuży nawet na lekceważące wzruszenie ramion naszych synów!

NA DALEKOŚĆ WYCIĄGNIĘTEJ RĘKI.

Czyjaś troska daleka i inna znana bliska i wszystkie inne i cała bieda świata całego chodzi za nami wszędzie. I więcej tego jest, niż wszystkiego innego, więcej bowiem chyba dojrzewa na tym świecie smutku, niż radości.

Każdy z nas przechyla się ochotnie sercem całem na stronę radości, lecz jeżeli nawet do pół czy też całą postacią wychyli się ku owej stronie — jeszcze przecie bieda całego świata pilnie za nim podąża. Tak się to dzieje stale i tak nieprzerwanie, że gdy w szczęściu stoimy, w wieńcach wesela, w dźwięku jakiegoś dorodnego spełnienia spraw naszych, — jakbyśmy stali na wyspie, na malutkiej wysepce, na nikłej kępie — pośród grzęzawiska niedoli.

Każdy z nas pewien być może zawsze, iż jest zwycięzcą i posiadaczem ogromnym, za każdym bowiem z nas wyciągają się zawsze czyjeś ręce i proszą.

Któż choć raz nie pomyślał nad rozstrzygnięciem tej sprawy?!

Wszyscy wiemy, że świat nie może być szczęśliwy. Nie myślmy jednak w tej rozprawie za świat, którym nie jesteśmy. Za siebie myślmy.

Jak sprawić, by nie chodzić tu w miękich puchach przywileju?

Jeżeli nie myślałeś o tem, nie byłeś nigdy człowiekiem. Jeżeli myślałeś, wniosków nie wysnuwając, — byłeś tchórzem.

Mieliśmy wszyscy kiedyś zaprzątnięte tem serca i sądzę, że dwie drogi widzieliśmy prowadzące w przyszłość:

Pierwsza droga: Dziel się z każdą napotkaną biedą, kogo spotkałeś w nędzy i niedostatku, bierz w miłosierne objęcia.

A oto druga droga: Rozumu, — jakiejś porządnej w tem zawikłaniu metody.

Mój kuzynie z za węgła, z pod wnęki kościoła, szeleszczący kłębuszku łachmanów, pełznący pod ścianami ulicy, — budujemy ci przyszłość w zdrowych normach, w świeżo wystosowanych ramach? Wobec nędzy twojej mamy uśmiech najśmielszych naszych przewidywań, zdobyty pracą, zdobyty doświadczeniem, zdobyty najrozumniejszą miłością.

Tak nas uczy dziś wszystko, wszystkie nasze wynalazki i doświadczenia. Chyba tylko w ten sposób, przezwyciężając los poszczególnego człowieka i poszczególnej miłości — kochać można prawdziwie Ojczyznę, człowieka i świat. Ważyć się na rzeczy wielkie, podejmować walkę o ideały a nawet nóż brać w rękę.

Nieubłagana miłości!

Każdy z nas żyje w takich oto rozumach tak właśnie twardo ustanowionej, — że powiemy, — miłości nieubłaganej.

Aż kiedyś (rzecz tajemna) rozkrusza się coś w kruszcu, z którego miłość owa nieubłagana jest odlana. Coś się nagle przekręca w światłej maszynerji i tam, gdzie mądry

cel nakręcać miał znakomite sprężyny, — powstaje lękliwa niepewność.

Niepewność, — i krzyk i bieganina i wołanie o pomoc — i może nawet ciężkie, nieporadne łzy.

* * *

Chciałem był kiedyś poznać dokładniej warunki, w których żyją bezrobotni pewnej mieściny górniczej. Uprzejmy burmistrz wypożyczył mi na ten cel pojazdu magistrackiego, to jest wózka, zaprzężonego w jednego konia, który, poświęciwszy całe swe życie wożeniu piwa, kończył teraz swą karjerę w magistracie, jako cugant.

Aby sprawę moją upozorować jako tako przed ludźmi, zabrał się ze mną ławnik miejski, były robotnik, były majster, człowieczysko dobre, lecz twarde niezmiernie, które wszystkich losów robotniczej niedoli na własnej skórze doświadczyło.

Jedziemy tedy uliczkami onego miasta robotniczego, wśród domów oberwanych, ogłodzonych, trzęsiemy się przez doły, wyrwy, kamienie i odmęty błota, dziwną zaiste drogą nędzy i zaniedbania, — podczas gdy trzysta metrów pod ziemią ludzie na kopalniach, ci sami ludzie, którzy w takich norach mieszkają, — z podziemi owych, skarby dobywają i na cały świat kruszą.

Włócząc się tu oddawna, nabrałem pewnej wprawy. Wiem, jak wypadnie „zwiedzanie“. Wejdziemy, o jedno, drugie przepytamy, dzieciom zostawię po kilka „atłasowych“ cukierków, najstarszego pogłaskamy po płowej

czuprynce, ławnik powie coś kojącego z możnym, władczym przydechem — i dalej pojedziemy.

Cóż się tu zatrzymywać, roztkliwiać? Wiadomo, że pracuje wśród nas ów rozdział dóbr, sami ustanawiamy krążenie bogactw tak a nie inaczej, cóż więc ocierać łzy, jeżeli takim a nie innym porządkiem sami je wyciskamy?!

Jesteśmy teraz w domku, który stoi na dziurach a trzyma się łatami zbutwiałego drzewa. Przemiękły sufit wygiął się, jak kotara, podłoga rozłazi się pod nogami. Jak najpiękniejsza ozdoba błyszczy na pustej ścianie sześć czystych talerzy, pod oknem wyczynia staruszka przedziwną potrawę z ziemniaków i cuchnących skrawków bydlęcego tłuszczu.

Trzeba widzieć, jak nożykiem zagania ów tłuszcz, jak każdą drobinę chroni i oszczędza. Ludzie ci pogubili papiery, prawo o bezrobotnych rozminęło się z nimi, jest tu pięcioro wnucząt, — stara łzy leje między ochłapki łoju.

Atłasowe moje cukierki, palec pana ławnika dostojnie wgórę wzniesiony i już jesteśmy gdzieindziej, na drugiej stronie miasta.

W malutkiej komórce przy drzwiach wyjedzonych przez szczury żona czeka na męża, by przyszedł, przyniósł pieniądze, od wczoraj już nie jedli. Chłopiec poszedł do szkoły w matczynych trzewikach, dwie dziewczynki skryły się pod łóżkiem, jedynem łóżkiem całej tej rodziny, która za parę dni powiększyć się ma znowu.

Pojechaliśmy dalej za cegielnię, ku szarym domkom, niknącym już we mgle.

— Tu mamy rodzinę, — rzecze godnie pan ławnik, — znaczoną aż trzema gwiazdkami.

Trzy gwiazdki znaczą w notesie pana ławnika miejsce wyjątkowe: Znaczą nicość pustej izby, zamkniętej dziurami mokrych ścian. Przez ściany owe pośpiesza chłód nieustający. W izbie jakoby się sąd wszelki zmylił i sam nad sobą żalił — że niewiadomo zaiste, co powiedzieć o głosie, o zamęcie, o tumulcie, który tu trwa.

Po kątach i na podłodze małe dzieci, nieruchome źródełka nieustannego krzyku.

W środku izby miota się kobieta, której twarzy niepodobna rozeznać. Kobieta owa czepia się boków własnych, pięściami bije w czoło, czepia się jakichś rzeczy, które nigdy rzeczami nie były, które pamiętać nawet nie mogą zaszczytnej wyniosłości sprzętu.

Pan ławnik pyta godnie, — jakże się nazywacie?

A ona rzuca mu imię i nazwisko męża, szalonym ruchem rąk na głowę, jak przekleństwo.

Dziewięcioro dzieci, — mąż, jako bezrobotny kamienie miał ubijać na drodze i ubijał, ale jest wydalony od wczoraj, po całem mieście lata, nie śmie do domu wracać!

Dzieci z pomiędzy szmatek wymachują rączkami, trzy dziewczynki, skupione przy oknie płaczą i jeszcze płaczą, ona zaś, żona bezrobotnego Cepnika Jana, Cepnikowa, — podchodzi do nas, z palcami wpitemi w policzki.

Cóż my? No więc, — pieniądze (ile też ma ich tu być takich pieniędzy), dziewczynki chwytają papierek, matka krzyczy — biegnijcie po chleb!

Ogromne słowo, pełne ciepła i spokoju!

Wracamy z panem ławnikiem tą samą drogą, wzdłuż cegielni, nieużytków i hałd, już zmierzcha, dziewczątka we dwie niosą bochen ogromny, mączną stroną ku górze, zminęliśmy się już, jeszcze je widać, jeszcze świeci nad usypiskiem krąg biały, — upragnionego pożywienia przecudne oblicze.

Już w mieście jesteśmy, miotam się tu na wszystkie strony, szukam pana burmistrza, znajduję w zakopconem podwórku przy lokomobili, którą miasto chce kupić.

Odciągam pana burmistrza od syczącej maszyny i wołam przez gwizd pary, łapiąc burmistrza za obie klapy płaszcza, wołam, jakbym miał całe miasto przekonać, cały kraj, całą Polskę, sam obrót i przemianę wartości, która pieniędzmi rządzi:

— Jan Cepnik musi wrócić do roboty! Musi wrócić od jutra!!

Nazajutrz, gdym szedł z kopalni, Jan Cepnik na zakręcie ulicy ubijał kamienie (nie przeklinajcie nikogo,— żebyś kamienie tłukł, bo ludzkie szczęście obrażacie).

Pot zalewał mu duże szare oczy, złote włosy lgnęły pasami do wysokiego czoła. Obok na chodniku, pośród gromady zazdroszczących ludzi stała z garnuszkiem zupy pani Cepnikowa.

I znów mają swój chleb.

Któżby o takich sprawach nie wiedział?

Któżby o tem nie myślał?

Gdy w szczęściu trwamy, jakbyśmy stali na wyspie, na wysepce, na nikłej kępie pośród grzęzawiska niedoli.

Z wysepki szczęścia naszego jakież wyjście na świat?

Mamy dwie drogi przed sobą; dwie, albo też tysiące, lecz jedna jest najlepsza, w sercu naszem moszczona miłością, droga owej pamięci żarliwej, iż — na dalekość wyciągniętej ręki przechodzi zawsze obok naszego domu, naszych dzieci i naszych myśli, — Cepnik Jan, zrozpaczony, że mu nie dali ubijać kamieni na gościńcu.

MOWA POWITALNA.

(Wygłoszona w imieniu Związku Zawodowego Literatów Polskich i Polskiego Klubu Literackiego na otwarciu Zjazdu Unji Intelektualnej w Krakowie dnia 23 października 1930 r.).

Zadaniem Waszem, Wielce Szanowni Panowie, — o ile dobrze wnikam w istotny sens niniejszego zjazdu, — jest tak pogłębić a zarazem na tak szczytne wyżyny podnieść prawdę o duszy człowieka, tak czule zróżniczkować a zarazem tak jednolitym płomieniem ukochania ogarnąć marzenie o przyszłości człowieczeństwa, iżbyśmy w zgiełku wszelakich spraw współczesnych bodaj na chwilę ujrzeć mogli ów lepszy świat, do którego od wieków dąży ludzkość pracą najświetniejszych serc, umysłów i ofiar.

Nie dziwcie się, Wielce Szanowni Panowie, iż mówiąc o tym lepszym świecie imieniem literatury polskiej tutaj na tym zjeździe w tem właśnie mieście, odwiecznym Krakowie, zniżam głos i słów koniecznych nie znajduję: Nie znajduję owych słów upragnionych, jak ich nikt nie odnajdzie, gdy się licem w lico spotka ze spełnieniem najświętszych swoich marzeń.

Tu zaś, Wielce Szanowni Panowie, do Krakowa na ten zjazd przybywszy, w tem właśnie mieście obcujecie zaprawdę z wcieleniem takich marzeń niedościgłych. Przez tę aulę wielokrotnie przechodził, wśród ulic, któ-

remi szliście tutaj krążył, w cieniu świątyń, które mijacie tutaj, — dumał człowiek, poeta najwznioślejszy, szczęście, sława narodu, ozdoba mowy, radość myśli!

Poeta — w którym, jak może w żadnym innym z poetów dzisiejszej Europy, oraz z poetów świata, — odbył się ów jedyny, straszliwy, a zarazem błogosławiony porachunek nieśmiertelności losów.

Poeta, w którym odbyło się tak głębokie, a zarazem szczytne wyrównanie, iż utonęły w nim do cna wszystkie wzajemne krzywdy dziejów, spraw i narodów — a pozostała tylko bezbrzeżna piękność, czarem urody słowa rozesłana od murów dawnej Troi — przez wszystkie sprawy losów świata, aż po te mury krakowskie.

Któryż to jest poeta tego miasta, rosnący swem słowem wysoko, aż ku tragicznym blaskom nieśmiertelności? Któryż to jest — któryby Was powitać tutaj miał najpierwszy i tak mógł do Was wyciągnąć ręce, jak się dłonie do braci wyciąga?

Wielki sędzia, a zarazem najmiłosierniejszy szafarz przebaczenia, w jednym głosie słowiańska lutnia i grecka harfa i chorał średniowieczny, w jednej myśli tęczowa klamra przecudnej róży czasów, on — Stanisław Wyspiański!

On żyjąc tu i tworząc w tem mieście, przeliczył najistotniejsze prawdy Europy. On tu w dramatach i tragedjach nieśmiertelnych zebrał symbole wszystkich pamiętanych epok, epoki te ozdobił przetworzoną przez siebie pięknością dawnych najdostojniejszych stylów i ruszył tym pochodem swej wizji wiekopomnej stąd, z pod wawelskich murów, w one kraje wieczyste, ostatnie,

na rubieży ostatecznej rozłożone, gdzie nienawiść upada w ramiona miłości, gdzie zemsta godzi się z błogosławieństwem, gdzie pamięć śni ostatni sen, — wieczystej niepamięci.

Imieniem literatury polskiej witając Was w tem mieście, Czcigodni Panowie, dumny i szczęśliwy jestem, iż wobec obrad Waszych mogę odwołać się do wzniosłych cieniów Wyspiańskiego.

Niechże tu gospodarzy razem z Wami w proroczym duchu ten wieszcz niedościgły, który lepiej, niż zdołalibyśmy to uczynić, świadczy o wyżynie i wzniosłości natchnień Polski w sferze myśli nieśmiertelnej.

STRZASKANY MIECZ — A SŁOWO.

[W stuletnią rocznicę Powstania Listopadowego.]

Nam, uczestnikom światowej wojny, uczestnikom ostatniego zwycięskiego powstania polskiego, którzy wychodzili na wojnę światową ze staremi werndlami, a za prawo do tych nieszczęsnych werndli płacić musieli upokorzeniem, — gdy czytamy historję powstania listopadowego, braknie zaiste tchu w piersiach z żalu i rozpaczy.

I gdy się teraz w te dnie listopadowe błądzi po dawnych miejscach tamtego poczynania, gdy się idzie wśród owych murów, wśród których pradziadowie nasi, sto lat temu biegli z bronią w ręku, — chciałoby się wołać za cieniami poległych i jeszcze raz ich wzywać, by wytłumaczyli, jak się stać mogło, że rozbici zostali?!

Mieli przecież w swem ręku wszystko: Mieli prześwietne wojsko, broń doskonałą, obfitość zapasów żywności. Mieli tradycję doświadczenia bojowego genjalną, jako że chadzali śladami prawdziwego boga wojny, Napoleona. Mieli żywy zapał w sercu Narodu i świetną konjunkturę dla siebie, jako że wróg ich był zajęty wówczas na kilku frontach.

Czegoż im brakło do zwycięstwa, jakże się mogło stać, by pobici zostali?

Mieli wszystko po swej stronie: i generałów, i ofice-

rów, i żołnierzy, i żywność, i pieniądze, — jednego im wszakże w tej przełomowej chwili brakło: Brakło im wielkiego człowieka. Wielkim zaś człowiekiem w takiej chwili będzie ten, który wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu najtrudniejszych okoliczności, postawi sobie cel najdalszy, najtrudniejszy i całkowity. Wielkim człowiekiem w takich chwilach będzie ten, który w ziszczenie takiego najtrudniejszego celu uwierzy. I wiarę tę narzuci innym.

Takiego człowieka zabrakło im i całą swoją sprawę, całą sprawę Ojczyzny przegrali. Można ich widzieć i dokładnie oglądać na stronicach historji owego boju tragicznego: Jak tu osiągają powodzenie, jak tam znów są już prawie na brzegu zwycięstwa, jak ówdzie, prawie powaleni, podnoszą się i znów czoło stawiają przemocy. Lecz we wszystkich tych chwilach, nawet najważniejszych, działają, — jakby przez sen działali.

Idą stąd i dotąd i znów dalej i wprzód i wtył, lecz niema w ich dążeniu wielkiej łącznej myśli, którą kapłani nazywają łaską bożą, a którą historycy zwą instynktem narodu.

Jakże straszliwe błądzenie we krwi, we łzach; w próżnym szczęku oręża, w radzie całkiem bezradnej, splątanej, ciemnej. Jakaż straszna okropność, skoro mężów narodu rozdziela marna kłótnia, a wojska pędzi z miejsca na miejsce nie rozkaz, lecz intryga, a wślad intrygi szukają potem swoich wojsk nieszczęśliwi wodzowie, a za wodzami po błocie i wśród krwi nadbiega cień Ojczyzny i szuka swego losu wśród dymów ostatecznej klęski!

My uczestnicy wielkiej wojny, ludzie z pod Krzywo-

15*

płotów, Lasków, Łowczówka, z pod Konar i Rarańczy, z pod Lwowa, Wilna, Dźwińska, Żytomierza, Kijowa, ludzie z pod Borodianki, z pod Dęblina, aż po ostatnie bitwy zwycięskiej wojny polskiej, — nie śmielibyśmy sądzić tych pradziadów tragicznych. My, którym dane było wierzyć w zwycięską moc człowieka woli, my, którym dane było patrzeć, jak jeden wielki Człowiek wbrew wszystkiemu i w najcięższych warunkach od pierwszej piątki, czy siódemki tajnego sprzysiężenia przez wiele lat bolesnych aż po chwałę nadniemeńskiej bitwy tworzył nadludzką pracą zwycięstwo Ojczyzny, — my wiemy, iż jest to sprawa dziejów, a nie ludzi, że w tamtym ciężkim czasie takiego męża im nie stało.

Dla nas ów mundur z 1831 r., tak pyszny i bogaty, schlapany krwią najsroższej klęski, jest dziś jakgdyby znakiem, hasłem, przyczyną najtkliwszego współczucia.

Współczucia i wdzięczności: Bo widać trzeba było tych klęsk okropnych, aby się przepaliła w narodzie do reszty słabość i wszelka okoliczność ugody. Aby im, tym pradziadom, przypadł w udziale straszny okres udręki, a ku nam, by zwycięstwo pochyliło swe jaśniejące skronie.

Zwycięstwo, — klęska! Pokonani, — zwycięzcy, jakżeby dzisiaj się spotkali po długich i tak ciężkich stu latach, gdyby tylko oglądać się mieli na szalach rzetelnej historji i gdyby tylko widzieć mieli tak tragiczną różnicę w położeniu owych szal?

A przecież spotykamy się radośnie i czułość niewysłowiona ponosi nas ku sobie, którą przecież słyszymy ustawicznie przez całe stulecie szumiącą nad wypadkami temi, dziejami i losami.

Owej czułości należy złożyć hołd ogromny i najwyższy.

Czułość, którą nad krwią, rozpaczą, klęską i całą hańbą owej klęski rozpostarło cudne słowo poezji, przez poetów wołane. To właśnie oni, polscy poeci, od Mickiewicza aż po gromowładnego zaiste Wyspiańskiego, schylili się miłośnie nad tą klęską.

To oni klęskę straszną zdołali oprząść tęczową tajemnicą pociechy. To oni wśród potwornych zgliszczy szumieć poczęli skrzydłem wieszczej mowy. To oni jęli z najgorszego upadku tworzyć naukę wiary, odkupienia, to oni wzięli w siebie ogień tej utraty i przekazali ostatnie płomienie następnym pokoleniom, — już w kształcie blasków przyszłej zorzy.

Wielcy poeci, — słowo najdroższe, udręczone, nieśmiertelne, słowo sądu, który zawsze przebacza, słowo najprzenikliwsze, które zawsze zbawia swą miłością.

KULTURA W MIEŚCIE.*

I.

(Kapitulacja pięknoduchów?!)

Gdy słyszymy podczas dyskusji nad naszym budżetem miejskim o potrzebach, związanych z nauczaniem najmłodszego pokolenia, gdy dowiadujemy się, iż za dwa lata około czterdziestu tysięcy dzieci znaleźć się może poza szkołą, gdy mówi się tu na tej sali, że, aby zapobiec potrzebom należałoby budować dwadzieścia pięć budynków szkolnych rocznie, gdy wahamy się tutaj, czy dać dzieciom, kształcącym się w naszych szkołach szklankę mleka i bułkę na drugie śniadanie, czy też nie dawać im owego mleka i bułek, sam bowiem koszt szklanki mleka dla 72.000 dzieci może wynosić 20.000 złotych dziennie, — doświadczamy chyba wrażenia: iż należałoby sobie wszystkiego odmówić, o wszystkiem innem zapomnieć, byleby tylko nastarczyć pierwszym tak ważnym, rzekłbym, świętym potrzebom pokolenia najmłodszych.

Ogrom tych potrzeb onieśmiela nas tak wielce, iż gdy wypada przemawiać z tej trybuny radzieckiej w imię

* Fragmenty przemówienia, wygłoszonego na Radzie miejskiej w Warszawie podczas dyskusji nad budżetem kultury i sztuki, 1931 r.

spraw, jeżeli już nie wyższych, to w każdym razie subtelniejszych i delikatniejszych od powszechnego nauczania, — nie wiemy poprostu, czy głos nasz może być wogóle wysłuchany.

Ów lęk dość specyficzny, jakże zrozumiały a zarazem jakże bolesny nazwałbym onieśmieleniem kultury wobec najprostszych potrzeb cywilizacyjnych.

Onieśmielenie to ma już dziś głęboką wykładnię w codziennej praktyce życia, ma już dziś wytłumaczenie w każdem praktycznem zetknięciu się rzecznika owej kultury, a więc w danym razie artysty, z przedstawicielem władnej codzienności, w danym więc razie z miarodajnym czynnikiem samorządowym, czy nawet rządowym.

Stało się to już dziś stylem owych działaczów, że gdy się przybywa do nich ze sprawą kultury, czy sztuki, — uzasadniają swą bierność w tej dziedzinie temi wszystkiemi pracami, które dziś podejmować należy dla opanowania braków w zakresie elementarnej potrzeby.

Siedmdziesiąt tysięcy szklanek mleka, tyleż bułeczek, siedemdziesiąt pono tysięcy izb szkolnych, których budowę podjąć należy na obszarze Rzeczypospolitej, tyle a tyle tysięcy dzieci w wieku szkolnym, które mogą za rok, czy dwa nie znaleźć miejsca w szkole polskiej, — cóż wobec tak olbrzymiego zagadnienia znaczyć mogą jakieś tam delikatne, subtelne sprawy kilku, czy kilkunastu, czy kilkuset pięknoduchów?!

A jednak, — sądzę — że ów ogrom potrzeb nie może zmusić pięknoduchów do kapitulacji. Sądzę też, że na tem właśnie zasadza się istota rzeczywistego rozwoju

społeczeństwa, iż społeczeństwo to zdoła w najtrudniejszych warunkach oraz w obliczu najcięższych braków, znaleźć miarę tak harmonijnego podziału swych środków, by posuwano naprzód sprawy elementarne, by jednak nie zapomniano nigdy przytem o sprawach wyższego rzędu, — sprawach kultury i ducha.

Nic zatem dziwnego, że gdy mówi się tu tak szeroko i z taką troską o kwestji powszechnego nauczania, że gdy roztrząsa się tu elementarne zasady czytania, pisania i rachowania, będące przecież jedynie pierwszem wyposażeniem człowieka na dalszą szerszą drogę, — postawić sobie trzeba pytanie, dokąd owemi pierwszemi zasadami wyposażony obywatel dalej ma podążać?

To znaczy, co chcemy, iżby wzniósł na tych pierwszych podwalinach? Jakiem ma je światłem nasycić, jaką duszą ożywić?

O ile poprzestaniemy w naszych troskach na tej właśnie prymitywnej i elementarnej podwalinie, okaże się, iż na dalszy rozwój naszego ucznia nie wywrzemy znaczniejszych wpływów. Zastąpi nas w tem życie, życie najpospolitsze, hałaśliwe, uliczne, zmechanizowane, przybierające coraz więcej cech kosmopolitycznej płytkości i maniery.

Falę tego życia najpłytszą i najpospolitszą obserwować można przecież codziennie, jak zamula i zachwaszcza wyobraźnię t. zw. przeciętnego człowieka.

Proszę sobie tylko przypomnieć, tę, rzekłbym, nieodmienną już w swym gatunku psychicznym strugę obrazów, która płynie dziś tak powszechnie przed wzrokiem przeciętnego człowieka i która najwydatniej formuje

pojęcie tego człowieka o najistotniejszych, czy najpoważniejszych zagadnieniach świata.

Struga owa, fala, czy też pasmo nieustanne, rzekomo tak różnolite, w istocie swej tak zawsze płytkie i monotonne — to kronika filmowa, nakręcana co wieczór przed oczyma tysiącznych tłumów.

Pośród wydarzeń kroniki, przynoszącej standartyzowany już typ dziejów i losów dzisiejszego świata, uderza widzów co wieczór pewien obraz najruchliwszy, najgłośniejszy na białym ekranie, doznający też najżarliwszego przyjęcia.

Jak dobrze znamy ów obraz i zaprawdę, czyż nie stanowi on formuły współczesnego entuzjazmu? Oto boisko otoczone trybunami, na których niezliczone rzesze oczekują widowiska. Oto rozpoczyna się już owe widowisko, — na stadjon wpada kilkunastu wyrostków w sportowym stroju. Przez godzinę i kilka kwadransów gonić oni będą za skórzaną piłą, czy też rzucać będą dzirytami, czy kulą, czy też, niby tresowane konie, gnać będą dookoła, — podczas gdy tłum oczekuje w namiętnem rozgorączkowaniu cyfrowego wyniku tych prac, wyczynów, czy wyścigów szalonych.

A oto już — zwycięstwo! Zwycięzcę niosą z głębi ekranu ku widowni. Trudno rozpoznać twarz tego człowieka, widać jednak dokładnie nogi, owe zwycięskie nogi, któremi wymachuje, obute w ciężkie sportowe buciska, podobne chyba do kopyt konia czy centaura.

O dziwo! Przy zwycięzcy spotkamy za chwilę tych wszystkich najważniejszych, którzy, gdy była mowa o sprawach kultury i sztuki, wymawiali się gmachami

szkolnemi, tysiącami szklanek mleka, bułeczek i ogromem potrzeb elementarnych z zakresu początkowego nauczania.

Są tu wszyscy najważniejsi przedstawiciele miarodajnych czynników samorządowych i rządowych. Mało brakuje, by z głębokim szacunkiem i zachwytem dotykali bicepsów wzniosłego triumfatora. Bądź co bądź każdy z tych dygnitarzy pokolei, wedle swej rangi i godności, z dumą i radosną ufnością ściska dłoń zwycięskiego sportsmena.

Wydaje mi się, iż doprawdy tak a nie inaczej wygląda dziś przeciętny poziom naszych trosk i zabiegów około przyszłego pokolenia: Nauczyć je pisać, czytać i rachować; z drugiej strony — wyćwiczyć mięśnie i pokazać do wyżyny triumfu wyniesiony ideał owego wyćwiczenia, w postaci człowieka, który pobił swych wrogów na minuty, sekundy, a nawet ułamki sekund.

A jednak przecież sztuka czytania, pisania i rachowania nie jest celem samym w sobie, lecz tylko jednym z etapów na dalszej, dłuższej drodze?

Sprężystość zaś i żywotność mięśni, tylko wtedy posiadać będzie godność ludzką nie zaś klasę zwierzęcej sprawności, gdy owe mięśnie uważać będziemy jako przygotowanie na znacznie dalszą drogę, — bohaterstwa.

Zdaje się, iż odtąd tak się tu w tych sprawach kierujemy naogół, jakby wszystkie nasze doraźne a nawet dziejowe triumfy i przewagi, wyłącznie tylko z przewag fizycznych i z ograniczonej powszechności nauczania wynikały. Nikt chyba, — kto przytomny, — nie odmówi tym sprawom kardynalnej ważności.

Kto przytomny jednak, ten również pamiętać musi, iż w chwilach doświadczenia, oraz losu najcięższego, w wieku najstraszliwszych dopustów, — nie fizycznej sile wyłącznie i nawet nie powszechnej znajomości czytania, pisania oraz rachowania przetrwanie nasze zawdzięczamy, — lecz właśnie owej najosobliwszej w narodzie polskim sile ducha, to jest miłości polskiego obyczaju i kultury.

Powiadam, iż jest najosobliwszą w narodzie naszym owa potęga ducha! Albowiem jeśli polegać na danych materjalnego porządku, to, — wedle natchnionego geografa Wacława Nałkowskiego, — już sam geologiczny układ naszej gleby sprawiać musi, iż duchowo jakbyśmy się znajdowali na wiecznem rozstaju pomiędzy wschodem a zachodem. Widzimy jednak, iż mimo, że na materjalnem rozdrożu jesteśmy, mimo, że nasza ziemia, — jak chce wielu w rozumowaniach materjalnego porządku, — miałaby być li tylko jakąś bramą przechodnią, — to przecież bramą taką nie jest! Ziemia ta czerpie swe podobieństwo i wyraz nieśmiertelny z wybuchowego entuzjazmu swych genjuszów i stoi pewnie pięknem obyczaju utrwalonego przez swych wieszczych ludzi i ponad wszystko w tym właśnie genjuszu czerpała moc przetrwania.

Sto lat najcięższych przeżyliśmy, biorąc z tego majątku nigdy nieprzebranego, i nie rachunek i nie żadna inna kalkulacja, czy też potęga fizyczna spoczywała u podstawy naszego przetrwania... Lecz na dnie wszelakich poczynań, które nam wytrwać dały, na dnie serca każdego z mężów polskich, którzy się w tym straszliwym

okresie niewoli do zwycięstwa dobrej sprawy przyczynili, znajdzie się zawsze nie kalkulacja wpływów, okoliczności, konjunktur i podstępów, lecz utajone w najświętszej ciszy — słowo polskiego poety!

II.

[Wielcy ludzie, — burmistrze — a Moniuszko.]

Czy wolno nam jednak na Radzie miejskiej rozważać sprawy kultury aż pod tak wysokim kątem widzenia — poetyckim? Wiadomo przecież, że radząc nad ubogim budżetem miasta w ciężkich czasach, musimy raczej pilnie liczyć grosze, i dobrze mierzyć długość szyn tramwajowych i dbać zapobiegliwie o nasze piece piekarniane i o dach nad głową bezdomnych, słowem, że musimy tu dbać o sprawy materjalne, o interesy, nie zaś właśnie w tej chwili o abstrakcyjne ideały!

Jeżeli na tej sali w ciężkich czasach dzisiejszych ważniejszą miałaby być wymowa interesów od abstrakcyjnej rzekomo wymowy ideałów, — gotów byłbym udowodnić, że nawet z punktu widzenia najpraktyczniejszych interesów, ba, — finansowych korzyści, niemasz dla miasta lepszego interesu, jak właśnie wzniosły ideał i praca w jego służbie.

Pozwolę sobie przypomnieć tu o świetnym interesie jaki robiły, robią i długo jeszcze robić będą niektóre miasta właśnie na tem, że w murach ich płonął wielki ogień entuzjazmu oddany służbie najwyższego piękna: Taki Weimar nieraz z pewnością łatał swe budżety wielkiemi sumami, jakie zbiera dzięki napływowi ludzi

ze wszystkich krańców świata; ludzi, którzy, zaprawdę, przybywają tam nie dla osobliwości miasta, — lecz aby zobaczyć na własne oczy tę, rzekomo, najmniej osobliwą osobliwość, a mianowicie owe dwa pokoje sutereny, w których za cały wiek człowieczeństwa myślał i tworzył poeta tego miasta, — Göthe.

Czy ktokolwiek z nas pamięta, kto tam w Weimarze był burmistrzem, czy prezydentem miasta za życia Göthego? A kto był prezesem Rady miejskiej? A ilu szanownych ławników zasiadało w magistracie? Przedziwna trwałość zasługi i nazwiska poety, w zestawieniu ze znikomością ludzi, którzy w tem samem mieście rządy sprawowali jest przecież w danym razie wielce pouczającą!...

Któż z nas wie cokolwiek o burmistrzach miasteczka Bonn? A jednak burmistrze ci z pewnością mogli byli znacznie poprawić stan miasta, od chwili, gdy zjeżdżają tam z całego świata ludzie, by zobaczyć, gdzie się urodził kłótliwy, impetyczny i pochmurny młodzieniec, którego zaciągnięto w szanowną rubrykę mieszkańców pod imieniem i nazwiskiem Ludwika van Beethoven.

A cóż dopiero mówić o Paryżu, który, jak to powszechnie wiadomo, żyje z cudzoziemców. Największa liczba ich zjeżdża tu, nie dlatego chyba, by dowiedzieć się kto tu był merem, czy prezesem i nie dla urządzeń tramwajowych, kanalizacyjnych, czy piekarnianych. Całe pokolenia z całego świata przybywają, by oglądać dzieła artystów tego miasta, by ujrzeć dom, w którym lata genjalnego trudu swego przepędzał Balzac, by ujrzeć siedzibę Rodin'a, słowem — by uczestniczyć w tych wszyst-

kich cudach kultury, które od wieków wrastają w mury i ściany Paryża.

W naszych miastach niewiele można znaleźć takich mauzoleów. Gdzież szukać domu, czy siedziby Adama Mickiewicza, Słowackiego, czy innych, gdy tak dobrze wiadomo, że żywot swój spędzali na tułaczce, po marnych hotelikach, oberżach i zajezdnych domach. Najdroższy dorobek najcenniejszych pamiątek naszych zmarnowała niewola.

Dziś jednak jesteśmy już u siebie, jesteśmy wolni, — czyżbyśmy dalej mieli marnować skarby naszej kultury, jak to się działo za najgorszych czasów niewoli?!

Nie wolno nam powiedzieć, iż ta sprawa nie należy do naszych samorządowych obowiązków, jako sprawa ogólna. Warszawa bowiem jest stolicą Polski, Warszawa ton nadaje innym miastom i ma przykładem świecić.

Przyznać należy, iż w tym kierunku zrobiliśmy dość dużo i że nasz przykład znalazł naśladowców. Ustanowienie nagród literackich, plastycznych, naukowych, muzycznych w Warszawie zachęciło inne miasta, jak Lwów, Kraków, Łódź, Wilno, Poznań, Katowice, Grodno, które podobną instytucję nagród utworzyły u siebie. Okazało się, że samorządy poczuwają się do opieki nad kulturą polską, podejmują odrazu zadanie.

Okazało się, żeśmy już nawet naprzód nieco poszli w zewnętrznej formie tych właśnie naszych starań. Przypomnijmy sobie tylko, jak wręczaliśmy nagrodę miasta po raz pierwszy, jak się to sztywnie odbywało, niepewnie, niezaradnie. I przypomnijmy sobie tę samą uroczystość w ubiegłym roku, gdy Rada miejska czciła przez

powstanie najzasłużeńszych robotników kultury polskiej. Gdy Rada nasza niemal ze łzami w oczach słuchała przemówień laureatów stolicy.

Wydaje mi się, że w naszych ciągłych sporach o chleb, o krupy, kaszę, mąkę, czy węgiel, czy też opłaty, taksy i podatki potrzebna jest i zawsze będzie potrzebna taka wzniosła chwila. A jeżeli w sporach naszych troska o przyszłość nami powoduje, wierzę niezbicie, iż protokóły, które o tych laureackich zebraniach Rady zostawimy potomnym, — przetrwają wszystkie inne nasze sprawozdania o mące, chlebie, mleku, oraz bułkach.

Jesteśmy więc na dobrej drodze, wydaje mi się jednak, iż nie dość szybko naprzód się posuwamy. W związku ze zbyt małą miarą szybkości zwrócić pragnę uwagę w debatach nad budżetem kultury na stronę 114 budżetu, rubryka: Towarzystwa Artystyczne i Szkoły Muzyczne.

Znajduje się tu pozycja, którą tłumaczyć mógłbym jedynie chyba onieśmieleniem, jakiego doznaje rzecznik spraw kultury w obliczu wielkich potrzeb elementarnych społeczeństwa. Pozycja owa brzmi: Na wydanie dzieł Moniuszki i innych kompozytorów polskich, — rok 1930/31 było 2.500 złotych, — rok 1931/32 — 1.250 złotych.

Czy Rada miejska zdaje sobie sprawę z wymowy tych cyfr żałosnych? Wynika z nich, że Moniuszko dotąd nie jest wydany drukiem i że mimo to zmniejszamy fundusze na wydanie największego, klasycznego mistrza opery polskiej.

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, wbrew wszyst-

kiemu cośmy dotąd wiedzieli i co nam przez lat szereg kładziono w uszy, że opera w Teatrze Wielkim nie jest tak deficytową, jak o tem sądzono. Jakiż to jednak byłby snobizm i nonsens i mierzenie wody przetakiem, gdybyśmy operę prowadzić mieli, Aidy grać i Faustów i Traviatty, — podczas gdy równocześnie źródło polskiej opery, Moniuszko, drukiem nie wydany, pozostaje na łasce przypadku?!

Wystarczy, by się spalił dom, w którym owa biblja opery polskiej spoczywa — i już nie będzie biblji? Mają się więc te rzeczy tak, jakby się miały, gdybyśmy Pana Tadeusza w luźnych odpisach zachowywali, nie posiadając pewnej drukowanej wersji?!

Zdać sobie przecież trzeba sprawę, że prócz Halki, której partycję, na głosy rozpisaną, wydano prywatnym kosztem, broń Boże nie u nas, lecz we Wiedniu, — Straszny Dwór, Hrabina, prześliczne Verbum Nobile i — jeśli się nie mylę, — nawet Dziady w partyturach dotąd wydane nie zostały.

Jak wiadomo Moniuszko, piszący w dawnych dobrych czasach, liczyć się musiał znacznie z nałogami ówczesnych muzykantów, których dola nie była chyba najlżejsza, skoro chronicznie do kieliszka zaglądali. Dzięki temu kieliszkowi swych muzykantów, Moniuszko instrumentował opery pod dość specjalnym kątem widzenia, to jest, aby tak były głosy rozpisane, iż gdy się upiją klarnety, mogły jeszcze prowadzić melodję skrzypce, lub gdy tych nagle zabraknie, by flety podjęły się ich misji.

Jest to jeden ze znanych szczegółów charakterystycznych. Ileż tam jednak w moniuszkowskich partyturach

potworzyło się do dzisiejszego dnia wątpliwości tekstu, gdy my sami, tu w mieście bardzo dumni byliśmy, że nam parę lat temu podano Straszny Dwór w wersji Młynarsko-Straussowskiej. Ileż tam w oryginale szczegółów pozmieniano, czy to dla wygody, czy dla „lepszego brzmienia“.

Uważam tedy za nasz obowiązek podnieść kwotę 1.250 złotych dla Towarzystwa Muzycznego na wydanie Moniuszki, do kwoty 10.000 złotych, które pozwolą, byśmy choć jeden akt rocznie, jeden rozdział tej operowej biblji polskiej drukiem ustalić mogli.

Druga sprawa — to wydanie koncertów fortepianowych Henryka Melcera: Jeżeli pozwalamy sobie na zbytek, że i w przyszłym roku, jak od lat tylu oznajmiać będziemy naszym obywatelom w Teatrze Wielkim o zwycięstwie znakomitego Radamesa nad Etjopami, — to przecież nie możemy nie wydać melcerowskich koncertów, które zjednały sobie swego czasu sławę światową, które wstawiają do swych programów obce konserwatorja (wiedeńskie), a od nas nut drukowanych doczekać się nie mogą.

III.

[Cyfry — a sprawy ducha.]

Oto jeszcze ostatnia sprawa z tego zakresu, omawiana dotąd nieśmiało, raczej pantoflową pocztą, niż na drodze publicznej wymiany zdań: Idzie tu o niewstawioną do budżetu subwencję dla Wyższej Szkoły im. Chopina dla Komisji Wymiennych Koncertów, na których występują laureaci naszych szkół muzycznych i zagranicznych.

Inicjatywa wymiany laureatów szkół muzycznych wyszła z Polski, niebawem przyłączyły się do tej myśli Czechosłowacja, Węgry, Łotwa, Rosja Sowiecka, dziś przystępują Belgja, Szwajcarja, w najbliższej przyszłości Włochy i Francja.

I znowu mógłby ktoś powiedzieć, — że cóż nas obchodzi taka tam międzynarodowa wymiana zdolnych młodych muzyków, gdy mamy tu własne bliskie potrzeby, wciąż niezaopatrzone.

Odpowiedziałbym zaraz, że najczęściej niestety tak bywa, iż kto lekceważy szerszy zakres sprawy, ten później i na węższym własnym zakresie dotkliwe straty będzie ponosił.

Wymiana laureatów stąd z Warszawy idąca, ma dla nas, ma dla miasta doniosłe znaczenie.

Jakże mamy zapomnieć, że to przecież z Warszawy wyszedł w świat i poszedł drogą nieśmiertelności wielki mistrz Fryderyk Chopin? Że tu, u nas, w tem mieście przechowuje się najwierniejsza tradycja Jego stylu?

Że tradycja ta coraz cenniejsza i bardziej nieodzowna staje się w muzycznym świecie, odkąd widać, — a widać to z rozwoju wszechświatowej muzyki, — że ongiś za „małego mistrza" uważany Chopin, jest mistrzem największym i tym właśnie, który najwięcej przyszłości nosił w swojem sercu, że On jest właśnie mistrzem, który najprostszą i najlepszą drogę zbudował rozwojowi muzycznemu współczesnego świata.

Wiadomo, że kto chce dobrze grać Bacha, Wagnera, Bethovena, musi jechać do Niemiec i tam się tej gry uczyć.

Niech nasi młodzi laureaci pokażą Europie, że kto chce grać Chopin'a, z którego idzie cała muzyka nowoczesna, — musi przybyć do Polski i tu z naszej tradycji, z tradycji kraju tego i miasta czerpać musi, jeżeli chce przeniknąć tego właśnie Mistrza polskiego, z którego poczyna się muzyka nowoczesna świata.

Przechodząc do drugiej rubryki działu kultury pragnąłbym poruszyć kilka kwestyj z zakresu literatury pięknej.

Pragnąłbym, byście panowie tę wzniosłą sztukę chcieli rozumieć szerzej, nietylko jako żywą konserwację języka i nie jako pożywkę fantazji, lecz przedewszystkiem, jako najistotniejszą historję uczucia narodowego i obyczaju. W tej właśnie sztuce najpowszechniejszej, w literaturze pięknej znajdziecie ów rys najznamienniejszy, którego nigdzie indziej ukazać nie można, którego nie ukaże ani księga kodeksu, ani foljant historji, ani żaden, choćby największy tom rozważnej socjologji, — w literaturze znajdziecie drgnienie żywego serca wszystkich pokoleń narodu.

Jest to więc sztuka, która w materjale słowa przędzie historję uczuć, a twórca owej sztuki jest, z racji swego powołania, wychowawcą sumienia zbiorowego.

Warszawa rozszerza swą inicjatywę, o ile chodzi o zakres spraw literatury. Rzecz słuszna i piękna: Utworzyliśmy doroczną nagrodę za najlepszy utwór dramatyczny. Utworzyliśmy, — poczynanie prawdziwie rozumne, chwalebne, — nagrody za najlepsze książki dla dzieci i młodzieży.

Dlaczego jednak nie rozszerzymy, nie wzmocnimy

16*

inicjatywy naszych bibljotek gminnych? Dlaczego nie utworzymy przy owych bibljotekach instytucji wykładów bezpłatnych dla najszerszych mas ludności, — o współczesnej literaturze ojczystej?

Pamiętam, że takimi lektorami gmin miejskich w Brukseli i innych miastach Belgji, lektorami, którzy prowadzili kurs wykładów o współczesnej literaturze belgijskiej ba, co więcej, którzy kierowali czytelnictwem abonentów, byli najwięksi pisarze owocześni tego kraju, jak Verhaeren, Lemonnier, Eeckhoud, Demolder i inni.

Tymczasem u nas, w stolicy, panują pod tym względem stosunki opłakane. Współczesność polska, w kształcie pięknego słowa wyrażona, obca jest naszym szerokim masom najzupełniej.

Masy owe zalewa obca książka tak dalece i w stopniu tak stale wzrastającym, iż dochodzimy dzisiaj do stosunku pomiędzy liczbą oryginalnych książek polskich i zagranicznych, wyrażającym się w liczbach 1: 50, podobno nawet gorzej 1: 80!

Jakże to nazwać i jakże na to patrzeć? Czyż nie jest to właściwie w wyzwolonej z pod fizycznych zaborów Ojczyźnie — nowy moralny zabór duszy polskiej?

Czy nie należy temu przeciwdziałać, wyprowadzając na mownicę czytelni miejskiej pisarzów polskich, któryby żywem słowem umacniali ów tak boleśnie rwący się przed oczyma naszemi związek współczesności naszej z jej najtkliwszem wyobrażeniem?!

I jeszcze jedna w tej pisarskiej dziedzinie sprawa bezbrzeżnie żałosna, choć tylko gospodarska: Nie można przecie zgodzić się, by ci najbliżsi, którzy po mistrzu

słowa pozostali, — mieli swój los przeklinać. Nie może przecież ów zawód pisarski stać się przekleństwem losu dla wdowy i dla sierót po pisarzu!

Warszawa dała tu piękny przykład zapobiegliwości, uchwalając dnia 22 marca 1928 roku sumę 20.000 złotych, jako podstawową kwotę Funduszu Zapomogowego dla wdów i sierót po zmarłych pisarzach polskich.

Warszawa wystąpiła z tą sprawą na Związku Miast, na którym kilka tylko innych miast zgłosiło nader nikłe sumy do owego funduszu (Poznań 2.000 złotych jednorazowo, Katowice 2.000 złotych jednorazowo, Lwów 500 złotych jednorazowo, Toruń 500 złotych jednorazowo, Grudziądz 1.000 złotych w myśl uchwały corocznego wstawienia takiej sumy do budżetu). Warszawa niepomna sknerstwa innych miast w odniesieniu do tej sprawy, głównie swoim funduszem wspomaga wdowy i sieroty po pisarzach całej Polski.

Niestety, miejski fundusz zapomogowy dla wdów i sierót po zmarłych pisarzach polskich jest już na wyczerpaniu. Czy mamy tutaj nie pośpieszyć z pomocą i mamy znów spokojnie patrzeć na jeden z najboleśniejszych chyba dyshonorów zasługi, gdy najbliżsi człowieka, który wszystko składa na ołtarzu powszechności, są przez powszechność ową odtrąceni?

W związku z owym funduszem wstawiam do budżetu kultury kwotę dziesięciu tysięcy złotych, co chyba na rok zapewni jakie takie przetrwanie sierotom i wdowom po pisarzach.

Gdy zliczę razem pozycje, których zasadność staram się tu wyłuszczyć, wypadnie na te cele około trzydziestu

tysięcy złotych w tym budżecie. Cyfra niewielka, — ogromna jednak może w tak twardych ciężkich czasach.

Cyfra straszliwa może nawet, gdy się pomyśli, że nie przyniesie miastu żadnego materjalnego dochodu.

Gdy ją wydamy nie przybędzie nam od tego zboża w śpichrzu, ani tramwaje prędzej nie pojadą, ani nie potanieje bułka, ani nie posuniemy naprzód kwestji mleka dla dzieci w wieku szkolnym. Sądzę jednak, że może właśnie w związku z kryzysem gospodarczym, właśnie w takim natłoku deficytowych cyfr, należało przypomnieć sprawy kultury, serca i obyczaju, — sprawy ducha.

Te sprawy ducha i twórczości, którym, wśród kulturalnych narodów, — największe nawet cyfry zawsze wkońcu miejsca swego ustępują!

NA RYNKU

LUDZI TYCH WZIĘŁA NA SWE SKRZYDŁA HISTORJA.

[1928 r.]

Chwila ta opisywana i relacjonowana była wiele razy, dokładnie: Jak w 1914-tym roku w pierwszych dniach sierpnia ówczesny dowódca Strzelca Józef Piłsudski wieczorem, w Krakowie, w Oleandrach, w czworoboku przyszłych żołnierzy polskich, — czytał głośno ze spisu skład oficerów, szarż i żołnierzy z pośród Strzelców i Drużyniaków, którzy jako 1-sza Kompanja Kadrowa, pierwsi przekroczą granicę zaboru austrjackiego i rosyjskiego.

Nikt z tych, którzy tam stali na błoniu Oleandrów nie wiedział chyba wtedy, że to chwila, od której zaczynają się istotnie pierwsze dni odrodzenia Wojska Polskiego.

Lecz wszyscy czuli nieogarnioną wielkość tej jedynej okazji.

W szeregach młodych żołnierzy panowała cisza głęboka, przerywana raz po raz chrzęstem występującego naprzód w bojowym rynsztunku Strzelca, czy Drużyniaka.

Za opłotkami placu Oleandrów zgromadzeni polscy rekruci i wszelacy politycy i sympatycy, w miarę czytania owych nazwisk, — płakali.

Niema w tem ani cienia przesady: Rozkładali ręce

w szlachetnej drżącej bezradzie i płakali rzewnemi łzami, — jak dzieci.

W nazwiskach pierwszych kadrowców, nazwiskach czytanych wzburzonym głosem Józefa Piłsudskiego, przebrzmiewał okres, rapsod i suma sławy, — jak nie brzmiała na tych polach i miejscach od wielu długich lat.

Nie mam zamiaru opisywać owego wieczora i chwili i podniosłego nastroju, gdyż sądzę, iż nie potrafiłbym sprostać temu zadaniu i żaden z nas, żyjących dziś pisarzy polskich, zadaniu temu nie mógłby wydołać: Są to bowiem sprawy, które mocą ukrytej w nich dynamiki przekraczają wszelką możność stylu i natchnienia. Sprawy, — które w znikomej zda się chwili, — stanowią dla całego Narodu o Jego życiu, losach i historji.

Są to sprawy, wymagające oddechu i oddalenia czasu: Czasu nie w sensie zaciemnienia wyraźnych konturów rzeczywistości. Lecz, by na doniosłość uczynku spojrzeć można było z dystansu długich lat przemijania.

Piszący te słowa borykał się z tem zagadnieniem przez cały czas filareckich, strzeleckich i legjonowych wysiłków. Czuł, iż — ludzi tych wzięła na swe skrzydła historja, — nie mógł tego jednak dostatecznie wyrazić.

Jeżeli więc w tych dniach sierpniowych, gdy dzieli nas od sławnego wieczoru pod Oleandrami lat czternaście, przypominam ów wieczór, — to nie dlatego, bym przypominać chciał te sprawy ludziom, którzy je sami tworzyli.

Lecz, aby w gwarze olbrzymiej radości najwspanialszych wspomnień oraz tegorocznego zjazdu wileńskiego zwrócić uwagę na pewien szczegół, o którym, być może, zapomną dawni moi koledzy:

Od szczegółu tego nie odstąpię, tak właśnie, jak kiedyś między 1914 a 1917 rokiem nie przestawałem o Was pisać brygadowi koledzy, choć przezywaliście mnie wtedy zjadliwie „złotym pyskiem“ i tem podobnemi, jakże w wojennem koleżeństwie przekornemi wyzwiskami?

O jakiż to szczegół rozpoczynam tutaj spory?

Przypomnijcie sobie, jak nazywaliście się, chodząc wówczas, lub już dawniej służąc w wojennym zakonie Strzelca i Pierwszej Brygady? Ilu to tam było pośród Was Gustawów, Konradów, Kordjanów, ilu Skrzetuskich, Kmiciców, Bohunów, Cedrów, Krzysztofów, Rafałów, Kryjaków i t. d.?!

Szliście na tę sławną Anabasis polską, prowadzeni genjuszem Wodza, lecz zaiste pod skrzydłem wielkiej i nieprzerwanej ani na chwilę literatury polskiej! Postacie, charaktery, znamiona tej literatury braliście sobie niejako za godło, pod godłem tem walcząc i umierając, z tego godła wymieniani w rozkazach i odznaczeniach Wodza.

Świadczyło to wtedy, zaiste, nie o próżności a o ogromnej kulturze młodych Polaków. Świadczyło o tem, że żywa tradycja, że historja Obyczaju Polskiego ani na chwilę aż do ostatnich dni nie opuszcza polskiego oręża.

O ten to właśnie szczegół upominam się w radosnej chwili naszych rocznic. Że dla literatury polskiej, pod której skrzydłem szliśmy do pierwszego zwycięskiego powstania polskiego, ci z nas, którzy mogliby wiele, — nic jeszcze nie sprawili.

Wciąż jeszcze sprawy literatury i polskiej sztuki są wam, czy słusznie mówiąc wszystkim nam, jakoby obce.

Sprawy te leżą w państwie odłogiem jeszcze, a jakże ruszyć mają naprzód, gdy najdzielniejsi o tych sprawach zdają się nie pamiętać?

Nie w tej chwili rozprawiać o szczegółach, proporcjach i sposobach wykonania. I nie was, czy też nas wszystkich nękać szczegółami planu.

Mówię tu przecie i piszę do znakomitych ludzi czynu: Którzy gdy chcą, sposoby i wszelkie konieczne szczegóły sami stwarzają.

I którzy wiedzą przecie, czują, — iż wielki czyn w ozdobie sztuki, obyczaju, dźwięku i pięknej formy zyskuje tyleż, ile dobro zyskuje, gdy jest z miłością podane, — a praca z wdziękiem.

ZA NAS WSZYSTKICH.

[24. XII. 1918 r.]

Dziś już siedzimy w cieple, dzieci się nam koło nóg pętają, gonią po pokojach naprzestrzał otwartych, fartuchy mają zapchane orzechami, śmieją się, cieszą.

Siedzimy dokoła stołu, mamy światło nad głową, — jeden biedniejszy, drugi może zamożniejszy, lecz chyba przecie nie masz już między nami takiego, któryby był bez dachu.

Siedzimy tu i tam, w Warszawie, Krakowie, Wilnie, w Kaliszu, w Łodzi, w różnych miastach, miasteczkach i wsiach. Po miastach, wsiach, okolicach, garnizonach pracujemy, — jeszcześmy wcale nie starzy.

Lecz czas śpieszy, — przemija. Ani się spodziejemy, kiedy nas siwizną przyprószy. Wtedy dzieci będą już wyrostkami i z pewnością podczas takiego święta, jak dziś, spytają pobłażliwie o ciekawszą historję z naszych czasów.

Będziemy chcieli opowiedzieć o minionej wielkości, poprostu a zarazem, żeby to było, — niby skrót, niby klucz, otwierający duszę minionego okresu.

Wtedy na gwiazdkę opowiem chyba moim synom, jak to było, kiedyśmy pierwsze Boże Narodzenie stali w polu i jak z tego wynikło potem spotkanie, w którem

zrozumiałem istotną wielkość naszych działań owoczesnych.

Opowiem najprzód, jak szliśmy pod Łowczówek.

Szliśmy górami, przez śnieg, z choinką na lufie karabinu, z Sienkiewiczem, czy Żeromskim, czytanym na zmianę podczas drogi.

Skołatana orkiestra grała nam marsza, który się tłukł echami po dolinach.

Jadło się, czy się nie jadło, spało, czy nie spało, nogi o grudę tłukło, czy też się człowiek o siodło na befsztyk ubijał, — nie w tem rzecz!

Nie o biedne ciało zmarnowane, — idzie tu o ducha: Wstyd powiedzieć, gdy się to mówi o żołnierce, która jest srogą prawdą męskiego serca, a nie sentymentem. Nie umiem tego inaczej wyrazić, jak tylko, że się w nas na tej drodze wtedy palił duch narodowej dumy i żołnierskiej ofiary.

Przyszliśmy nareszcie, między górki, lasy łowczówieckie i tu zaraz wstawiono nas we front.

Zaczęło się od artylerji, jak zawsze. Rosyjskie szrapnele na nas, a my naszemi na rosyjskie. Zaczęło się w wyleniałym lasku, — każda wielka bitwa wychodzi niepozornie z małych lasków.

Czekałem na jakiś rozkaz przy baterji górskich dział.

Nareszcie dostałem ten rozkaz, alem go zaraz nie wykonał. Jeszcze parę minut postałem przy armacie, śmiejąc się w jakiejś dzikiej i obłędnej radości za każdym nowym strzałem.

Potem był szturm. Naturalnie jest to straszne, — ale nie ma nic mocniejszego na świecie, — każda trawka,

każda kępka ziemi wydaje się nam wtedy najukochańszą siostrą.

Minęła cała doba.

Dnia 24-go wieczorem już prawie zwyciężaliśmy, śmiertelnie utrudzeni, niewyspani, głodni i zmarznięci. Mżył mokry śnieg, drogi tonęły w błocie, we wszystkich stronach płonęły chałupy, niby jakoweś ogromne serca płomieniami buchające na górach.

Rozwalonym gościńcem tam i napowrót przesuwały się kolumny piechoty naszej i jeńców i jakaś ubłocona kawalerja, kuchnie, jaszcze, armaty, — całe splątane warjactwo długiej bitwy.

Siedzieliśmy we dwóch ja i ułan, jako łącznicy przy drodze. Powinnoby się stać, — ale stójże na nogach zmarzniętych, przemoknięty, niewyspany, niepojedzony.

Ułan wyrwał skądś małą garstkę słomy. Uwiliśmy z tej słomy na błocie przytulną otokę, siedliśmy sobie na niej i patrzymy w mroku, co się gdzie sunie, którędy przechodzi, czy woła, czy też szuka. Spotykanym dowódcom wołamy, że odprawa w chałupie — tam a tam.

Służymy tedy głośno Ojczyźnie a w przerwach poufnie gadamy.

Może nawet nie gadamy a tak mielemy, piąte przez dziesiąte, — że ułan, choć chłop silny, — zaczyna nagle kwilić. W myśl tego, co nas wtedy wszystkich dręczyło, a czego nikt głośno nie śmiałby wyjawić...

Ułan kwili, — że niby na śniegu tu marzniemy w wigilijny wieczór, z domem łączności żadnej, bo dom po tamtej stronie frontu. Polski niema, tylko ta i tamta strona frontu! To się tylko nazywa, że my tu o Polskę

zębami na słomie szczękamy. I przez kogo? Przez Niego, — Piłsudskiego. To on, to on, to on!

Więc ja ułana zatapiam w argumentach, żeby odmókł i żeby mu odeszło. Ciągniemy różne racje i dowody, choć szczerze mówiąc, komuż w tych czasach nie uśmiechnęła się raz bodaj taka myśl bluźniercza?!

On, nasz Wódz, — On to na siebie wziął.

Tu w dolinie złoci się Tarnów światłami, a dalej za Tarnowem mój Rzeszów rodzinny a jeszcze gdzieś tam dalej wieś ułana, — opuściliśmy nasze rodzinne strony, może już nie wrócimy, — po co nas wołał Wódz na takie zmarnowanie?

Minęło parę lat, prawieśmy się nie spotykali z tym ułanem, aż tu idą pierwsze dnie niepodległej Polski i nasza wczesna odsiecz Przemyśla.

W listopadowej mgle taplamy się nad Sanem, tu się kolejarze rychtują, tam kompanja piechoty pomyka, kuchnie polowe dymią, baterje wyjechały na górę. To nic! Najważniejsze ze wszystkiego jest, że niema godziny, kwadransa, iżby od drogi, z chałupy, z pola nie wyskoczyło to trzech ludzi, to czterech, gotowych, w mundurze i z bronią. Stawają, — choć od tylu miesięcy przez Austrjaków rozpędzeni, — znowu są. Siła nasza rośnie, sama nie wie kiedy, — ciągle starej wiary przybywa z pod niezliczonych Łowczówków, Nid, Konarów i tylu sławnych miejsc.

Idę szosą nadół, środkiem jadą jakieś pozbierane „kawalerzysty“ na głodnych koniskach z oficerem na czele. Patrzę, kto tu jest tym oficerem, — właśnie mój ułan kwilący z pod Łowczówka. Wyszarzał, wytarł się,

wyleniał, ściągnął, nic w nim już więcej niema prócz żołnierstwa.

Idziemy chwilę razem, gada się o tem i o owem, ten oto pluton jazdy ma robić głębokie obejście, aż tu mój ułanisko kładzie mi rękę na ramieniu i przez sine powietrze listopadowe wybucha śmiechem.

— Co się śmiejesz, warjacie? — powiadam.

— Śmieję się, — woła. — Czy pamiętasz, jakeśmy tam gadali na słomie pod Łowczówkiem? Siedzi teraz nasz Stary w Magdeburgu, ale ci miał rozum za nas wszystkich! Patrz, jak mu teraz na samo Jego imię, wszędzie gdzie trzeba, zaraz wojsko wschodzi! Wojsko mu wschodzi, powiadam ci, jak zboże!

* * *

Gdy dzieci nasze będą już wyrostkami, opowiem w takie oto święto swoim chłopcom, jak szliśmy ongiś pod Łowczówek i co się dalej działo i jak się rozwinęło.

Jak pewien dzielny ułan pomstował pod Łowczówkiem na błocie a po trzech latach pomstę swoją błogosławił. I, że klucz do wielkości naszego pokolenia to On, Wódz, którego imię samo, gdy w Magdeburskiem więzieniu jeszcze siedział, — pędziło ludzi przez kraty, fortece i zapory, z domów do nowej walki.

KONARY.

[Na wystawienie pomnika legjonistom, poległym pod Konarami].

Kto był w tej bitwie, kto tamtędy pośród pagórków wiosną piękną pachnących w kolumnie szedł, a potem w tyraljerę się rozwijał, kto tam gonił, podchodził i strzelał i do ziemi przynikał, pod Beradziem, Przepiórowem, Włostowem, Grabiną, Konarami, Kozinkiem! Kto tam w tumulcie armat słuchał komend, lub wykrzykiwał je całą siłą, młodością, całem życiem swojem i wszystką krwią!

Kto tam był, trwał i bił się — a dziś pomyśli, że oto na tych samych polach wśród wzgórz, gajów i lasów, na uroczej sandomierskiej ziemi powstaje pomnik w majestacie Rzeczypospolitej, — ten zaprawdę przypuścić może, że dzieje się w historji ludzkiego trudu, walki i ofiary, jak chce najwyższe prawo równowagi i cnoty.

Nie przewidywaliśmy chyba takich wyników my wszyscy żołnierze z pod Konar. Było to tylko najcichszą wiarą naszych młodzieńczych serc, ale żeby ta wiara tak właśnie w pełni i wrychle czynem się objawiała? Żeby w czternaście lat po bitwie konarskiej Rzeczpospolita władna i potężna śpieszyła już polami temi z głosem szczytnej wdzięczności?

Jest to taksamo piękne, uroku pełne, jak ruch samej przyrody: Jak głos słowików, rozbrzmiewający wtedy

w nocy, pod Konarami, — gdy choć na chwilę zacichły armaty.

Jeszcze stokroć piękniejsze: Jest to, — jak kiedy w przypowieściach, za trudy, znoje, cierpienia ukazują się nad żołnierzami sprawy jakiejś ogromnej, — wcielone cnoty: Anioły, święci patronowie, święte orędowniczki, skrzydłem blasku po niebie wiary ludzkiej wionące.

Jest to bowiem tak piękne, że sięga czcigodności mitu. Że zatrzymuje człowieka wpół drogi i słuchać każe najwyższych tonów życia, gdy przechodzą nad ziemią w chwale, zwanej mianem wieczności.

W tych właśnie tonach powstaje oto dziś konarska bitwa. Czyny jej proste, świetne, — nazwiska bohaterskie.

Jak doszliśmy tam w maju, przez kwiaty, młodą zieleń i uderzyliśmy.

Jak to Komendant siedział tam na wzgórzu konarskiem, o świcie w słońcu — i już nagle nadleciał Belina z garnkiem szrapnela w ręku, a potem zaraz dwa bataljony 5-go pułku umotały się w ten wielki bój i pod Włostów pognały, — a potem w drugim dniu rozprawa pod Grabiną, a potem trzeci dzień i czwarty, gdy się bój splątał i w jedno miejsce zbił ogniem, śmiercią i krwią, na owej kocie, — numer 282, — pod pamiętnym Kozinkiem.

Jak się tam targał, mierzwił i roznosił.

Taka jest w słowach zdawkowych legenda bitwy tej wiosennej, wśród lasów, pól, pagórków rozegranej z arjergardą rosyjskiej armji.

Lecz bitwy wszystkie, — jak wszelkie wydarzenia, —

mają swój blask i polot, swój rozmach, czy też duszę tajemną, która stopiła wszystkie wysiłki wszystkich uczestników w jeden pion, w jeden rzut, w jedyne słowo o całym tym uczynku.

Coś jakby najważniejszy rys całego duchowego kształtu.

O owym najszlachetniejszym lecz zarazem najboleśniejszym kształcie duchowym bitwy pod Konarami nie mówiliśmy wcale, gdyśmy na wzgórzach Konar i Domaradzic i Ułanowic i innych miejscach tamecznych odpoczywali później.

Owego kształtu duchowego nie utrwaliła też owoczesna legenda, był to bowiem czas głębokiego formowania godności naszej żołnierskiej, w którym to czasie uczyliśmy się pilnie i krwawo naszej dumy, dzięki takowej właśnie sztuce przemilczania spraw, od których serca żołnierskie, — broczyły krwią.

O owym najtajniejszym środku, czy też pionie duchowym powiedziane tu musi być w chwili, gdy sama Rzeczpospolita skroń swą wieczystą przykłada do grobu konarskich bohaterów.

Był to najstraszniejszy z pośród legjonowych bojów,— nie dlatego, że tak ciężki w swych stratach. Nie dziwne przecie są żołnierzowi straty!

Lecz był to bój w pewnym sensie potworny, w którym wódz polskiego oddziału i ów oddział walczyli nie dość, że z swym wrogiem wojennym, lecz także z sojusznikiem drugi bój wiedli — o własną duszę. Która kruszona i łamana była w tej bitwie kajdanami potwornych rozkazów z godziny na godzinę, z dnia na dzień i z doby na dobę.

„Sojusznicze“ oddziały austrjackie rwały się i strzępiły w obliczu nieprzyjaciela i kompanjami i całemi bataljonami do niewoli przechodziły. By więc łatać swój front, kierownictwo austrjackie strzępiło oddziały I-szej Brygady Piłsudskiego i w linję swej obrony rzucało drobinami, — po pół bataljonu, po jednej kompanji, po pół, po jednym plutonie na wszystkie odcinki nieomal.

Brygada ćwiartowana tu była na części i cząstki, na strzępy, rzucane w przepaść klęski z panicznem przerażeniem obcego kierownictwa. Ustosunkowanie zaś kompetencji tego kierownictwa było takie, iż na tem samem miejscu postoju, we wsi Ułanowice, Piłsudski patrzeć musiał, — zdawało się bezsilnie, — jak austrjacki oberst w pasji przerażenia rozrywa polski oddział i rwie na kawałki.

Nie to więc było w tym boju szczytem męstwa, że żołnierz mężnie ginął. Lecz było szczytem klasycznej dyscypliny, że tak przykładnie walczył i ginął, — wydarty z pod rozkazu swego wodza, wodzowi temu nawet w obcych wstrętnych rękach wciąż jeszcze posłuszny.

I nie to jest splendorem wodza I-szej Brygady w tej bitwie, że oddziały swe, gdy tylko w ręku miał, — prowadził wspaniale. Lecz, że straszliwą mękę przezwyciężył, że ją wytrzymał, gdy mu oberści, ze strachu nieprzytomni, Brygadę na kawałki ćwiartowali, a On potrafił, — mimo wszystko, — wszystko, co się należało zobowiązaniom honoru żołnierskiego oddać, aby później, u końca tej bitwy skupić znów swoje wojsko we własnem ręku.

W trzecią dobę tych walk z nastaniem nocy znalazło się dowództwo austrjackie wobec klęski. Bataljony ce-

sarsko-królewskiej armji otwarły flankę, dywizja cała leżała rozdarta i bezbronna wobec wroga.

Legenda nic nie mówi o tem, jak to tego wieczora w ułanowickim dworze zjechali się oberści, brygadjerzy i ekscelencja-dywizjoner na odprawę i jak się nad mapami pochylili i jak przemądrze mapę paznogciami bróździli, z czego wynikło, — że jeszcze raz oddziały polskie tu zostawią do ostatniego wyczerpania, już na stracenie.

Wtedy to nagle rozwarły się drzwi ułanowickiej bawialni przemienionej na sztabową salę i wszedł tędy powolnym krokiem ów jakiś żołnierz dziwny, bez żadnych odznak, w czapce strzeleckiej, której przy tylu sztabowych ekscelencjach wcale nie zdjął. Doszedłszy zaś do stołu, plecy pułkownika sztabowego cesarsko-królewskiej armji lekko ramieniem odsunął i pochylonym fachowcom, dygnitarzom, niepytany i nieproszony wcale, jął cierpliwie tłómaczyć przez głośną wrzawę bitwy, co mają teraz zrobić, oraz jak.

Legenda nic nie mówi, jak nagle, prosta prawda i rada polskiego wodza stała się jedyną pomocą na tym całym odcinku. I jak ekscelencja niemrawe dłonie swoje z drżącą wdzięcznością ku polskiemu wodzowi wyciągnął.

I z jak łaskawą pogardą patrzył wtedy Wódz polski już nie na pomiętego generała, lecz w krwawą łunę bitwy, przed siebie, świadom, że teraz znowu ściągnie oddziały swoje. Że już je znowu wybrał z nieprzytomnej dłoni „sojusznika“ i jeszcze raz ocalił dla tej wielkiej przyszłości, — w której dziś na tych samych miejscach powstaje pomnik bohaterów z pod Konar.

Oto jest pion duchowy owej bitwy: Wodzowi dłużej i jeszcze dalej tworzyć swoją sprawę, niż do granic ostatniej nadziei. Żołnierzom zaś, — wytrzymać dłużej, niż sama prawda trwania nakazuje.

Te szczytne cnoty wojennego honoru, docna spełnione, pozdrawia dziś Rzeczpospolita na miejscach boju Pierwszej Brygady Piłsudskiego.

WYDANIE BRYGAD LEGJONOWYCH.

[Na marginesie Zjazdu Legjonistów w Kaliszu.]

Zjazd Legjonistów w Kaliszu, zjazd dawnych, świetnych trzech Brygad, mężnych dowódców, oficerów, żołnierzy, z pod Kielc, Mołotkowa, Uliny, Limanowej, Łowczówka, Nidy, Konar, Jastkowa, Lublina, Urzędowa! Wszystkie marsze i dnie i noce ciężkich walk wołyńskich, — Koszyszcze, Kamieniucha, Polska Góra...

Chodzimy teraz po tych krajach, wiadomo, że na miejscach dawnych marszów i grobów trawa już porasta.

Któż zaprzeczy, że z trawą oną nie rośnie wielka sława na tych miejscach?

Wszystkie bitwy, szturmy, bohaterskie obrony i najgorsze w tej wojnie: Przełomy polityczne: N. K. N., C. K. N., — P. O. W.! C-K-Komenda, A. O. K., podstępy, chwyty, targi, a w nich wszystkich nieustępliwy, twardy, nieczuły na ordery, zaszczyty, konsekracje, bankiety i dygi — pan brygadjer Piłsudski.

Tyle czasu minęło. Dziś już niewiadomo, jak do was mówić, panowie koledzy?!

Wciąż zaiste, po drabinie zasług i prac trudnych i zaszczytnych posuwacie się naprzód. Że nawet może wkońcu trąci to jakowąś familjarnością, gdy się do was przemawia stylem dawnego koleżeństwa, które we wza-

jemnym szacunku nie znało nigdy niepotrzebnych ceremonij?

Idzie tu znów o sprawę, już dawno poruszaną, w Karasinie, w Leszniewce, na wszelakich postojach, podczas uczt, czy okazyj serdecznych:

Nie dość, że Brygada, że Legjony złożą kiedyś swe dzieje wspaniałe na łonie szczęśliwej Ojczyzny.

Tego nie dość. Trzeba zawczasu, samemu, dzieje owe porządkować, spisywać i szczegółowem opracowaniem w pamięci utwierdzać.

Najlepsi, najdzielniejsi wśród nas zgadzali się z tem zawsze. Twierdzili jednak, — że czasu na to niema.

Prawda, — czasu nie było. Wojenna potrzeba, walka z rodzimą niewolą żądały, iżby nas było dziesięć razy więcej, niż mogliśmy nastarczyć. Legjony, to jest właśnie owo pokolenie, które czasu nie miało za siebie się oglądać i własnej zasłudze przypatrywać.

Robili to poniekąd pisarze i artyści, t. zw. pisarze legjonowi, których tu z radością i z dumą wspominam. Nikt „wtedy“ nie był z nas zadowolony. Chciano przecież odrazu epopei, gdy my dawaliśmy zaledwie jakie takie fragmenty. Nie stworzyliśmy żadnej epopei, powiedzcie jednak wodzowie i koledzy, czyż z fragmentów i okruchów, które udało się nam zlepić, nie wstaje przed oczyma waszemi cały ów czas legjonowej walki, — jakby żywy?

Robota ta sprawiana była w warunkach najcięższych: Pamiętacie chyba Daniłowskiego na tym jakimś siwoszu, jak dnie i noce uganiał w służbie, a pisał pierwsze piękne listy wojenne wtedy dopiero chyba, gdy go niemoc ciała na łóżko rzuciła?

Pamiętacie Sieroszewskiego, Struga na ułańskich patrolach, Relidzyńskiego, Orkana, Pochmarskiego w ciężkiej robocie IV-go pułku, Marjana Dąbrowskiego, Romina, Teslara, Denhoff-Czarnockiego na czele plutonu. Merwina, najukochańszego Mączkę, Szczapę-Krzewskiego, Wieniawę Bolka, tworzącego genjalne potworności humoru żołnierskiego, Lubicz-Zahorskiego, poetę-szeregowca i Ejsmonta i Gwiżdża i Jerzego Żuławskiego i malarzy Gottlieba, Janowskiego, Jastrzębowskiego, Koniecznego, Ryszkiewicza, Stefanowicza i tylu tylu innych.

Wciąż jeszcze czasu niema! Ludzie czynu nie mogą go dziś znaleźć w Polsce na wspominki. Sądzę jednak, że jest już obowiązkiem nas wszystkich pomyśleć o utrwaleniu wielkiego eposu legjonowego. Nie dlatego, abyśmy własną chwałę wynosić tu pragnęli. Cała chwała w Wodzu, który tę sprawę żołnierską i całe poruszenie serc poprowadził po najlepszej drodze.

Chodzi tu raczej jeszcze o duchowy gatunek wysiłków, którym nie wolno przeminąć bez poznaki.

Niema przecie dotąd sumiennie opracowanej listy strat Legjonów, nieśmiertelnej Księgi poległych. Niema dotąd przeprowadzonych prac ścisłych nad historją bitw pułków i brygad. Niema dotąd porządnie ujętej historji P. O. W., jednej z najprzedniejszych organizacyj, jakie wyłoniła wielka wojna światowa. A gdzież zarys psychicznych podstaw dyscypliny wojskowej, wprowadzonej do Legjonów przez Piłsudskiego, a gdzież historja pracy Jego nad przygotowaniem polskich oficerów sztabu?

Wysiłek był ogromny i dorodny. Zawierał w sobie najszlachetniejsze cechy duszy polskiej. Z wysiłku tego

może czerpać na przyszłość nietylko doświadczenie wojskowe, lecz przydatnym okaże się on zawsze we wszystkich dziedzinach narodowej pracy.

Powiedziałbym bowiem, że jak swego czasu szyk amerykańskich tyraljerów, czy szybkostrzelne karabiny, czy walka okopowa, tak samo epokowym w dziedzinie życia Polski okazał się ów amalgamat, składający się na duszę legjonisty.

W zestroju tym, w przedziwnie celowem zestrzeleniu elementów zawiera się świetny styl Piłsudskiego, jako wielkiego wodza Polaków. Czyż każdy kto wstępował do Brygady a potem do Legjonów, nie tracił odrazu barwy politycznej, rasowej, partyjnej i nie stawał się odrazu — „Legjonem“?

My — legjony! W tem żartobliwem zawołaniu taił się sens głęboki. Byliśmy legjonami przyszłości polskiej.

Legjony, — zakon, — szkoła zwyciężania.

Ową szkołę zwyciężania, wynalazek w historji Narodu zapomniany od czasów Batorego, — stworzył w swych Legjonach Piłsudski.

Wynalazek ten wymaga obecnie sumiennej szczegółowej obróbki. Jeżeli my, artyści mogliśmy „wtedy“ elementy utrwalać, w czasie bitwy, marszu i odwrotu, — to może czas, panowie wodzowie, ogarnąć teraz regimentarską pieczą ten cały skarb wiedzy, męstwa, honoru i miłości. Ogarnąć i opracować wreszcie ów najpiękniejszy okres oręża polskiego z czasów długiej niewoli.

Nie mówiło się tak pod Konarami, ani nad Stochodem, czy Stawokiem, ani nocą wśród ciemnych lasów Perekrestja.

Ale dziś?

Jakto?! Dzieci przecież mamy, a cóż im z tego przyjdzie, że na starość docna już pokręceni, z przypiecka rozpowiadać będziemy?

Nasze dzieci, to przecież musi być drugie, trzecie i setne, przejrzane, przez autorów poprawione wydanie trzech brygad legjonowych, na całą Polskę, jak długa, piękna i szeroka.

Z JAKIEJ LEGENDY CZERPAĆ?

[Na marginesie Zjazdu Legjonistów w Nowym Sączu.]

Wspomnienia, czy też tylko potrącanie wspólnej nuty, która jest najbogatsza i jedyna w naszem życiu; która jest wielką światłością naszych serc, spracowanych, lecz wciąż jeszcze niezmęczonych... Gdy sięgniemy ku tym wspomnieniom właśnie, wiemy, — że nie zmęczymy się nigdy, że w świetle tej radości umierać nawet chyba będziemy, w świetle radości takiej, jakiej po świecie mało, którą każdy z nas w sobie nosi, ogromną i niewyczerpaną nigdy: Radość wielkiej legjonowej legendy!

A jest w tem piękno niewyczerpane, żeśmy twierdzili przeżywając te sprawy bohaterskie i żołnierskie i więzienne i tak konspiracyjne, i tak mężnie dla całego narodu przedsiębrane, a znów przez naród ów nie odczuwane prawie: — Żeśmy twierdzili, by to nie było legendą i niech nie będzie nią wcale, — nie dbamy o to, co się legendą zowie, jakimś tam laurem, jakąś tam urną symbolu, czy cierpienia, czy jak to jeszcze ludzie nazywają!

Była w tem właśnie najlepsza proporcja dokładności w bohaterskim uczynku, była w tem najtęższa miara zdrowia naszej historji. To właśnie: Znamię ludzi silnych, całkowicie oddanych najświętszej woli powodzenia.

Legenda rosła wśród nas, jakgdyby sama, niby jakoweś cudo, owocujące czarodziejsko: Pośród nieustannego gwałtu zaciętej walki i tak srogich prywacyj i takiej niby bez nadziei codziennej, u nas, w obozie naszym, w obozie wcale od cecorskiego nie gorszym, trwającym w walkach nieustannych, walczącym w utracie najlepszego żołnierza całe trzy lata, — wyrasta takie cudo wielkie, żywotne i wspaniałe najlepszej sławy.

Gdy się zjazd legjonistów zamawia i zaczyna, każdy z nas myśli przecie o całym szlaku legjonowym i nietylko o wszystkich bitwach, sprawach, które przebył, ciosach które przetrzymał, lecz także o tym sensie, o tej głębszej, głębokiej, najgłębszej przypowieści, która niezbicie z całego pierścienia doli legjonowej wynika.

Czyż nie o tem myślimy, jadąc z przeróżnych końców Polski na zjazd i któż zaprzeczy, że pośród jadących z Małopolski, z Wołynia, ze Śląsków, z Wielkopolski i zewsząd — nie jadą wszystkie postoje stare i dawne bitwy i wszystkie szumy całej tej wielkiej drogi legjonowej i wszystkie krzyże po całej Polsce tak szeroko rozsiane?!

Jedna wielka przypowieść powstańcza, w której zawarta jest suma doświadczeń złamanego ongiś narodu i całe męstwo spełnione wbrew rachubom książkowej przezorności i wszelka zręczność wobec twardych tyranów, a znów, — jeżeli mowa o stosunku do własnego środowiska, — niewyczerpana i niezmużona nigdy cierpliwość i ofiarność.

Oto w szeregu wielkich walorów, czy atutów ostatni może przydatek, o którym nie mówi się dziś jeszcze pra-

wie, a jednak też radosny, wspaniały, — ów charakterystyczny stosunek tych ostatnich powstańców polskich legjonowych do swego społeczeństwa.

Na całą Polskę pójdą już telegramy z tego zjazdu i wszyscy ludzie dzisiaj w Polsce, — czy im polityka zezwala, radzi, zaleca, czy nie pozwala i odradza, — wszyscy dziś w Polsce ze wzruszeniem wiadomości takich z takiego zjazdu czekają. Pokonani bowiem zostali siłą promiennego faktu, — że właśnie ci legjoniści jedynymi byli ludźmi, którzy wolność Ojczyzny pierwsi do życia powołali orężem swym.

Łatwo to mówić dziś — powstaniec-legjonista! Lecz przecie pamiętajmy, że w tych mundurach starych legjonistów upatrywali w onym czasie dobrzy rodacy nasi i nawet zacni i wcale publicznej sprawie nie obojętni, — upatrywali, jakoby zjawę romantyczną, w sensie narodowego pożytku przeklętą, zgubną.

To jeszcze chyba wszyscy także pamiętamy, że kiedy taki oddział legjonowy ukazał się w miasteczku, czy też na wsi, to szedł po ludziach strach, — powiedzmy szczerze, — strach upiorny, że stary a przeklęty, na poły święty, na poły rozpaczliwy proces dziejowy i społeczny znowu się rozpoczyna na tej ziemi i znowu rozdzieranie ran już zagojonych, w pamięci już głęboko pochowanych, — pocóż, pocóż z za grobu wołane?!

Miło te rzeczy powiedzieć dziś otwarcie w radości dnia wielkiego, tem milej, że prawda wszystkie strachy przezwyciężyła i że dawni sceptycy niejednokrotnie sami potem znaleźli się w szeregach tego samego oto naszego entuzjazmu: Lecz przecie pamiętamy wszyscy w przypo-

wieści legjonowej te obrzydliwe zgrzyty, — jakto pierwszemu szwadronowi, czy oddziałowi, czy plutonowi Orlicza-Dreszera, dla jego koni zatęchłe siano dano, a dla ludzi noclegu brakło w wielkim dworze a od świadczenia piechocie uchylali się spłoszeni rodacy, w białych orzełkach na maciejówce widzący raczej godło upiornej śmierci, niż znak nowego życia; a znów, gdy Wódz nadjechał i kwaterować miał, egzorcyzny nieomal czyniono, aby zasługa znakomita lecz na rubrykach codziennego życia pozycji niemająca, — nie utrwaliła się i nie przylgła do nazwy wsi, majątku, lub pałacu.

Rozwój całej historji: — jakto cierpliwie falanga żołnierzy szła pod Wodzem od wiązek zatęchłego siana aż do sławy w narodzie.

Z powodu takich wiązek siana i tej małoduszności więcej cierpienia wynikło — niż w wszystkich walkach z szarą masą piechoty rosyjskiej, niż w tak bolesnych prężeniach mięśni z pod więzów austrjackiego A. O. K., niż w buntowniczem ciśnięciu broni pod stopy krzyżackiego Beselera.

Historja tej wielkiej pracy — zdobycia przez myśl powstańczo-legjonową całego narodu — nie jest jeszcze skończona. Skończona być nie może, gdyż jest to praca obliczona na całe pokolenia tak właśnie, — jak całe pokolenia bezczynem swoim i anarchją pracowały na zagubienie w narodzie myśli o państwowej samodzielności.

Cóż więc dziwnego, że w takiej świetnej chwili zjazdu, gdy tyle spraw wspomina się i nie pamiętamy tu między sobą, kto ministrem, generałem, posłem czy

senatorem, lecz wszyscy, jakoby za przedziwnem tchnieniem różdżki czarodziejskiej, znów tylko żołnierzami starych brygad jesteśmy, — cóż więc dziwnego, że jeden z was przypomni wam tu sprawy utrwalenia tych wielkich rzeczy, w godziwym kształcie słowa, pieśni i obrazu.

Chodzi mi o wdzięk czynów i ludzi, który nie powinien się zatracić, który otoczyć trzeba czujną, pilną pamięcią, któremu trzeba też odtworzyć wiernie jego styl.

Na drodze tej zrobiliśmy niewiele. Pośród poległych naszych, w wielkiej, bezdennej głębi bohaterstwa spoczywa niewzruszona, dla pokoleń całych niewyczerpana szkoła poświęcenia. W sprawie owej szkoły najwznioślejszej uczyniliśmy dotąd zbyt mało.

Uczyniliśmy dotąd niewiele, gdy mowa o uprzystępnieniu legjonowej opopei szerokim masom nowych narastających w Polsce pokoleń młodzieży. A gdzież jest żywa, nie w słowach, lecz w czynach zawarta, piękniejsza i wznioślejsza oda do młodości, jak właśnie ta epopea zmagań, walk i ofiar?

Uczyniliśmy dotąd zbyt mało, gdy chodzi o zamknięcie tego okresu odradzającej się Polski w kształtach sztuki plastycznej. Rzecz nader doniosła, wymagająca nieustannych wysiłków i starań, — czemże bowiem innem jest forma sztuki w dziejach, jak nie formą miłości i ukochania niepowtarzalnych nigdzie indziej pierwiastków etnicznych!

Dziwnem się może wydać, że takie rzeczy delikatne i oderwane mówi się z tego oto miejsca do wiarusów i mężów stanu i działaczów legjonowych. Lecz przecie żołnierz legjonowy był tym jedynym i niebywałym żoł-

nierzem „do wszystkiego" i po dzień dzisiejszy na chwałę swoją takim pozostaje.

Owe zaś rzeczy delikatne i oderwane ze wszystkiem, co dziś poczynamy, — wiele mają wspólnego. Chodzi tu bowiem o to, aby z prac naszych, czynów i sławy, urosły skrzydła młodym naszym następcom.

Z jakiejż legendy mają owi następcy czerpać? I gdzież w tych latach pierwszych XX wieku, ostatnich zaś niewoli polskiej, — piękniejsza jest legenda od naszej, piękniejsza od legendy Marcinkowic, Łowczówka, Mołotkowa, Rarańczy, Konar, Kołodziejów, Stochodu, Styru, Szczypiórna, Benjaminowa, Marmarosz-Sziget i owych pierwszych dni listopadowych P. O. W.?!

Pomyślmyż o tem podczas naszego zjazdu w najukochańszym Nowym Sączu, w tem mieście pierwszem pośród wszystkich innych miast polskich, które w roku 1914, w grudniu, młodym powstańcom polskim ramiona otworzyło i przygarniało nas radością, miłością a także szczytną wiarą w nasz historyczny los.

NA TRYBUNIE I W BOJU.*

Józef Piłsudski.

Imię, nazwisko — razem liter kilkanaście, — nazwisko męża od lat wielu powtarzane w telegramach, wypływające na szpalty pism całego świata zawsze wtedy, gdy na wschodzie Europy życie poczyna bić silniejszym pulsem.

Gdy stawiam teraz u góry stronicy to imię i nazwisko, — ja, były żołnierz i nieznaczny działacz obozu tego człowieka, — nie widzę zrazu żadnej formuły uczynków, nie składa mi się też żadna synteza charakteru: Opadają mnie zewsząd obrazy działań minionych, wielki nurt rozmachu porywa mnie, unosi i oto jeszcze raz, — jakgdybym znowu grążył się w bohaterskiej, entuzjastycznej legendzie, która się w Polsce zowie: Józef Piłsudski.

Czy legenda ta nosi w sobie cechy wielkości nieśmiertelnej, czy odpowiada warunkom ukochanego w tej chwili przez człowieczeństwo ideału, — nie wiem zaiste! Być może, iż zbyt gorące jest jeszcze wszystko, co przeżywamy tu nad Wisłą pod znakami uczynków osobliwego

---

* Fragment studium o Józefie Piłsudskim, ogłoszonego w książce Prozess der Diktatur, pod red.: Ottona Forst de Battaglia, wyd.: Amalthea-Verlag.

tego człowieka. Być może, iż nie ogarniam tych spraw, gdyż sam w strumieniu ich byłem jakąś falą nieznaczną?

Gdy mi ktoś powie Józef Piłsudski, — a niema sprawy kraju, by w niej nazwisko to nie pulsowało dźwiękiem życia, — widzę pasmo najwspanialszych obrazów:

Jak to Piłsudski stoi w przestronnej sali Domu Ludowego w Krakowie w roku 1912 i z mównicy czerwonej ku brukowisku głów przemawia stalowem słowem, podczas gdy słuchacze tej przemowy zastygli, — w przerażeniu prawdy.

Prawdy, którą on jeden w tem zebraniu, — jakże łatwo przerzucać może z ręki do ręki.

Widzę go potem, jak w setną rocznicę śmierci księcia Józefa Poniatowskiego ciągnie w Krakowie na czele swego wojska, swych ochotniczych Strzelców pod górę na Zamek królewski, a ludzie z bladą zgrozą usuwają się na strony w przeświadczeniu, iż człowiek ten igra, nieomal świętokradczo, z nakazami przeszłości.

Widzę go potem w czasie wojny światowej wszytego brygadą ochotników w setki obcych brygad, strzegącego śmierci naszej i walki, już zda się beznadziejnej.

Widzę go podczas innych wojen i spraw państwowych i decyzyj najcięższych, — jak raz za razem całe swe dzieło i owoc życia całego rzuca na szalę straszliwego ryzyka. Zawsze przed nami, Polakami od ćwierć wieka — owa twarz wzorem najczystszej tradycji polskiej rzeźbiona, uśmiechnięta jedynym w Polsce uśmiechem — górującym nad niebezpieczeństwami prawdy.

Niebezpieczeństwo prawdy — oto próba wielkości...

Można sprostać marzeniu, legendzie, — można spro-

stać szczytnym zadaniom miłości, a jednak nie dotrzymać kroku ostatnim i najgroźniejszym niebezpieczeństwom: Owej reszcie najcięższej, która tak często zostaje w dziejach poza miłością i legendą, tej reszcie charakteru, losu, zdarzeń i przeznaczeń: Niebezpieczeństwom prawdy.

Piłsudski zwyciężał je z uśmiechem.

Czy cecha ta jest istotnem znamieniem wielkości? Lecz kto i kiedy w życiu określić zdoła znamiona wielkości, skoro wyprzedza ona zawsze współczesne sobie pokolenia, w przyszłych rozgościć się pragnie, owe zaś przyszłe noszą już w sobie zadatek innych celów i innych nowych prawd?

Sądzę, że o tej sprawie rozstrzyga najrozumniej i najtrafniej nie ścisła wiedza, lecz miłość i nienawiść, wzbudzona w piersiach ludzkich krokami wielkiego człowieka: Ów rozmach przypływu uczuć oświetla daną postać blaskiem najwłaściwszym.

Zachwyt i radość i jakby tłumiony wybuch łez: Doznałem tego właśnie wówczas w Krakowie, w 1912 roku, na wielkim zjeździe partyjnym, na który zjawiłem się jako delegat młodzieży.

Wiadomo, że takie wielkie zjazdy mają swój zwyczajowy rytuał: Jeżeli chodzi o zjazdy socjalistyczne, zwłaszcza przedwojenne — jednym z najpiękniejszych momentów rytuału była zawsze część, poświęcona hasłu — wojna wojnie.

Byliśmy w najpiękniejszej części tego rytuału, wśród potoczystych, a tak dźwięcznych przemówień o wszechludzkiej miłości, gdy oto wyszedł na trybunę człowiek, pochylony naprzód nieco, — pochylony ukosem ptaków drapieżnych.

Zawsze byłem, — czyż nie jest to jednym z pierwszych warunków uzdolnień prozatora, — skłonny do przekory w obliczu wartości i zjawisk uznanych.

Pojawienie się Piłsudskiego wówczas na trybunie kongresu partji, sprawiło, iż delegaci wypełniający szczelnie salę umilkli. Mrozem powagi tchnęło od trybuny w głąb sali.

Słyszałem był już wówczas bardzo wiele o Piłsudskim, nie widziałem go jednak nigdy. Cisza, która przeleciała po sali, jakież mogła sprawić wrażenie na młodym człowieku, który wyobrażał sobie był wówczas, że słowem swojem świat na nowe tory wyprowadzi?

Wzmogła tylko moją przekorę... Zuchwale spojrzałem na trybunę, daleko wgłąb pod krzaczaste brwi tego człowieka, — w światło stalowych oczu. I tu, — wyznaję, — przerwało się moje dotychczasowe doznanie chwili: Jakbym się znalazł w proporcjach innego czasu i w innym wymiarze kształtu. Twarz Piłsudskiego jawiła mi się — jako znana oddawna — jako wspomnienie wielkich domniemanych czasów, — niby jedyna, dopuszczalna, najlepsza, bezsporna, z radością przyjęta formuła męstwa i poświęcenia.

Pod każdą szerokością geograficzną chowa się przecie i urabia zasadnicze, typowe oblicze narodu, czy rasy. Wymiar kątów takiego oblicza, uzasadnienie jednolitości typu będzie troską antropologów: My, ludzie prości, czujemy ów typ pośród dziejów naszych, widzimy go zawsze pośród chwil najcięższych na skrzyżowaniu dróg i trudnych losów.

Gdy mowa o tym typie w Polsce: — czoło wysokie

o połyskliwych skroniach, szerokie, strome, kształtu, którym tak bardzo chwalił się Nietsche. Spadzistą ścianę tego czoła wstrzymują brwi krzaczaste, zrośnięte ze sobą, w których cieniu błyszczą oczy, pełne stalowych refleksów. Obojętność spojrzenia tych oczu zdaje się absolutną, — dotykalną nieomal. A jednak obojętność owa w pewnych chwilach ustępuje i znika, topiona żarem wewnętrznym: Widać wtedy w czystych źrenicach łagodną, różową prawie dobroć. Zjawia się ona rzadko jakoby z trudem, raczej niby przezwyciężenie sinych świateł zalegających źrenice.

Specjaliści twierdzą, że Marszałek nie jest mówcą. Sądzę raczej, że nie warto mu być mówcą. Jego prawda jest zawsze zwięzła i krótka. Jego prawda wybiega zawsze poza zasiąg rozprawy słuchaczów. To też gdy przemawia do obecnych jakby mówił do kogoś trzeciego, nieobecnego, lecz właśnie najważniejszego świadka całej sprawy.

Patrzę w tę twarz, która wydaje mi się formułą, — zasadą... Słucham zdań krótkich, prostych i oto czuję, że ja i delegaci i działacze i wszyscy na tej sali mówiliśmy tu — wojna wojnie, — nie czując niebezpieczeństwa prawdy.

Człowiek ten rozumie niebezpieczeństwo prawdy. W 1912 roku wie, nie mając wcale żadnych danych, któremi rozporządzać winni ludzie przodujący, — że wojna ta nadchodzi, że porwie wszystkie ludy i, że kto będzie w tym konflikcie bezbronny, — spadnie do roli niewolnika, któremu za krew jego zapłacą groszem żołdu, — lecz nigdy miarą politycznej wolności.

Ludzie, którzy w roku 1912 ze zgrozą słuchają słów

Piłsudskiego, to ludzie, na których ciąży przeszło stuletnia niewola, pogłębiona grozą nieudanych powstań. Nasz byt wrósł już w ową niewolę, wrósł tak dalece, że nieustanny proces oddzielania wartości własnych od norm, cudzą przemocą narzuconych, przekracza już miarę wytrzymałości pokoleń. Możemy targować się jeszcze o cenę chleba, o przyzwoitszą formę naszego upokorzenia, możemy w skrytości ducha powtarzać romantyczne słowa naszych wieszczów, czujemy jednak wszyscy, że między romantyzmem słów a realizmem czynów wynika przepaść.

Piłsudski ukazuje tę przepaść, ukazuje też, że wojna wojnie, że wzloty wszechludzkiej miłości niewolnika — będą zawsze fałszem, obłudą nędznej słabości, formą wkupienia się między silniejszych i możniejszych...

O wstydzie, o najdelikatniejsza hańbo idealistów!

Ktobykolwiek inny głosił wówczas z publicznej trybuny, co Piłsudski głosił, — zmieciony zostałby z mównicy odruchem oburzenia. Pomówionoby go o wrogość dla ideałów przyszłości, oraz o próżne naigrawanie się z testamentów historji.

Piłsudski jednak pierwszy rozpoczął w Polsce XX wieku wielką pracę dla ideałów przyszłości, jeżeli zaś mowa o wykonaniu testamentów tradycji, — gdy w 1912 roku przemawiał, — dawno już wykonanie testamentu miał za sobą.

— — — — — — — — —

Trudno mi tu kreślić historję naszej wojny i wchodzić we wszystkie frontowe perypetje. Chciałbym jednak wyłowić z tego okresu i utrwalić najgłówniejsze cechy

zjawiska niezrozumianego dotąd w Europie, a które zwie się wojną polsko-bolszewicką. Zwracam uwagę na pewien szczegół, nie dość może w przewodzie owych wypadków pamiętany, a mianowicie, że nikt nie wie i nie pamięta, ani po jednej, ani po drugiej stronie, kiedy się ta wojna zaczęła?...

Wojna ta bowiem, formalnie sprawę biorąc, — w postaci not, wypowiedzeń, wyjazdu pełnomocników, — nie zaczęła się wcale, natomiast wybuchła odrazu, żywiołowo, przy pierwszem spotkaniu się sił wnikających w tak zwane tereny niczyje, to jest ziemie tych, którzy nie zdołali jeszcze dojrzeć do zorganizowanego życia państwowego.

W wojnie tej, po obu stronach odczuwanej jako najprostsza, historyczna konieczność, nie krzyżowały się wcale dwie różne koncepcje gospodarczego życia, — lecz zwarły się jeszcze raz na tych ziemiach w śmiertelnym uścisku nienawiści dwa odmienne historyczne światopoglądy: Idea indywidualnego narodowego rozwoju młodych narodów, — z poglądem cezarystycznej unifikacji wszelkich indywidualnych różnic.

Groteska sprytnej propagandy doprowadzała wówczas niejednokrotnie do tego, iż sądzono w Europie, że to żołnierze bolszewji niosą na swych bagnetach blask haseł Maratonu i Salaminy, światło wyższości ideologicznej, — na polskiej zaś broni przeciąga się złowrogi cień Kserksesów.

Dopiero bój śmiertelny, dopiero wspaniałe uderzenia Piłsudskiego na Dźwińsk, później na Kijów, dopiero blask wolności, powstający wszędzie tam, gdzie stawał ze

swem wojskiem na tych ziemiach Piłsudski, okazały światu, na których bagnetach lśni prawda i które działa huczą jej głosem donioslym.

Dopiero marsz bolszewików na Warszawę uświadomił Europie, że nie chodzi tu o proces takiego czy innego prawa, takiej czy innej reformy społecznej — a tylko o wielki biologiczny instynkt żywiołowych chęci zaborczych, krytych prostolinijnemi hasłami fanatycznej reformy społecznej.

Rok 1920 przeżyła Europa zacisznie i spokojnie, dzięki genjuszowi Piłsudskiego. Groziło jej wraz z ewentualną zagładą Polski, straszliwe niebezpieczeństwo, tem straszliwsze, że, — jak się to okazało już niejednokrotnie przy spotkaniu wojsk koalicji z wojskami Rosji sowieckiej, — wojska owoczesne Europy zachodniej okazywały się zupełnie nieodporne i bezsilne w obliczu nowej broni sowieckiej, to jest papierowej propagandy.

Groziło wówczas Europie zachodniej, że to niesłychane i przedziwne nieporozumienie pod jednym sztandarem zunifikowanych ras, ludów, szczepów i narodów, poczynając od Jakutów, Czukczów, Czeremisów, Tatarów nadkaspijskich, kończąc zaś na zmoskwiczonych Ukraińcach, rozeprze się nad Wartą, wniknie na Węgry, Czechy, być może podważy młodą republikę niemiecką, czy też, — siłą kontrastu, — pchnie tę republikę raz jeszcze na drogę militarnego cezaryzmu.

Słowem, że to, co w światowej wojnie kosztowało ludzkość miljony trupów, t. j. wywalczenie wolności narodów w Europie, — zawali się raz jeszcze pod butami fanatyków rewolucji.

Piłsudski zmiażdżył nieprzyjaciela, genjalnym manewrem rozbił go, poćwiartował bolszewickie dywizje i korpusy, zniszczył ostatecznie w dwóch wielkich bitwach nad Wisłą i nad Niemnem, dokonując zwycięstwa o niemniejszem znaczeniu w historji Europy, niż to, które odniósł w XVII wieku Sobieski pod Wiedniem.

Należałoby tu popróbować analizy naczelnych właściwości wojennego genjuszu Piłsudskiego.

Obserwowałem Pierwszego Marszałka Polski przez wiele lat, jako wodza i wyznam, że pracę jego wojenną porównać mogę z jedną tylko dziedziną, — to jest świadomego artystycznego tworzenia.

Piłsudski kształci w sobie i hoduje plan operacji wojennej, jak hoduje się i rozwija w sobie zarys wielkiego tworzywa artystycznego.

Z wykonaniem zwleka tak długo, póki nie przerobi planu w sobie samym, póki nie ogarnie całego działania wszystkiemi nerwami, wszystkiemi kategorjami swych psychicznych możliwości. Przy pracy tej odrzuca wszelkie schematy, wszystkie niezawodne recepty powodzenia, wszelkie teorje. Jest, — że się tak wyrażę — sam na sam z żywiołem akcji wojennej.

Przypuszczam, że wszystkie z najsumienniejszym trudem zebrane dane faktyczne, — tak samo jak wielki artysta przy pracy twórczej, — odrzuca ku powierzchni, skupiony całkowicie w wysiłku intuicji: w kierunku przewidzenia najgłębszych psychicznych pobudek ruchu własnego i ruchu wroga.

Jest to praca niesłychanie kapryśna a zarazem pełna nadludzkiej cierpliwości. Szalona w pewnym sensie,

a zarazem nacechowana najściślejszym wysiłkiem pamięci.

W pracy tej przetopione zostaje wszystko, od ilości wagonów, owsa, karabinów, dział, ludzi, samolotów, do jakości dróg, charakteru terenów, usposobienia ludności — na jednolitą siłę zwycięstwa.

Istnieje w rachubie tej pewien ważny bezcenny korektyw: Korektyw życia ludzkiego i ludzkiej śmierci: Strat ujmowanych uczuciem obywatela, nie zaś kalkulacją generała. Korektyw ów daje w pracy takiej to samo, co daje genjalnemu pisarzowi oszczędność słowa.

Plan Piłsudskiego jest zawsze oryginalny, nie oczekiwany, nie dający się przez wroga przewidzieć (niepowtarzalność prawdziwej indywidualności), zarazem prosty i zawsze najłatwiejszy do wykonania, a najoszczędniejszy pod względem strat.

W wykonaniu swoich planów wojennych już na froncie, posiada Piłsudski jedną z najcenniejszych zalet, — to jest wdzięk wodza. Składa się na to nieludzka prawie cierpliwość, brak wszelkich ambicyj personalnych, żarliwa podejrzliwość w stosunku do sztywnej mechaniki, rządzącej wielkiemi poruszeniami mas ludzkich.

Wobec szeregu żołnierskiego nader wstrzemięźliwa skromność. Żadnych pokrzyków, szumnych rozkazów, frazesów głośnobrzmiących: Przeciwnie, bardzo surowe i dokładne odczucie ciężaru, dźwiganego przez szeregowca.

Odczucie objawiane wobec wielkich mas żołnierza w sposób zgoła tajemniczy.

Obserwowałem Piłsudskiego bardzo często w tych

chwilach. Oddziały, których nie znał dotąd, które pierwszy dopiero raz oglądał, defilowały przed nim z potężnym krzykiem zachwytu.

Jak dochodzi do tak wspaniałych wyników popularności? Sądzę, iż na mocy głębokiego rozumienia prawdy boju.

Tak, tak: — przezwyciężenie niebezpieczeństwa prawdy. Piłsudski wierzy w wielkość anonimowego wysiłku szeregowca. Całą kalkulację wojny podporządkowuje tej sprawie.

Żołnierz wyczuwa te rzeczy niezawodnie we wszystkich zarządzeniach, we wszystkich najdrobniejszych nawet operacjach. I z takiej właśnie, może nawet lirycznej postawy wodza — czerpie wiarę w nieuchronną potrzebę wysiłku. Tem bardziej, że w planie wojennym Piłsudskiego, więcej jeszcze niż w politycznem życiu — przebija się zawsze najcenniejsza, najbardziej ludzka cecha człowieka na ziemi, to jest, — o zgrozo, — humor i dowcip!

Wszystkie plany i akcje wojenne Piłsudskiego to nietylko walka z wrogiem, lecz także walka z rutyną, z mechanizacją sztuki wojennej, z mechanizacją sztuki życia.

Walka z rutyną, mechanizacją i przesądem. Z zasadami doświadczeń, rzekomo bezspornych.

Genjalny humor planu udziela się i musi się udzielać zawsze wykonaniu. Wojsko walczące pod Piłsudskim jest przedewszystkiem zawsze wojskiem wesołem.

Olbrzymie raidy kawaleryjskie, wyrzucanie naprzód dywizyj piechoty w głąb nieprzyjaciela (wyprawa na

Wilno), niezwykły obrót czterech dywizyj w uderzeniu od Dęblina, arcydzieła obejść i zaskoczeń w ciężkiej bitwie nad Niemnem — to rzuty i ciosy w skostniałość mechanizmu wojennego, to najwspanialszy humor człowieka, przesycający wykonawców dostojeństwem zdobywania nowych prawd doświadczalnych.

JEDYNA SIŁA — CNOTA.

[W dwunastą rocznicę bitwy pod Kołodziejami, 1916—1928 r.].

Jeżeli pragnę przypomnieć chwile wielkiej bitwy legjonowej pod Kołodziejami, w której stanęła do rozprawy cała orężna siła ówczesnej Polski z trzech brygad piechoty złożona, z dwóch pułków jazdy, jednego artylerji, — czynię to głównie z powodu, iż dni bitwy ustanowiły niejako przełom w naszem życiu: Przełom znaczący nader wiele w pośród nas legjonistów, — ówczesnego wojska polskiego.

Przełom, który później odbił się i zaważył na polskiej kulturze obyczajowej. Dzięki bowiem przełomowi temu powstał ostatecznie i ostatecznie okrzepł odrębny typ obyczajowości, typ zdrowy i mocny, dziś w życie polskie coraz szerzej wnikający.

Wspominam wreszcie owe dnie, gwoli ich piękna niebywałego, które, jeżeli nawet w historji oręża znajdzie stosowne uwzględnienie, to przecież nie znalazło jeszcze czcigodnego uwzględnienia w wieści i powieści.

Dnie owe, — turkus, szmaragd i rubin, — najczystszy lazur nieba, urocza zieleń leśnych łąk Wołynia i krew żołnierzy.

Dnie straszliwego huku dział, nad okopami zawisłej

chmury złotego piasku, — latających nad głowami, drzew i cmentarzy wyrwanych z ziemi!

Dnie bohaterstwa, obrony najwspanialszej, szturmów, prowadzonych o świcie, za dnia i znów w nocy, dnie strat nieustających, honoru i dumy niespożytej, dnie, u których ostatecznego końca pokruszyło się tyle: rozleciały się dywizje honwedów, austrjaków, tyrolczyków, w obronie pozostał na czele jeden tylko wódz polski, osłoniony tyraljerą swej piechoty bohaterskiej, z odległości kilkuset kroków flankowany ogniem piechoty rosyjskiej.

W jakiej formie, w jakiej kondycji stanęły ówczesne trzy brygady całej polskiej siły zbrojnej 1916-go roku do boju?

Stanęły do tej rozprawy w kondycji — niebywałej.

Powiedzieć możemy dziś, jak wierzyliśmy wówczas, iż nie było na froncie ówczesnym wschodu Europy, od Bałtyku po morze Czarne, i nie było na całym froncie walczącego wówczas świata, nie było wojska, któreby równać się mogło w swej osnowie moralnej z tem legjonowem wojskiem. Jeżeli czytamy z zachwytem o hoplitach, których Xenofont sławi, jak maszerowali w dziesięć tysięcy żołnierza przez kraje i pustynie, — to my, „Legjony“ zaszliśmy wtedy pracą naszą i krwią i złożoną ofiarą równie daleko, jak owi Grecy.

Albowiem znajdowaliśmy się wtedy, jakoby poza nawiasem świata, jakoby nigdzie, jakoby bez Ojczyzny: Chociaż na ziemiach jej stojący i pośród ludu jej.

Bez Ojczyzny, gdy każdy nacisk nieprzyjaciół przetrącał nam łączność z mężami ówczesnej Polski politycznej, gdyż każda obietnica wroga czyniła nas w oczach naszego narodu zbędnemi nieomal.

Bez Ojczyzny, wciśnięci w kilkaset brygad sojuszniczych, czyli nieprzyjacielskich, a naprzeciw kilkuset brygad wroga, równie wrogich, jak sojusznicze.

Mało tego, — choć już zdawałoby się, — dość i po nad miarę.

Mało!

Znaleźliśmy się na piachach i bagnach Wołynia w roli nieswojej, podwójnie obcej: Sojusznicy nasi nie chcieli w nas zobaczyć nic więcej, prócz najemnych żołnierzy cesarskich.

Nazywało się to wtedy w języku ospałości politycznej rodzimej, — zdrowiem żołnierskiem.

Ówcześni nasi mężowie stanu, tak żółwim krokiem wtedy podążali, iż okazało się, że to, co targują za krew żołnierza, nie jest warte tej krwi, a nawet wręcz przeciwnie: Wstydem ją okrywa!

Więc ciągnąć nam wypadło, tuż przed strasznemi dniami Kołodziejskiego boju, za dwóch: Za żołnierza, któremu odmówiono pełni jego praw i za obywatela, który w głębi kraju nie wydążał za walką orężną. By tę sprawę raz przeciąć, — na jedno wielkie, męskie słowo Piłsudskiego, — zdjęliśmy odznaki stopni wojskowych i szarż, których dostatecznego potwierdzenia nie dano nam ani w honorze i szacunku naszego wojska, ani w swobodach kraju.

Złożyć szarże: Znaczy to w właściwem rozumieniu i każdem i każdego sądu wojennego — bunt.

Bunt przeciw władzy sojuszniczej.

A zatem wojsko, jakiego wówczas nie było na całym froncie świata: Bez wszelakich stopni widomych i for-

malnych, stojące w linjach walki, rządzące się jedynie wewnętrzną dyscypliną zasługi moralnej.

Walka nasza z wrogim sojusznikiem nie została jeszcze rozstrzygnięta, gdy wybuchł bój z nieprzyjacielem. W okolicznościach powyższych nie mieliśmy żadnego powodu walczyć w obronie frontu. Nikt też o to nie walczył i przez chwilę nie myślał, że tego właśnie broni.

Ówczesne wojsko polskie z kilku brygad złożone biło się pod Kołodziejami w pierwszych dniach lipca 1916 r. o rzecz najwyższą; bez wszelkiej myśli o wszelkich innych zdobyczach: O honor polskiego żołnierza.

Doszliśmy byli wówczas w targu z sojusznikami do punktu martwego, — opuszczeni przez nasz kraj. Pozostawało ostatnie i jedyne, w obliczu przodków i potomków: Honor żołnierza, — męstwo.

Męstwo polskie.

Nie było wtedy na całym froncie świata takich żołnierzy: Wszyscy inni walczyli przecie oparci o swój kraj, podnieceni jego krzywdą, przewagą, czy uszczerbkiem. My walczyliśmy wtedy już o to tylko, co praktyczny polityk zwie niczem: O wartość moralną.

Każda chwila bitwy pod Kołodziejami przynosiła wielkie straty. Lecz strat owych nie można porównywać, zarówno jak i walki samej, ze stratami walczących armij. O ile te ostatnie mogły były szafować w granicach sztuki wojennej materjałem ludzkim, o tyle w Legjonach wiadomem było, że szeregi szczuplają — raz na zawsze. Że rezerw niema, nie może być! Nie będą, — znikąd nie nadejdą.

Straty nasze, olbrzymie w stosunku do liczebności

oddziałów naszych wyczuć można po dzień dzisiejszy w kulturalnem życiu narodu.

Niepodobna inaczej powiedzieć, jak tylko, że istotnie, pod Kołodziejami w lipcu 1916 roku, poległ kwiat polskiej młodzieży. Iluż świetnych młodych uczonych, przyszłych filozofów, chemików, geologów, artystów, przyszłych pisarzy, iluż ludzi wyjątkowych! Trzeba pamiętać, iż wszystko, — na czem armja regularna oszczędza, co zapełnia ilością, masą, — w Legjonach stało wyłącznie jakością materjału ludzkiego.

Jeżeli dziś w łączności starszych z młodszymi odczuwamy tak często dotkliwą przerwę czy poniekąd brak związku, pamiętajmy, iż przerwa owa, czy brak związku wynikają z przyczyn najszczytniejszych: Ci bowiem, których brak, przychodzili już do pracy! Naród ich wydał, przygotował, lecz spoczywają nad Styrem, nad Stochodem, Stawokiem, naprzeciw Czartoryska, pod Wołczeckiem, naprzeciw Kołodziejów i Kostiuchnówki i gęsto, jakże gęsto, na stokach Polskiej Góry!

Fachowcy wojenni stwierdzą kiedyś zapewne, iż trzy brygady Legjonów w wielkiej wojnie światowej podczas potężnej ofensywy Brusiłowa osłoniły przyczółek kowelski po stronie państw centralnych.

Tak, — zapewne.

My sami nauczyliśmy się nareszcie w tym boju, w strasznej selekcji śmiertelnych ciosów, słuchać jednego Wodza, własnego Wodza, podczas wstrętnej gmatwaniny obcych rozkazów w głębokiej puszczy Perekrestja i na płonących drogach w kierunku Stochodu.

Rzecz ważna, — lecz zaiste jeszcze nie najważniejsza!

A oto najważniejsza: Która dziś brzmi na starych szańcach w dwanaście lat po ciężkim Kołodziejskim boju: Iż przydarzył się Polsce Wódz, oraz stanęło pokolenie próby najhartowniejszej i gdy wypadło w dziejach opuszczonych, straconych, w dziejach ostatnich i najboleśniejszych walczyć o to, co już rzekomo nanic przydać się nie może, — o owe NIC nieśmiertelne i najszczytniejsze: — Polacy walkę podjęli.

Dziś owe NIC, — wzniosła wartość moralna, najczystsze męstwo unosi się we chwale starych szańców. To ono rodzi przyszłość, ono zakreśla granice, wbrew rachubom i targom, przypadkom i przemocom!

Jedyna siła: Cnota.

ZNOWU TA PROPAGANDA!

[W legjonach i w wojsku polskiem.]

Nikt tak nie cierpi propagandy, nikt nią nie gardzi, jak żołnierz linjowy. Z drugiej strony, nikt tak nie potrzebuje czuć jej wciąż koło siebie, jak tenże właśnie żołnierz linjowy. Przeciwieństwo, napozór niezrozumiałe, — tłumaczy się całkiem jasno praktyką przebywania na froncie:

Żołnierz nie cierpi propagandy, gdyż przebywając na froncie nie cierpi deklamacyj i wszelkiego patrjotycznego gadania. Spełnia najcięższy obowiązek wobec ojczyzny, obowiązek, wobec którego wszelki patos jest śmieszną demagogją. Żołnierz gardzi propagandą, gdyż propaganda to tylko słowo, obraz, kazanie, napomnienie, pouczenie — a któż ma prawo pouczać ludzi, w nieustannym trudzie codzień patrzących śmierci w oczy?

Żołnierz niecierpi propagandy, gardzi nią. Spróbujcie jednak, by nie czuł jej wkoło siebie, — oburzy się i powie, że wszyscy o nim zapomnieli.

Niecierpi, gardzi, a jednak pragnie ją czuć dokoła siebie.

Ma słuszność, gdyż jemu, żołnierzowi wolno w czasie bojów długiej wojny nie cierpieć i nie znosić, — nie wolno jednak tym, dla których i o których walczy za-

pominać o czemśkolwiek, co się żołnierzowi należy. Nie wolno więc zapominać też i o propagandzie.

Wiem z praktyki frontowej, że żaden wytrawny, frontowy oficer czy żołnierz nie przeczyta ani jednego świstka, ani jednej odezwy do niego czule adresowanych przez t. zw. społeczeństwo. Niemniej każdy oddział, kompanja, bataljon, doznaje miłego wzruszenia, — maszerując, — jak to bywało w 1920 roku, — przez łączkę, ścieżkę, ulicę, zasypaną po kostki śniegiem papierowej propagandy.

Z owego śniegu bowiem żołnierz, — chociaż jednego świstka nie czyta, — wnosi, iż tam w kraju myślą o nim, mają do niego interesy, proszą go o wytrwanie, męstwo, polegają na jego honorze, wierzą w jego dzielność.

Z powyższego wynika, że sprawa propagandy należy podczas wojny do kwestyj nader złożonych, zawsze spornych, zawsze wywołujących mnóstwo zastrzeżeń, zawsze przez t. zw. front lekceważonych a równocześnie zawsze, — bardzo pożądanych.

W sprawie tej ustalono już wiele pewników, które istotnie nie ulegają chyba żadnej wątpliwości: że propagandą w wojsku zajmować się winni zawsze ludzie, mający jak najściślejszy kontakt z frontem. Nie może do żołnierzy walczących przemawiać, czy też pisać człowiek tyłowy.

To jasne.

Nie może do nich przemawiać człowiek, który, jako frontowiec nie zna zarazem dokładnie nastroju, panującego wewnątrz kraju.

Nie może do nich przemawiać ani zbyt wielki pesy-

mista, ani zbyt gorący optymista. Najlepszą propagandą jest zawsze, nawet na wojnie, — prawda.

Żołnierz poznaje się na t. zw. bujaniu, które wywołuje najgorsze skutki. Prawda, chociażby ciężka, daje najlepsze wyniki.

Wstrętem przejmuje zawsze lekceważące traktowanie nieprzyjaciela. I słusznie: żołnierz doznał jeszcze wczoraj czy przedwczoraj ciężkich strat w boju z tymże nieprzyjacielem, a tu przychodzi ktoś z zewnątrz i opowiada, iż nieprzyjaciel ten jest głupcem, tchórzem, czy niedołęgą.

Sprawy związane z zagadnieniem propagandy traktowane są już dziś zawodowo i fachowo. Zajmują się niemi powołani do tego oficerowie, posiadający specjalne w tym kierunku wykształcenie i rozległą praktykę.

Nie zamierzam rozwijać problemów związanych z tą sprawą. Pragnąłbym jedynie, przypomnieć też parę momentów i z tej niewdzięcznej dziedziny pracy wojskowej.

We wspomnieniach tych będę może nieco zbyt osobistym. Nie wynika to jednak z próżności, lecz tak właśnie układały się warunki, iż w sprawach tych przyjmowałem żywy udział.

Krótkie wspomnienia moje z tej dziedziny nie mają nikogo zbudować. Zadaniem ich pokazać, z jak wątłych zaczynaliśmy, kilkanaście lat temu, początków i jak daleko doszliśmy w tak krótkim stosunkowo czasie.

Wspomnienia moje obejmują pierwsze początki poczynań propagandowo-frontowych, z czasów legjonowych i za czasów niepodległego państwa polskiego.

II

Jak powstała pierwsza odezwa wojska polskiego na początku wojny światowej?

Pamiętam to tak dokładnie, iż gdybym miał dar rysowania, mógłbym dziś jeszcze scenę tę najdokładniej narysować.

Nie przypominam sobie natomiast zupełnie treści tej pierwszej odezwy. Zapewne, nie chodziło w niej o dzieła pokoju, lecz o wielkie dzieło wojny.

Była to, o ile mnie pamięć nie myli, odezwa do ludności b. Królestwa Polskiego z racji wkraczania pierwszych oddziałów Piłsudskiego.

Pisaliśmy tę epistołę we trzech, jednego z pierwszych dni sierpnia 1914 roku.

Zjawił się wtedy w parku krakowskim, w komendzie Strzelca, — ktoś z polityków, a więc z przyszłych władz cywilnych, o ile nie mylę się, dzisiejszy minister pełnomocny Rzeczypospolitej, p. Leon Wasilewski.

Odezwa potrzebna mu była jak najrychlej. Wówczas Wacław Sieroszewski, już w mundurze strzeleckim, Daniłowski Gustaw i ja, jeszcze po cywilnemu, zasiedliśmy za odwachem Strzelca, w jakiemś niezmiernie niewygodnem schowanku, gdzie stało mnóstwo otwartych beczek z wapnem, po kątach zaś leżały kupy wszelakiego sprzętu ogrodowego.

Zależało na pośpiechu, poczęliśmy więc równocześnie i radzić i pisać. Wszystkim trzem trzęsły się ręce ze wzruszenia. Jeden zaczynał zdanie, drugi je kończył. Jeden dawał taki projekt, inni znów inny...

Oczywiście nic z tej roboty dobrego wyjść nie mogło. Wtedy Sieroszewski zniecierpliwił się srodze i polecił, byśmy tu, każdy z osobna, całą odezwę napisali. Wyznaczył na to dwadzieścia minut.

Rozeszliśmy się natychmiast po kątach, by jeden drugiemu nie przeszkadzał, w ciągu dwudziestu minut odezwa była gotowa i znalazła aprobatę czynników politycznych.

Chwilę pracy nad tą odezwą zaliczam do najszczęśliwszych w swem życiu. Myśl bowiem, że rzecz napisana przemawiać ma w tak pięknej sprawie do ludu, myśl, że tych słów kilkadziesiąt kładzie się jakoby na progu nowych czasów, — napawała mnie nieopisanem szczęściem.

Pisanie wymaga wielkiego opanowania. Spokoju, rozwagi. Pisanie, to naogół — owoc opanowanego wzruszenia. Atoli w tym wypadku, — pamiętam, — iż pisałem, nie widząc właściwie dobrze, co piszę. Łzy, — nie łzy roztkliwienia, — łzy patosu zalewały mi oczy.

Pierwsza odezwa, — pierwszy artykuł wojenny.

Pierwsze artykuły o I-szej brygadzie Piłsudskiego napisał Daniłowski. Nie pamiętam ich treści, lecz pamiętam szlachetny ton piękności i powagi, które szły z tych artykułów. Drukowała je w Krakowie „Nowa Reforma“, z wielkiemi cenzuralnemi trudnościami.

Nie dość pamiętamy zaprawdę, że Gustaw Daniłowski, mimo tak wątłej konsystencji fizycznej, umiał być niestrudzonym żołnierzem. Był odważny, spokojny, na niebezpieczeństwo nie zwracał żadnej uwagi, uczynek żołnierski stylizował z wielką powagą i wdziękiem.

Pierwszy swój artykuł wojenny, który był zarazem jedynym komunikatem o straszliwym boju, pisałem w warunkach dość niezwykłych. Ile razy później w wolnej już, niepodległej Polsce wypadało mi, jako oficerowi przy naczelnem dowództwie, redagować czyto zwięzły opis boju, czy relację, która wchodziła następnie do rozkazu, dla jednostek frontowych, czy wreszcie komunikat, udzielany następnie prasie, — tyle razy mimowoli myślałem o pierwszym swoim artykule, czy komunikacie o bitwie pod Łowczówkiem.

Bitwa pod Łowczówkiem, prowadzona przez ówczesnego szefa brygady, podpułkownika Sosnkowskiego, trwała dni cztery, — rozgrywana w górskim terenie, bez dostatecznych zapasów amunicji (wina zaopatrzenia austrjackiego), bez odwodów, niestety nawet bez dostatecznej ilości map.

Pierwsza Brygada krwawiła obficie przeciw doskonałym oddziałom strzelców syberyjskich, podczas gdy właśnie za linją obronną brygady, wszelakie pułki piechoty austrjackiej obchodziły sobie spokojnie Boże Narodzenie.

Po czterodniowej walce, utrzymawszy pozycje o dwanaście godzin dłużej, niż przewidywały rozkazy, zeszliśmy z linij. Zadyrygowano nas do rezerwy, którą wyznaczono dość po macoszemu, jak na oddział wyczerpany tak wielkim bojem.

Nie pamiętam, jak nazywała się miejscowość, w której nazajutrz po bitwie i długim marszu nocnym wziąłem się opisywania bitwy łowczówieckiej. Wiem tylko, że, by uniknąć zgiełku pośród oddziału, wysforowałem

się naprzód z kwatermistrzami. Po całonocnym prawie marszu około dziesiątej rano, przyjechaliśmy do wyznaczonej mieściny.

Otrzymawszy tu kwaterę, pełen wspomnień i wzruszeń zaiste niezapomnianych, lecz zziębnięty bardzo i bardzo głodny, — zamówiłem sobie jajecznicę i — napalenie w piecu.

O dolo pisarza wojennego, który będąc żołnierzem, nie chce porzucić pióra, lecz pragnie piórem tym także służyć sprawie! Zjadłszy jajecznicę i poczuwszy błogie ciepło w pokoju, uczułem nieprzepartą chęć snu. Po czterech dobach bitwy i ciężkim nocnym marszu, — nie dziwota!

Nie można jednak było pozwalać sobie na takie zbytki, gdyż umyślny ordynans z listami odjeżdżał nad wieczorem do Krakowa, — na polową pocztę austrjacką, oraz jej sławetną cenzurę nie można było przecież liczyć.

Po godzinnej zażartej walce ze straszliwem zmęczeniem fizycznem, zabrałem się jednak do pisania. Nazwy pozycyj, miejscowości, liczby dni i liczby bataljonów, kompanij, plutonów, ataki, kontrataki, godziny, w której kto zraniony został, padł, poszedł naprzód, czy też cofnął się, — wszystko to ukazywało się z niezmierną jasnością, to znów zapadało w mgłę bezmiernego zmęczenia.

Przypuszczam, że literacko rzecz biorąc, mój opis bitwy pod Łowczówkiem (jakże piękny wiersz o tym boju napisał żołnierz I-szej Brygady Bolesław Lubicz-Zahorski!) nie miał wielkiej wartości. Wielkiej? Sądzę, że był od początku do końca źle napisany.

Posiadał jednak pewną pierwszorzędną zaletę, nie-

zależną od autora, spowodowaną ciężkiemi warunkami boju: Posiadał w sobie nutę prawdy.

Ranni w tej bitwie oficerowie mówili mi później, że gdy doszedł ich ten artykuł w szpitalach, skracali swe leczenie i uciekali poprostu ze szpitali zpowrotem na front.

Tak bardzo wiało brygadą z tego twego artykułu — mówili.

Gdyż, — jak powtarzam, — najlepszą dla żołnierza propagandą jest prawda o bitwie, w której walczył.

Pierwsza odezwa, — pierwszy artykuł — pierwsza książka.

Pierwszą moją książką wojenną byli Piłsudczycy.

Powstanie książki tej zawdzięczam w znacznym stopniu posłowi dzisiejszemu na Sejm, Juljanowi Smulikowskiemu. On to poradził mi pozbierać i ułożyć rozrzucone fragmenty w jedną całość. On opiekował się serdecznie wydrukowaniem książki.

Książkę tę wydał na początku 1915 roku ówczesny N. K. N. (Naczelny Komitet Narodowy) w Oświęcimiu.

Nie mogę nie podzielić się z czytelnikami osobliwszego rodzaju przygodą wydawniczą, jaka spotkała mnie z powodu samego tytułu książki.

Dałem jej tytuł, — Piłsudczycy.

Na to wydawca przejrzawszy o tyle o ile samą treść i załączone ryciny, zwrócił się do mnie z taką przemową:

Owszem, rzecz bardzo zajmująca, — możemy (wydawcy nigdy nie chcą, zawsze tylko co najwyżej, — mogą)

ją wydać, — wydamy. Jedno tylko zastrzeżenie: Czy nie zgodziłby się pan na zmianę tytułu? Cóż to za tytuł — Piłsudczycy? Niema sensu! Nikt przecież nie będzie wiedział, co to znaczy? Bardzo ładnie, że kochacie swego pana brygadjera, ale — szeroka publiczność nie zna go wcale.

Zapewniłem dzielnego wydawcę, że tytułu nie zmienię, oraz, żeby się stanem wtajemniczenia szerokiej publiczności nie martwił.

Gdy mowa o tych sprawach, nie od rzeczy będzie wspomnieć, jaki był stosunek ówczesnego brygadjera Piłsudskiego do spraw mojej „propagandy".

Komendant nie zajmował się nigdy temi sprawami. Pamiętam, iż pierwszy egzemplarz Piłsudczyków wiozłem z ogromną dumą i radością do sztabu brygady, która była wówczas w marszu, już za Lublinem (1915 rok). Dopędziłem brygadę w nocy, — rano, przy śniadaniu ofiarowałem Piłsudczyków Komendantowi.

Kiwnął głową, spojrzał na tytuł, odłożył książkę i dalej przerabiał ze swym sztabem szczegóły dyspozycji marszu. Gdy wyprowadzono konie, Komendant ruszył pierwszy; wychodziłem z chałupy ostatni. Ku wielkiej swojej zgrozie, zauważyłem wówczas mój egzemplarz pozostawiony na łóżku.

Komendant zapomniał o nim i — jestem głęboko przekonany, — dotąd ani Piłsudczyków, ani tak licznej później literatury brygadowej, czy legjonowej nie czytał.

Wyznaję szczerze, iż wielokrotnie sprawiało mi to wielką przykrość a równocześnie napełniało głęboką radością.

Czy nie tak być powinno? Czyż dowódca może tracić czas na tak zwaną sławę?!

Wielki dowódca nie dba o nią i słusznie, — gdyż ona sama dba o niego.

III.

W pierwszych dniach odzyskania niepodległości zacząłem pracę wydawniczo-propagandową w wojsku polskiem, wydając zrazu w Krakowie, później (po drugim, czy trzecim numerze) w Warszawie pismo, które dotąd istnieje, mianowicie „Żołnierza Polskiego".

Mam nadzieję, że nigdy już wojsko polskie nie będzie w tak trudnych okolicznościach, w jakich było wówczas, nigdy też nie będzie w wojsku tem oficera, któryby prowadził wydawnictwo w podobnie trudnych warunkach.

Rozumiano w tym czasie doskonale konieczność takiego pisma, któreby było poprostu łącznikiem pomiędzy najrozmaitszemi częściami, nader różnolitemi, zrastającej się w jedność armji.

Prasa nie docierała w owoczesnych warunkach na front. „Żołnierz Polski" był jedynem pismem, które przynosiło wojsku wiadomości o tem, co się dzieje w kraju a zarazem jedynem pismem chyba w ówczesnej Polsce, które nie stało w ogniu walk politycznych, oraz w żałosnym już dziś sporze różnic dzielnicowych.

Niestety, ówczesny Żołnierz Polski miał tę wielką, kardynalną wadę, że żołnierzowi polskiemu, głodnemu, nieodzianemu, defilującemu niejednokrotnie w kaleso-

nach przed przedstawicielami zaprzyjaźnionych z Polską potęg, — nie mógł zastąpić ani wyżej wspomnianych kalesonów, ani ciepłych koców, ani ciepłej bielizny, ani dostatniego jedzenia.

Stąd częste przygany dowódców linjowych, krytykujących wszystko zjadliwie, co się dzieje na tyłach, lub przy t. zw. „wielkim ołtarzu“. I wymyślania, — wy tu nam gazetki przysyłacie, a żołnierz portek na d . . . . niema!

Redakcja i administracja ówczesnego Żołnierza Polskiego miała więc w tym czasie do zwalczenia mnóstwo — delikatnie powiedzmy — przesądów, tem bardziej, że czasy to były bardzo świeże, że każde nieco większe dowództwo, przyłapawszy tu, czy tam byle jaką drukareńkę zaraz przemyśliwało nad własnym organem i własną prasą.

Równie trudne początki, jak Żołnierz Polski, miała druga instytucja utworzona wówczas przy biurze prasowem w naczelnem dowództwie, a mianowicie t. zw. Centralny Urząd filmowy.

Wyższe władze wojskowe okazały urzędowi temu bardzo wiele zrozumienia, sfery miejskie, filmowe a ściśle mówiąc ówczesna Polfilma z nieocenionym jej dyrektorem Józefem Szwejcerem na czele, wspomagały nową na terenie naszej armji inicjatywę.

Niedoświadczeni operatorzy wyrobili się niebawem, chwytając żywą łączność z młodem wojskiem. Powstawać zaczął film, zbiorowy film pierwszych naszych wysiłków frontowych, który rozrósł się do ilości — mniej więcej — trzydziestu tysięcy metrów.

Film ten, to żywa nieodzowna dla każdego przyszłego historyka kronika: Iluż zdołano w tej obrazowej kronice utrwalić postaci i podobizn bohaterów, którzy padli później na polu chwały. Ileż utrwalono świetnych szczegółów z życia żołnierza, we wszystkich dziedzinach walki?

Oficerowie linjowi jednak oburzali się z początku na te inowacje: — Po co wy nam przysyłacie jakichś operatorów, mechaników, warjatów! Nie potrzebujemy ich na froncie, pędzić będziemy tych nygusów!

To jedna trudność. A druga, nie mniejsza od pierwszej: By żołnierz umiał zachować się przy filmowaniu, by nie lazł na objektyw i tym sposobem nie psuł całej pracy.

Z powyższych wspomnień mógłby wnosić czytelnik, że autor wychwala tutaj swe zasługi. Na zakończenie więc powyższych notatek autor zachowuje sobie anegdotę wcale karygodną ze swej karjery propagandowej, a mianowicie wypadek dezercji:

Zdarzyło się to w czasie wielkiej wyprawy na Kijów. Oto wojska nasze już w pościgu, już minęliśmy Zwiahel, wkroczyliśmy już nawet do Żytomierza. Wiosna najprześliczniejsza, oddziały pędzą naprzód z żywiołowym rozmachem, a tu równocześnie w sztabie głównym kwatera sprawozdawców aż puchnie od natłoku wszelakich korespondentów ze wszystkich końców Polski, Europy i świata.

Rozmieszczać trzeba tych panów, czytać im i układać codzień biuletyn z frontu, pilnować uważnie, boć to dziennikarze przecie, wścibscy, jak żadna inna od-

miana człowieka. Jedno wielkie prasowe urwanie głowy z całą setką różnojęzycznych korespondentów.

Przyznaję się — zdezerterowałem wówczas, przydając dezercji mojej wszelkie pozory legalności. Dziennikarzy rozdzieliło się grupkami po dowództwach armji i po dywizjach. Zaprowadziło się pomiędzy tym wojskiem piór najskrupulatniejszą łączność, rozciągnęło się konieczną opiekę, by — zwłaszcza Amerykanie — sami naprzód nie lecieli.

Urządziwszy to wszystko, zameldowałem się do mego szefa. Był zanadto wytrawnym człowiekiem, by można było pozwolić sobie na jakieś wykręty. Uznałem tedy, że jak w wielu wypadkach, tak i w tym, najlepszą propagandą będzie prawda.

Prosiłem mego pułkownika, ni mniej ni więcej, — by, biorąc pod uwagę, iż wszyscy dziennikarze mają już swe przydziały i opiekę, zechciał na parę dni zapomnieć o mem istnieniu. O mem istnieniu przy sztabie głównym, przy sztabie ścisłym, o mym stopniu oficerskim, o tem, że żyję i co się ze mną dzieje.

Żeby mnie — puścił. Że go prosi o to artysta, pisarz. Że nie wiadomo oczywiście, jak się temu artyście uda opis wyprawy, gdyż rzeczy podobnych nigdy nie wiadomo. Wyprawa jednak jest tak piękna, iż nie podobna doprawdy siedzieć w biurze i tylko — urzędować.

Mój szef, srogi sztabowiec, okazał tyle humoru i fantazji, iż puścił mnie. Zdezerterowałem, uciekłem z biura, wracając do „amtu“ po kilku najszczęśliwszych dniach życia, ze szkicem wiosny 1920 roku, oraz z najgłębszą,

najserdeczniejszą wdzięcznością dla mego wolnomyślnego szefa.

A co najgorsze — wierzcie mi czytelnicy — ów szef, pozwalający swemu podkomendnemu na dezercję, był jednym z najtęższych oficerów młodego pokolenia dowódców polskich.

DZIEJE 1-go PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW.

Tak się złożyło szczególnie (o którym to przypadku wcale nie napisałbym, lecz jak się zaraz okazuje, przypadek ten ma przecie wielką styczność z tem, co tu dalej nastąpi), że któregoś wieczora z ostatnich już dni czerwca przeglądałem szuflady swego biurka, aby zrobić porządek z papierami.

Nie może bowiem tak być dłużej, żeby się stare papierzyska rozlegiwały w szufladach, nowe zaś, żeby wciąż z miejsca na miejsce przeganiać.

Zaczynam przegląd od dołu, od szuflady najniższej, gdzie leżą stare i pożółkłe już druki, tak oddalonych sięgające czasów! Rok 1914-ty, piętnasty, szesnasty, siedmnasty.

Mam te papiery teraz właśnie w rękach.

Oto szeleści mi w palcach nasz wielki, dawny, niezastąpiony czas, największy czas bojów i trudów brygadowych, czas młodości tak szczytnej, — niepowrotnej a wiecznie żywej i zawsze przepojonej urokiem.

Z pośród papierzysk złożonych i pożółkłych wpada mi w rękę strzęp gazety, na którym widnieje tytuł:

Przejazd 1 p. p. leg. przez Kraków.

Kiedyż to było? Odwracam więc gazetę, aby zobaczyć datę: *Kraków, piątek, 21 września 1917 roku.*

W artykuliku pod tytułem — Przejazd 1 p. p. przez Kraków, — czytam:

„Wczoraj koło godziny 11 przed południem na torze z Podgórza do Krakowa słychać było wybijającą się ponad huk pociągów polską pieśń: Hej Strzelcy wraz.

Publiczność tłumnie biegła ku mostom. Oto przejeżdżał ogromny pociąg ze sławnym 1-ym pułkiem piechoty polskiej. Wagony umajone zielenią, opatrzone wizerunkami orła polskiego i napisami: Niech żyje Piłsudski!

W oknach, w szerokich drzwiach towarowych wagonów, na platformach oficerowie i żołnierze. Chcą się napatrzeć staremu Krakowowi".

Artykuł nie ma żadnego podpisu, ale to ja pisałem, pamiętam doskonale.

„Chcą się napatrzeć staremu Krakowowi, chcą zapamiętać te stare wzniosłe mury, wśród których wzrośli, z których wyprowadził ich wódz 6 sierpnia — na polską wojnę.

Ktoś płacze...

Wyrostki krzyczą — to pierwszy pułk!

Jakieś panie biegną przez ulicę z zawiniątkami w stronę dworca.

Stary jegomość przepycha się przez gapiów: — Muszą mnie puścić — woła, — muszą mnie puścić, tam jedzie mój chłopiec!".

Przerwać muszę lekturę, ktoś dzwoni do przedpokoju. Już siódma, nikogo teraz nie czekałem, pewno list ekspress. Albo woźny z księgarni przynosi korektę.

Tak, to był woźny z księgarni.

Podpisałem machinalnie pokwitowanie i z jakimś grubym tomem wracam za swoje biurko.

Zaraz spojrzę, co to tam znów nowego przynieśli, — chcę jednak przedtem skończyć ów artykulik, pisany w roku 1917-tym, teraz już dobrze pamiętam kiedy...

Gdy z powodu przysięgi beselerowskiej nastąpiło rozwiązanie Legjonów, gdy po trzech latach świetnego boju, królewiacy poszli do Benjaminowa i Szczypiorna a austrjaccy poddani tak właśnie oto jechali w towarowych wagonach, — na ciężką niewolę zbrojną ku włoskiemu frontowi.

Czytam więc dalej:

„W huku wagonów grzmi pieśń, — jak hurra w czasie szturmu. Mieszczanie stoją na dole przy torze, wymachują chustkami.

Oczywiście! No, bo to przecież stary znakomity żołnierz, najstarsza kadra polska, kosztem trzechletnich ofiar wspaniale wychowana, piechur, jakiego od 1831 roku nie miała Polska.

Na dworcu żegna żołnierzy Bolesław Limanowski i poseł Moraczewski. Dokoła nich gromadzą się oficerowie. Młody kapitan Lis-Kula zdobywca Kukli w sławnych wołyńskich walkach, kapitan Konas, dowódca transportu, kapitan Sas-Kulczycki i wszyscy inni.

Zbliża się czas odjazdu. Żołnierze dostają kwiaty. Goście z miasta nie mogą się nażegnać, nagadać!

Stare Strzelcy!

— Gdy na nich patrzę — zwierza się ktoś poufnie: — jak odjeżdżają, to jakby ze mnie żywcem ciało wyrywano...

Pociąg odjeżdża. Panie wstydzą się płakać, więc śmieją się przez łzy.

We wszystkich oknach i drzwiach wagonów stoją żołnierze, pewni siebie i dumni i krzyczą, że się echem roznosi:

Niech żyje Polska, niech żyje komendant Piłsudski!"

Pod spodem artykuliku na tej samej kolumnie widnieje tytuł: Aneksjoniści niemieccy przy robocie.

Odkładam na bok strzęp starej gazety i patrzę, jaką to książkę przyniesiono mi przed chwilą:

Adam Józef Borkiewicz.

DZIEJE 1-go PUŁKU LEGJONÓW.

Warszawa 1928.

W rogu okładki nad figurą polskiego piechura żelazny znak Pierwszej Brygady.

Dzieje 1-go pułku piechoty Legjonów, ogromna książka, przeszło tysiąc stronic.

Przeglądam pierwsze kartki. Dedykacja.

Twórcy i Wychowawcy swemu
Pierwszemu Marszałkowi Polski, Komendantowi
JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU
Naczelnemu Wodzowi z wojny 1918-1919
pracę tę poświęca 1 Pułk Piechoty Legjonów.

Jeszcze dalej czytam pośpiesznie ostatnie alinea generała Śmigłego-Rydza:

W kartach tej książki zawarta jest opowieść o rzetelnie spełnionym żołnierskim obowiązku, bije w nich gorącem młodzieńczem tętnem krew tych, których dziś

mogiła kryje, woła przeszłość wielkim głosem o swej sławie — ale i o obowiązku przyszłości.

Książkę tę będę czytał później, teraz przecinam kartki, przelatuję oczami pobieżnie, aby tylko przypomnieć sobie od początku te wszystkie dawne miejsca, wszystkie marszy i bitwy.

W OKRESIE WOJNY ŚWIATOWEJ:

6-go sierpnia 1914 roku o godzinie 3 min. 30 wymaszerowała z Krakowa szosą na Kielce kompanja kadrowa, jako czoło 1-go pułku strzelców Józefa Piłsudskiego. Udała się w kierunku jedynej drogi do Niepodległej Ojczyzny: na pola bitew, by czynem orężnym budzić Polskę do zmartwychwstania...

OŻARÓW, POD LUBARTOWEM, 5 SIERPNIA 1915.

Oto chwytam ten fragment rozkazu:

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę nie spalający się, jak słoma w pierwszym drobnym ogniu

Rozdział następny: *W Niepodległej Ojczyźnie*, aż do końca tej książki do części czwartej, t. j. *Złotej Księgi*

Pułku, w której zawarte są spisy poległych i ich krótkie życiorysy — w wielu rozdziałach jedna olbrzymia epopea wspaniałego ciągu trudów i czynów wojennych pod Wilnem, nad Wilejką, pod Dźwińskiem w czasie wyprawy kijowskiej, pod Żytomierzem, Kijowem, straszliwy bój podczas odwrotu pod Borodzianką, walki z Budiennym, walki w wielkiej ofensywie z nad Wieprza a potem znów z powrotem aż do ostatniej bitwy pod Radoszkowicami.

Lecz pocóż boje te i czyny sławne zjawiają się tu właśnie na moich stronicach, literaturze tylko poświęconych?

Sądzę, iż niema w Polsce pracy, dążenia i wysiłku, gdzieby historje takich oto pułków, jak ten Pierwszy, nie na miejscu były i nie w porę. Albowiem — cały nasz trud przecie, spokojny i radosny, z uczynków takich i historyj swoją pogodę czerpie.

Po drugie zaś, — jest rzeczą we wszystkich dziedzinach tworzenia ludzkiego budującą, gdy ujrzeć można jak jedna garść ludzi duchem wiedzionych, — pojęła moc ducha owego, przetrwała wszystkie ciosy i wszystkie poniewierki i z wygnania wróciła do kraju i kraj ów odwojowała odwagą, męstwem i cierpieniem i teraz w kraju tym buduje.

ODSŁONIĘCIE TABLICY.

[Marzec, 1931 r.]

„Oto ulica, domy, mury, kamienie, ludzie; oto chodniki, jezdnie, na nich zaś ruch codzienny, zwykły, świętem naszem przerwany.

Świadkowie uroczystości i my, jej uczestnicy, — nad nami niebo tego miasta.

Oto struga codzienności i inna struga — czasu.

Między jedną i drugą — tablica wmurowana tutaj: W kamieniu, literach i w ozdobie zawarty symbol, mający przypominać nam, dzieciom naszym i wnukom, oraz wszystkim, którzy po naszych czasach żyć tutaj znowu będą, — jak to kiedyś zebrali się w tym domu i z tego domu wyszli na wielką wojnę jacyś żołnierze, inni niż wszelkie inne wojsko, niż każde wojsko świata.

Żołnierze o nieswoich nazwiskach, pseudonimy, czy może tylko znaki tajemniczej siły, żołnierze nie z poboru i nie z przymusu — lecz tylko z serca.

Żołnierze — ani z kraju, ani z ziemi, lecz z liter umówionych, z P. O. W. wywołani; z liter, które dla wszystkich innych ludzi były fikcją, dla tych zaś ludzi były największą prawdą, — żołnierze w najżarliwszym przymusie dobrowolni.

Żołnierze owi, Peowiacy, w mieście poddanem i ule-

głem wówczas wszelkim przemocom, — to ostatni synowie wszystkich Powstań Polski a zarazem jedyny i najpierwszy głos całej polskiej państwowej przyszłości.

Jeżeli bowiem Legjoniści, starsi bracia tych Peowiaków, mieli swe normy widome, swe symbole, jawność swej broni, od broni cudzych potęg tragicznie zależną, — Peowiacy w najstraszliwszem ubóstwie orężnem byli wówczas jedynem wolnem i niezależnem wojskiem swej Ojczyzny.

To oni, mocą Wodza swojego sprzęgnięci, oni dopiero, pozbawieni zaszczytów jawnej walki, munduru, pozbawieni prostej racji rozkazu głośnego, oni dopiero w obliczu całej potęgi zbrojnego wówczas świata, stworzyli ośrodek jedyny i wspaniały, dokoła którego urastać jęła w poczuciu wolności ludność całej Polski.

Gdy więc stoimy tu przed tablicą wmurowaną na domu, gdzie oni pierwsi ongiś znaleźli się, skąd wyszli na nowe poświęcenia i trudy, — zaprawdę pamiętajmy, iż stoimy na miejscu, z którego trysnął w mroki polskiej niedoli ożywczy ogień najcudniejszej roboty zwycięstwa.

Tu się pali na miejscu tem wieczysta siła ducha, tu drży najczulsze serce bataljonu najpierwszych dzieci miłej, nieśmiertelnej Ojczyzny.

Tablica ta jest znakiem czynu, jakich niewiele w ciężkiej doli narodów.

Jeśli się kiedyś wnuki nasze, prawnuki spytają, jak walczyć, gdy wbrew wszelkiej nadziei wypada iść, gdy iść trzeba w jednego na tysiące, gdy iść trzeba z pustemi dłońmi na straszną zbroję potęgi tysiąckrotnej, — niech tu przyjdą.

Tu znajdą zawsze pomoc.

Tablica wmurowana tutaj świadczy, iż przeciw zbrojom, potęgom, przeciw wszelkim granitom przemocy, przeciw oczywistości samej żołnierze Piłsudskiego wychodzili i zwyciężali.

Tablica wmurowana tutaj świadczy również, że cudowna legenda pomieści swoje skrzydła olbrzymie nawet w tak zwykłym szarym domu, pod marynarką młodych dzielnych chłopców i z domu tego na kraj cały wyleci, przez lata szumieć będzie groźną sławą i pokolenia całe zorzą swą opromieni.

Tablica owa świadczy, iż przemoc zawsze ustąpi przed potęgą marzenia.

Oto stoimy na tej ulicy w obliczu domów szarych, zwykłych, — lecz zarazem stoimy, jakby wśród ogni, świateł, blasków szalonych, niespożytych: Legenda najpiękniejsza, niby kryniczne źródło, bije z tego kamienia.

W urokach pięknej zwycięskiej legendy tego miejsca patrzmy, niech dzieci, wnuki nasze patrzą, jak to pierwszy Warszawski Bataljon Peowiaków maszeruje stąd, z bruku, prosto ku tym wyżynom chwały i zasługi, na których czyny ludzkie stają się już nieśmiertelnością.

Czy słyszycie?

Tu po kamieniach gościńca na wieki tętnią kroki bataljonu najpierwszych synów Miłej, Nieśmiertelnej, Ojczyzny.

DNIA TEGO WÓDZ I NARÓD...

[19. III. 1931 r.]

Liczy się On zapewne tego dnia z nami wszystkimi, jak my się tutaj dziś z Nim rachujemy. Ów rachunek wzajemny — to są dopiero właściwe imieniny i najprawdziwsze święto, — twórczego człowieka w Ojczyźnie.

Rachunek tem skwapliwszy, — że prowadzony we wzajemnej miłości. Gdyż jeśli nawet srogość i gniew poszczególnych pozycyj tego człowieka i narodu zsumować razem we wzajemnym stosunku, — wypadnie zawsze miłość.

Miłość w wielu postaciach i głosach; w postaciach różnych miar, nieporozumień, i nawet w głosach uporczywej walki: Lecz zawsze, zawsze, w tym groźnym porachunku między Ojczyzną, czasem, człowiekiem i działaniem, — miłość najgłębsza, do bólu, aż do krwi, na śmierć i życie, do każdej, do ostatniej i najtajniejszej myśli!

Sądzę, iż gdybyśmy dnia dzisiejszego stanęli wszyscy na Maderze i zapytali chciwie: — Co myślisz Wodzu, o nas, jak nas dziś sądzisz?

Odrzekłby z ironicznym uśmiechem, iż wcale o nas ani też o sprawach naszych nie myśli dzisiaj.

Odpowiadał tak przecież sto razy najlepszym swoim ludziom, podczas najtkliwszych i najbardziej bohaterskich okazyj. Tak odpowiadał, wiedziony przekorą swoich uczuć gwałtownych i żarliwych, przekorą taką kryjąc wstydliwie ogrom swojej miłości.

Wierzę zarazem, iż gdyby tu nas wszystkich w Ojczyźnie zapytano dnia tego właśnie, jakie do Wodza mamy sprawy, — wynikłoby tych spraw conajmniej tyle, ilu jest ludzi w Polsce. Lub jeszcze więcej a każdy z nas poczuwałby się do najlepszej rady, i każdy rozumiałby w okazji tej swą cenną nieomylność.

Cóżto więc jest pomiędzy Nim a nami, — i cóżby znaczył pomiędzy Nim a nami ów wieczny ruch rozumu, serca, uczuć, tak wielkich pragnień i tak ciągłych nadziei? Tak wielkich dążeń, sprzeciwów, zmagań i walk i tylu gniewów srogich, oraz takiej radości?

To przecie właśnie owa miłość ogromna, tym gwarem wielkich sporów rozgadana, owocująca w życiu narodów sławą, siłą i wzniosłością.

Jak kiedyś w ciasnych biurach Strzelca, jak później znów nad Nidą, a później na Wołyniu w czasie legjonowej wojny, a później w Belwederze, Sulejówku i znowu w Belwederze, — tak samo pewno dziś na tej dalekiej wyspie liczy się znów ten człowiek i znów rachuje z nami.

Sądzi się z nami od swych czasów młodości, wygnania i Syberji i tylu prac, przedsięwzięć i powrotów, tylu nieustraszonych prób i nowych rozpoczynań. Sądzi się z nami we wszystkiej krwi, we wszystkim dymie strzałów, w każdej ranie bolesnej, w każdem słowie, w każ-

dym krzyku bojowym, w każdym jęku rozpaczy, — we wszystkiem cośmy znieśli, stracili i wygrali.

Jak się to tam układa w tem sercu i umyśle ów porachunek pomiędzy znikomością człowieka a trwałością narodu? Ile tam ofiar ducha, życia przyświeca owej sprawie: Wielkiej sprawie wolności.

Na drodze tej, — jakie pożary gniewu, jakie bagna straszliwej ironji, jaka żałość i ileż i jakiego poczucia marności? Ileż tego wszystkiego musiał minąć ów człowiek, aby swem życiem, pełnem bohaterskiego trudu i jak najprzytomniejszej wiary doprowadził do tej oto odbudowanej Ojczyzny polskiej?!

Lecz jak ją widział już wtedy, gdy inni spali jeszcze, tak ją zapewne widzi w blasku swej intuicji na dziesiątki lat naprzód.

Na dziesiątki, — na setki lat.

Widzi zapewne w żywiołowej grze czasu wytyczne osie, po których sunąć będzie naprzód dojrzewanie i szczęście Ojczyzny. Poprzez gęstwinę haseł i wszelakie formuły historji zawsze prostej a zarazem tak wielce dwuznacznej!

Ileż to razy zabiegały mu drogę hasła? Jakiemi ofiarami musiał był okupywać prostotę biegu spraw ludzkich i biegu szczytnych idej?!

Naród w łonie ludzkości, — czy ludzkość nad narodem? Ojczyzna jedna w całym świecie, — czy też świat bez Ojczyzny?

A brzegi każdej prawdy krwią żywą pomazane.

Wzniosłość, — czy też komedja?!

Na te pytania On jeden w Polsce umiał zawsze od-

powiedzieć, On jeden stał w rozgwarze świata i krwi i wielkich głosów przyszłości człowieczeństwa, wierny cieniom, zarazem jednak ścieżkami nowości dążący.

A my? W wiekopomnym sporze człowieka z przeznaczeniem, my, w których życiu i losie, choćby całkiem codziennym, krąży wola i poświęcenie tego Męża?

My w ten dzień porachunku?

My, którzy wiemy pewnie i niezbicie, iż każdy z nas ocknął się w jakiejś chwili swego życia i stanął nagle wyżej, porwany wielkością tego Męża?

My, którzy wiemy, iż życie Jego stało się wreszcie nami, całym narodem, — losem tego narodu?

Marzyłbym w takiej chwili, iżby tu przystanęła wszelka nasza codzienna rachuba i abyśmy na ten dzień właśnie zatrzymali koło swej historji: By uświadomić sobie, że przecież w pracach, działaniach, czynach i nawet myślach Piłsudskiego niema jednej sekundy, która nie byłaby nami wszystkimi.

Marzyłbym więc, aby Go w takiej chwili otoczyć najczulszą naszą myślą. Nie jak Wodza i nawet nie jak bohatera. Niechby właśnie tamtemi cnotami pomnożył teraz cichą ludzką radość, którą otaczamy już najbliższych: Radość z tego, że nam razem wypadło żyć, że nas łączy ta sama doczesność, że wspólny jemy chleb i tą samą oddychamy pogodą.

Józef Piłsudski, wielki w historji wódz i wielki mąż Narodu, — w dzień swych imienin niech będzie w każdym domu najmilszym gościem, najukochańszym towarzyszem.

Dnia tego trzeba wszystko inne nabok odłożyć i nie

zważać, że oczy te tak zawsze bacznie i tak srogo spozierają z pod siwych brwi krzaczastych. Trzeba wejrzeć w te oczy radosnem i zuchwałem spojrzeniem dzieci!

Dnia tego — Wódz i Naród — powitać się musimy za całą przeszłość na całą przyszłość naszą uśmiechem wielkiej, burzliwej i potężnej miłości, która trwa między nami na śmierć i życie do każdej, do ostatniej i najtajniejszej myśli!

NOWY ROK — CZYLI MIARA.

Wydaje się bardzo warunkowem i nader umownem święto dzisiejsze. Poubieraliśmy się, jak tylko mogliśmy najlepiej i tak odświętnie odziani schodzimy się z naszymi przyjaciółmi i nawet wszelkich obcych chętnie widzimy i, — niech mi nikt nie przeczy: Wrogów naszych troską myśli naszej ogarniamy życzliwie.

Życzliwie i radośnie ogarniamy wszystkich i wszystko, drobne a przecież zarazem olbrzymie, niedostępne; wszystko, — od stołu naszego przez rzeczy, sprawy i ludzi aż po te granice bezgraniczne, gdzie myśl nasza gubi się w próżnym locie nieprzypuszczalnych dopuszczeń. I ogarniając tak to wszystko na progach Nowego Roku, pragniemy życzeniem najtkliwszem, by się to wszystko ku jakiejś pięknej poprawie, czy też doskonałemu ulepszeniu wyniosło.

Tymczasem, gdzież to jesteśmy, gdy mówię, iż przybyliśmy znowu na próg Nowego Roku?

Zaprawdę, bardzo to chwiejny próg i zgoła nieistotny, umowny raczej, niż niewątpliwie utwierdzony na drabinie dostępnych nam czasów.

Umowny wielce i choćbyśmy chcieli, żeby to była miara, liczba, czy też stopień, tak mocno obsadzony, jak się w opornej skale stopnie wykuwa, — pozostaje rucho-

mym, utkanym raczej z naszej woli, niż z materjalnej istotności.

Określono przecie chwilę, którą tu zwiemy Nowym Rokiem, tak różnie w różnych krajach, strefach, oraz czasach!

Rzymianie liczyli sobie swe nowe roki od czasu założenia Rzymu, — lecz któż wie, tak właśnie dokładnie, jakby trzeba, kiedy ów Rzym założony został?

Grecy liczyli Nowy Rok od pierwszej Olimpjady, lecz zaprawdę, czy jest w historji obyczaju któreś wydarzenie pierwszem prawdziwie, a nie wysiłkiem, streszczającym jedynie śmielej dawne nieśmiałe próby?!

Błąkają się tu pewne jaśniejsze wskazówki, któremi wspomaga astronomja pamięć naszych dziejów swarliwych. Wiadomo tedy, że gdy Lidyjczycy walczyli z Medyjczykami, wypadło zaćmienie słońca, którąto chwilę oblicza astronomja najdokładniej na rok 585 przed Chrystusem.

Ileż jednak doniosłych wydarzeń i wielkich zmagań ludzi z ludźmi wypada w czasie normalnej drogi ziemi, słońca i wszystkich ciał niebieskich?!

Któż przy tych wydarzeniach czuwał z miarą tak niezawodną, iżby pozostały w tym obojętnym czasie astronomicznym, — nie zaś w czasie głęboko przesyconym gniewem, żałością i krwią?

Egipcjanie liczyli sobie swoje nowe lata od wylewów Nilu, który wylewał na trzy dni przed dniem najdłuższym, t. j. 21 czerwca. Zauważyli ten fenomen dość dawno, nie całkiem jednak w porę, niestety bowiem dopiero na 4.241 lat przed Narodzeniem Chrystusa.

A przedtem?

Może przedtem wiedzieli coś o tej przedziwnej sprawie jacyś czcigodni, zapomniani Chińczycy?

A może coś wiedziano na jakichś wyspach, wzniosłych, zapadniętych Atlantydach?

A może, gdzie teraz znów żyjemy, skąd kiedyś odejdziemy, gdzie życie plotło swe losy przez tyle odmian niepojętych, — może tu też wiedziano kiedyś dawno wszystko lepiej; a później zapomniano, a później znów odżyło wszystko tamto zapomniane w świeżych blaskach pamięci — i znów potem znikło.

Ludzkość pamięta wszakże zaledwie dzień ostatni swego życia, a wszystko, co przed owym dniem ostatnim było, — potopione jest chyba na zawsze w wiecznych strumieniach czasu.

Przedtem, — teraz — i potem, trzy miary, czy też może raczej trzy puste słowa, które niby ćmy krążą w jednym wielkim promieniu czasu wieczystego!

Dawniej tak szła rachuba: od Rzymu, od Olimpjad, od wylewów życiodajnej rzeki; teraz liczymy Nowy Rok w oktawę Narodzin, pierwsi Chrześcijanie liczyli go od daty Bożego Narodzenia. W średniowieczu jeszcze inaczej sobie poczynali, licząc od drugiego dnia lutego, to jest święta Matki Boskiej, a tamci znów od panowania takiegoto ukochanego papieża, a znów inni inaczej w Wenecji, a znów jeszcze inaczej w Genui, wedle ważności wydarzeń, wedle wzruszenia swoich dziejów, — nie zaś wedle tej miary czasu przedmiotowej, którą tak chętnie widzieć pragniemy w naszem trwaniu, lecz która raz po raz, niby próg chwiejny i niepewny usuwa się nam z pod stopy niecierpliwej.

Więc może wkońcu, niewiadomo, co taką datą, czy też terminem mierzymy i jakto mierzyć chcemy, w jakim celu? Ukazuje się przecież dowodnie, że nietylko wielce ruchomym jest ów promień czasu bezgranicznością okresów tchnący w bezgraniczność przemijania!

Lecz ukazuje się zarówno, że i owe zastawy, czy też tamy, czy też śluzy, czy tylko miary, któremi promień ów mierzyć pragniemy jakoby skalą niewzruszoną, twardą, pewną, niby w metalu jakimś kutą... Że owe miary nie są ani z metalu, ani nawet z łomkiego drzewa, ani też choćby z kruchej słomki, — lecz że są wytworzone z naszego urojenia!

Więc urojenie nasze, czyli wymysł!...

Nic więcej, — próżny wymysł! O ludzie dobrotliwi a tak wielce naiwni! Więc zbieramy się tu i tam i wszędzie przybiegamy dzisiaj w pięknych strojach, pełni najgłębszego wzruszenia, ażeby wspólnie uczcić próżne urojenie?

Po urojeniu spodziewamy się tak znacznych zmian i takowej poprawy i czyżby ono tylko stało na progach naszych domów?!

Ale przecież, jeżeli w takiej sprawie kardynalnej i ścisłej, jak sprawa miary czasu, bawimy się w wymysły, to czemże wszystko inne, mniej ścisłe i mniej ważne, któremu całą sprawę życia oddajemy?

Jeżeli próg, czy stopień, czy miara nie są progiem, stopniem i nigdy żadną miarą nie były, — czemże jest wszystko inne, niewyznaczone obrotem ciał niebieskich i żadną astronomją, ani zaćmieniem słońca, ani innym znakiem takim, posiadającym prawo zupełności?

Czem słowo — jeżeli nie pustym jeno dźwiękiem, drobnym wstrząsem powietrza, i pobieżnym trudem naszych mięśni?

Czem nasze prawo, które dziedziczymy z taką troską, które doskonalimy i które następcom naszym pozostawić pragniemy?

Czem nauka, jeżeli nie upartą igraszką ślepca pośród świateł nigdy nieujrzanych, zaprawdę, wiecznie niedostępnych?!

Czem wszelka praca tak uparta, żarliwa, nad kształtem i nad dźwiękiem, — jeżeli nie syceniem martwej bryły marzeniami, ogniami biednych ludzkich serc?

I czemże wreszcie owe serce ludzkie, jego cierpienia i namiętne szaleństwa i rozpacze, rzucane zawsze wkońcu ofiarnie do stóp nowej walki?!

Jeżeli tylko wymysłem jest to wszystko i niepewną miarą życia i niczem i próżnością zaledwie, — to może tylko rodzi się ów wymysł na skutek przemian materjalnych, znaczonych obrotem astronomji, przechadzką ciał niebieskich po przestrzeni?!

Mówiąc krótko, — może to wszystko, co w piersi naszej płonie, jako wieczyste dążenie, — jest niczem więcej, jak tylko wirem prochu, kolumną pyłu, którą na drodze zeschłej podrywa wiatr bezduszny?!

Wynikałoby z powyższego, że na takiej a takiej szerokości, w takiem a takiem cieple i w takiem a nie innem nachyleniu obrotu ziemskiego, z żyjątka, które zowie się człowiekiem, a które przecież niczem innem nie jest, jak tylko związkiem wody, węgla, fosforu, soli, — wylęgają się takie a nie inne wymysły, urojenia takich kształtów i takich wartości, niezwiązane z rzeczywistą istotą świata.

Lecz przecie istotność świata owego we wszelkiem życiu i wszystkich żyjątkach rozmieszczona to tylko, — trwać i być!

A oto w człowieczku tym, w nikłym związku wody, węgla, fosforu i soli, dla owego wymysłu poświęcona zostaje naczelna zasada bytu. I wszystkie siły i wszystkie moce i cała krew i każde drgnienie serca skierowane będzie na pożytek i ku dobru wymysłów owych, jakże często z poniechaniem cielesnego bytu człowieka.

Niemasz cierpień, trudów, ani ofiar, udręki i rozpaczy, którejby ów stwór mały, tak słaby i bezbronny, którejby człowiek nie podjął, by umocnić życie tych właśnie swych urojeń.

Ten zamknie się wśród miar i gotów wszystko oddać za nowy stopień odmiennej jakiejś miary. A ów wszystko porzuci, byleby tylko znalazł szyk kilku nowych słów, któreby jego wymysł wraziły prędzej w tętno ludzkiego serca. A tamten będzie prządł czarne znaki dźwięków póki nie utka z nich tkaniny nowych, świetnych harmonij.

A ten znów największą sobie zada krzywdę, by pchnąć naprzód koło, które się zawsze w temsamem miejscu kręci i obraca, — koło sprawiedliwości.

Tak więc, — jako że ludzie, — wszyscy stoimy na wątłych, chwiejnych progach nowego wiecznie roku i wiecznie nowych, choć już od zawsze tych samych wiecznie lat.

Gdy się więc zbliża, jak dziś właśnie i teraz w takiej oto widocznej, ach, niemal namacalnej ironji wieczyste nasze urojenie miary, granicy, stopnia, czy też rachuby,—

dobrze chyba czynimy, iż sobie wzajem różne życzenia składamy.

Jest w tem przecież nietylko sam obyczaj i przeszłość i tradycja. W obyczaju tym jest najwspanialsza duma, aż groźna, tak zuchwała...

Bo tak właśnie przy stołach zebrań, czy też jedni naprzeciw drugim śpieszący, jeżeli wbrew układom ciał niebieskich i wbrew obojętnemu prawu wszelkiego przemijania, wołamy tu ku sobie i znów na nowym chwiejnym progu, nowych marzeń i nowej walki i nowego zwycięstwa chcemy, — to znaczy to, że tu się święci ze starej niepewnej okazji najpewniejsza wiara w nasze twórcze urojenie!

Wiara w naszą samotność zwycięską, przeciwstawianą każdej drodze wszystkich ciał niebieskich; wiara w naszą zuchwałość potężną, przeciwko falom czasu skierowaną, wiara w malutkie czółno na falach oceanu, wiara w ziarenko piasku pośród piasków Sahary, z pośród wszystkich miljardów ziarn odnalezione celnie...

SPIS RZECZY.
